

OLGA GRJASNOWA



Rosjanin to ten, kto kocha brzozy



Olga Grijasnowa

Rosjanin to ten, kto kocha brzozy

Przełożyła Elżbieta Kalinowska



Wołowiec 2015

Wszelkie powielanie lub wykorzystanie niniejszego pliku elektronicznego inne niż autoryzowane pobranie w zakresie własnego użytku stanowi naruszenie praw autorskich i podlega odpowiedzialności cywilnej oraz karnej

Tytuł oryginału niemieckiego *Der Russe ist einer, der Birken liebt*

Projekt okładki Magdalena Palej

Projekt typograficzny i redakcja techniczna Robert Oleś / d2d.pl

Copyright ©Carl Hanser Verlag München, 2012

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Czarne, 2015

Copyright © for the Polish translation by Elżbieta Kalinowska, 2015

Redakcja Teresa Leśniak

Korekta Paulina Orłowska / d2d.pl, Magdalena Mrozek / d2d.pl

Skład Sandra Trela / d2d.pl

Skład wersji elektronicznej Janusz Oleś / d2d.pl



The translation of this work was supported by a grant from the Goethe-Institut which is funded by the German Ministry of Foreign Affairs

ISBN 978-83-8049-058-1

Spis treści

Strona tytułowa

Strona redakcyjna

Motto

Część pierwsza

Część druga

Część trzecia

Część czwarta

Przypisy

Kolofon

Wierszynin:

Skądże znowu? Tu klimat jest pyszny, zdrowy, prawdziwie słowiański. Las, rzeka... i brzozy.

Śliczne, skromne brzozy, lubię je najwięcej ze wszystkich drzew. Dobrze się tu mieszka.

Dziwne tylko, że dworzec kolejowy leży o dwadzieścia wiorst od miasta... I nikt nie wie, dlaczego.

*Antoni Czechow, Trzy siostry,
przeł. Natalia Gałczyńska*

Część pierwsza

Nie chciałam, żeby ten dzień się zaczął. Chciałam tylko leżeć, spać, ale przez szeroko otwarte okno do sypialni wpadał śmiech sprzedawców warzyw i dudnienie tramwaju. Mieszkaliśmy niedaleko dworca kolejowego, co przede wszystkim oznaczało całe ciągi ulic, których należało unikać, z tanimi sklepami i wielkimi kinami porno. W kamienicy wciśniętej między chińską pralnię a alternatywne centrum młodzieżowe. Jego goście regularnie sikali w bramie wejściowej. Nasze mieszkanie wymagało gruntownego remontu, było zaniedbane, ale tanie. Co rano koło piątej pod oknami czyiś ojcowie, bracia i kuzyni rozładowywali półciężarówkę, trzaskali drzwiami, rozkładali stoiska, pili herbatę, gotowali kolby kukurydzy, czekając, aż ulica się zapełni, a oni zautomatyzowanym, monotonnym śpiewem będą mogli zachwalać owoce. Starłam się przysłuchiwać ich rozmowom, ale najczęściej łapałam tylko strzępy zdań albo zasypiałam.

Elias leżał obok mnie: niespokojnie, wargi lekko rozchylone, drżące powieki, nieregularne unoszenie się i opadanie brzucha. „Ty pierdolona policyjna cioto, zabiję cię!”, wrzasnął jakiś pijak pod balkonem. Sprzedawcy owoców wyśmiali go, spluwając na chodnik pestkami słonecznika.

Elias się obudził, odwrócił w moją stronę, położył mi głowę na brzuchu, nie otwierając oczu. Jego ręce znalazły moje. Leżeliśmy spleceni, aż za ścianą zabręczczał obcy budzik. Ręka zdrętwiała mi pod ciężarem ciała Eliasa, a kiedy przestałam ją czuć, wstałam i poszłam pod prysznic.

Kuchnia była zawałona naczyniami z wczoraj, na piecyku stały garnki i patelnie z zaschniętymi brzegami, na blacie talerze i kieliszki z niedopitym winem. Powietrze czuć było spalinami, oblepiało skórę jak syrop. To miał być najgorętszy dzień lata.

Elias siedział przy stole, w prawej ręce łyżka z musli, na talerzu okruszki, jasna połówka bułki pod ciemnoczerwonym czepek z dżemu. Usiadłam naprzeciw, sięgnęłam po gazetę, ale zamiast czytać, przyglądałam się jego twarzy. Miał wydatne kości policzkowe, niebieskoszare oczy i ciemne, trochę za krótkie rzęsy. Był śliczny jak mały chłopiec. Ta uroda mnie złościła, bo nie zostawał ludziom w pamięci jako on sam, lecz jako ktoś przypominający aktora, którego nazwisko akurat wyleciało z głowy. Ale jeszcze efektowniejsza była jego intuicyjna uprzejmość: wobec niecierpliwych sprzedawczyń, które nagle przestawały spoglądać na zegarek, rozchichotanych uczennic, asystentek lekarzy, bibliotekarek i wobec mnie. Przede wszystkim wobec mnie. Jak hochsztapler, mawiała moja matka. Ale uwielbiała go właśnie za to i dlatego, że z jakiegoś powodu wiedział, co w orientalnej rodzinie wypada, a co nie.

Nalał do musli kawy. Biel rozpuściła się w brązie, na powierzchnię wypłynęły rodzyнки. Na stole pod gazetą leżała otwarta książka kucharska, rybia głowa gapiła się na mnie z pytaniem w oczach. Zamknęłam książkę.

– Jesteś wegetarianinem! Zapomniałeś? – zapytałam żartobliwie.

– Ale patrzę, co wkładam do pieca – odparł poirytowany.

To była aluzja do poprzedniego wieczoru. Chciałam zrobić quiche, wypróbować to słowo. Jakbym była francuską aktorką w roli francuskiej pani domu czekającej na swego francuskiego kochanka, który wraca z wojny jako inwalida, a ona piecze dla niego quiche, nie wiedząc, którą część ciała stracił. To słowo dobrze brzmiało, lubiłam jego rodzaj gramatyczny. Kupiłam zamrożone kruche ciasto, które okazało się słodkie, więc quiche była do niczego. We Francji takie ciasto nigdy nie jest ani słone, ani słodkie. Elias zjadł, co mu podałam. Nie żądałam takiej uprzejmości, ale on wciąż jeszcze miał zwyczaj cierpieć z powodu dobrego wychowania. Każdy kęs natychmiast splukiwał wodą.

– Widziałaś moje nakolanniki? – zapytał, podczas gdy ja grzebałam w lodówce, szukając quiche.

– Widziałeś kolację?

– Zamroziłem ją.

– Co?

– Nie sądziłem, że jeszcze będziesz jadła.

– Czy ty zawsze musisz odgrywać współczującego Niemca? – zapytałam, a on się uśmiechnął, przysunął mi musli i mleko, wyjął z szafki miseczkę.

Usiadłam i zaczęłam układać w stos moje rzeczy do nauki – notesy, listy słówek, fiszki i słowniki, które wkuwałam na pamięć od A do Z. Wrócił do stołu, pocałował mnie delikatnie w czoło, tuż u nasady włosów, i powtórzył pytanie.

– Widziałaś moje nakolanniki?

– Już mówiłam, że nie.

– Ale ty zawsze wszystko przekładasz.

– Nie mam pojęcia, gdzie są.

Ostrożnie ustawił naczynia w zmywarce, uważając, żeby talerze się nie stykały.

– A właściwie to odkąd grasz w piłkę? I z kim?

– Grałem już wcześniej.

– Na pewno sobie coś złamiesz.

– Czy muszę mieć tło migracyjne, żeby grać w piłkę? – popatrzył mi prosto w oczy.

– Znowu używasz tego zwrotu? – starałam się, żeby mój głos zabrzmiał ironicznie, ale mi się nie udało.

Za każdym razem, kiedy czytałam albo słyszałam to określenie, czułam, jak żółć podchodzi mi do gardła. Gorzej było mi tylko przy przymiotniku postmigracyjny. Najbardziej nienawidziłam jednak związanych z tym dyskusji. Nie tylko publicznych, także tych między Eliasem a mną. Nigdy nie padało w nich nic nowego, ale ich ton był pouczający i gwałtowny. Jedno z nas prowokowało sprzeciw, a potem wikłaliśmy się w twierdzenia i napominania. On zarzucał mi skrytość, ja jemu natarczywość, i w tym momencie najczęściej przechodził od ogólników do szczegółów.

Popatrzył na mnie urażony. Podeszłam, położyłam jego ręce na moich biodrach. Miał na brodzie pojedynczy, jasny włos. Zdjęłam go. Elias oparł głowę na moim ramieniu, pocałowałam go w szyję, wsunęłam prawe kolano między jego nogi i rozpięłam kilka guzików sukienki, ale potrząsnął głową.

– Jestem spóźniony – szepnął mi do ucha.

Otwartą dłoń uderzyłam w kuchenny blat. Spojrzał z wyrzutem.

– To nie tak.

– Moja babcia mówi, że zawsze trzeba mieć czyste majtki.

– Czemu?

– Na wypadek gdyby coś się stało.

– Zwariowałaś. Muszę lecieć.

Odproważyłam go na klatkę, patrzyłam, jak zbiega po schodach. Często brał po dwa stopnie naraz, czasem trzy. Nigdy nie chodził, zawsze biegał, skakał. Zaparzyłam kawę i zaczęłam się uczyć.

W okienku informacyjnym siedziała pielęgniarka. Mimo upału miała na sobie długi sweter. Była blada, co podkreślało ogniste włosy, upięte na karku w ciasny kok. Skrzywiła się w niby-uśmiechu i powiedziała, że mam przestać niepotrzebnie się zamartwiać i zadawać kolejne pytania. Całą drogę do szpitala biegłam, stanęłam przed nią bez tchu, zlana potem i purpurowa. Elias był operowany.

Usiadłam w poczekalni. Gdzieś słychać było radio. Zaczęłam tłumaczyć simultanicznie wiadomości na angielski, a reklamy na francuski. Eksplozja w Kabulu, strzały w Gazie, płonące lasy w Portugalii. Pani kanclerz z wizytą państwową. Uczylałam się mody, przeglądając stary numer „Vogue’a”. Torebki. Bizuteria. Cienie do powiek. Jak leci. Czytałam o trendach z ostatniego listopada, futra i wzory kwiatowe. Potem wyrwałam pierwszą stronę, złożyłam ją i schowałam do torebki. Wyrwałam stronę numer trzy, złożyłam ją i schowałam do torebki. Wyrwałam również stronę numer pięć, złożyłam ją i schowałam do torebki. Dla strony numer sto siedem zabrakło w torebce miejsca.

Lekarz nadszedł, uśmiechał się. Wysoki, o szerokich plecach i starannie zaczesanych do tyłu włosach. Na powitanie wziął mnie za rękę, przytrzymał ją odrobinę za długo. Miał brązowe, bystre oczy. Roztaczał zapach środków do dezynfekcji, zgnilizny i starości. Zaczerpnęłam powietrza. Położył mi dłoń na ramieniu, natarczywość tego gestu zdumiała mnie. Powiedział coś, ale nie zrozumiałam, musiałam dopytać.

- Mówi pani po niemiecku? – wymawiał słowa powoli i bardzo wyraźnie.
- Oczywiście – odparłam.
- Nazywam się Weiss. Lekarz asystent Weiss. Jest pani krewną Eliasa Angermanna?
- Jestem jego dziewczyną.
- A więc właściwie nie powinienem z panią rozmawiać.
- To chyba nie jest problem.

Przez chwilę się zastanawiał, zdawało się, że trudno mu podjąć decyzję. W końcu skinął głową.

- Dobrze. Jak się pani nazywa?
- Maria Kogan.

Zlustrował mnie od góry do dołu.

- Pani nazwisko jest trochę skomplikowane, mogę mówić do pani Mario?
- Nie.

Wzruszył ramionami i w crescendo wytłumaczył, że zespolili kość gwoździem udowym, założyli implant śródszpikowy, Elias stracił dużo krwi. Na fartuchu lekarza widać było bryzgi, zastanawiałam się, czy to krew Eliasa, czy poprzedniego pacjenta. Skinęłam głową i pociągnęłam do siebie drzwi sali wybudzeń. Leczenie będzie długotrwałe, odbiło się za mną echem.

W pomieszczeniu zobaczyłam tylko jedno łóżko, otoczone monitorami i kablami, i jedno krzesło. Zasłony były zaciągnięte, uchyliłam je lekko, na podłogę padł długi pasek światła. Położyłam dłoń na ramie łóżka. Twarz Eliasa była blada, jakby z ciała wyciekła cała krew. Miał białe, spierzchnięte wargi. Wymamrotał moje imię, spoglądając gdzieś obok. Z uda wychodził dren.

Pochyliłam się, poczułam zapach zimnego potu. Pocałowałam go w czoło, pogłaskałam po włosach. Westchnął. Wyciągnęłam rękę, ale cofnęłam ją, bo zobaczyłam wenflon na grzbiecie jego dłoni.

– Źle się czuję – powiedział tak cicho, że to nie mogło być do mnie.

Nagle przypomniało mi się, jak dawno temu twierdził, że istnieją tylko dwie szkoły filozoficzne, stara i frankfurcka.

Zostałam do późna. Rzucił głową w gorączce. Od czasu do czasu przez jego niespokojny półsen przedzierało się: „Jesteś tu jeszcze?”.

Wieczorem zalałam wrzątkiem zupę instant i zatelefonowałam do jego rodziców. Nikt nie odebrał. Pomyślałam, że może powinnam zadzwonić do Elke na komórkę, ale potem usłyszałam, że nagrywam się na sekretarkę.

– Tu Masza. Dobry wieczór. – Zrobiłam pauzę, zagryzłam wargi. – Elias się poślizgnął, grając w piłkę. Złamał kość udową. Leży w szpitalu.

Wypowiadałam te zdania z trudem, od dziesięciu lat mówienie po niemiecku nie sprawiało mi takiego kłopotu jak tego dnia. Elke zadzwoniła w środku nocy. Czy jest źle. Nie, zapewniłam. Nie może zostawić restauracji. Co wieczór pracują pełną parą. Powiedziałam, że tu jestem. Spróbuje przyjechać tak szybko, jak tylko się da. Jestem tu, powtórzyłam.

Spakowałam mu torbę, poskładałam bieliznę, podkoszulki i jedną jedyną piżamę, jaką miał, dołożyłam kosmetyczkę, aparat, blok rysunkowy i ołówki węglowe.

Sąsiedzi Eliasa oglądali popołudniowy talk-show. Dźwięk telewizora mieszał się ze strzępkami rozmów, śmiechem, szelestem gazet i papierków od cukierków, skrzypieniem butów i odgłosem wózków z jedzeniem toczących się po korytarzu.

Leżał w środku, po każdej stronie stało jedno łóżko. Obok łóżek małe stoliki. U sąsiadów piętrzyły się na nich batony, napoczęte opakowania z ciastkami, torebki żelków, cukierków, zeszyty sudoku, papierosy i gazety. Życzyłam wszystkim dobrego dnia, ale nikt nie zwrócił na mnie uwagi.

Leżał w tym szpitalnym łóżku blady, wyczerpany, z oczami pozbawionymi blasku. Przykleiłam do twarzy uśmiech i podeszłam. Torbę postawiłam obok stolika, wyliczyłam, co przyniosłam. Jak w Boże Narodzenie, zażartował.

Zamroczony lekami, przez większość czasu spał i prawie się nie ruszał. Tylko wdychał i wydychał powietrze. Siedziałam obok niego, obierałam kwaśne jabłka, gruszki, mango, a sok lepił mi się do palców. Piłam kawę, znikałam w łazience, spryskiwałam twarz wodą, żeby odeprzeć napływające do oczu łzy i ból głowy. Przedpołudnie minęło, i popołudnie. Słońce zachodziło boleśnie powoli, cienie na zewnątrz się wydłużały, Elias trzymał mnie za rękę.

Następnego ranka już zaczął fotografować. Pokój, ranę i mnie, która nie mogłam na nią patrzeć. Sąsiedzi też zapragnęli, by ich uwiecznił. Grali w karty, usiłowali nawiązać z nami rozmowę. Profesjonalista, więc nie można przegapić szansy, powiedział Heinz, dowiedziawszy się, że Elias studiuje fotografię.

Heinz był żołnierzem, Rainer ślusarzem. Dziś niektóre rzeczy zrobiliby inaczej. Niektóre, oczywiście, niektóre. Heinz, sąsiad z lewej, odchrząknął w pewnej chwili i oznajmił, że musi mi powiedzieć komplement, mówię po niemiecku lepiej niż wszyscy rosyjscy Niemcy, których dotychczas spotkał. A przecież prawie się nie odzywałam. Zaczął opowiadać o niewoli, aż Elias poprosił go, żeby się uciszył. Potem poprosił o to samo mnie.

Było upalnie i duszno, asfalt oddawał ciepło, ulice nie stygły nawet nocą. Zsiadłam z roweru przed szpitalną bramą, otarłam pot z czoła. Wszystkie stojaki były zajęte, chwilę szukałam wolnego miejsca, w końcu je znalazłam, wepchnęłam rower, ale przewróciłam sąsiedni, zielony, po lewej stronie, podniosłam go, starannie ustawiłam.

Szpital był podłużnym, niskim budynkiem o kamiennej fasadzie, kompletnie pozbawionym ambicji, nastawionym na medyczną funkcjonalność, wzniesiono go pośrodku spokojnej dzielnicy z ograniczeniem prędkości. Lekarz, który poprzedniego dnia usunął Eliasowi dreny, przykucnął przed wejściem na oddział ortopedyczny i palił. Miał cienie pod oczami i zmierzwione włosy. Przyjrzałam mu się już wczoraj po południu, wyglądał, jakby przepracował całą noc. Skinął mi głową, zwolniłam, zatrzymałam się niezdecydowana. Wyciągnął rękę z paczką papierosów, jasnoniebieskie pudełko z arabskimi napisami. Poczęstowałam go croissantem. Dmuchał dymem, sięgnął do torebki. Miał szorstkie dłonie, paznokcie żółtawe od nikotyny.

– Dopiero niedawno przestawił się pan na papierosy z filtrem?

– Właściwie nie. Mam je od pacjenta. – Spojrzał na paczkę, obrócił ją kilka razy, przeciągnął kciukiem po arabskich literach, jakby dopiero teraz je zauważył. Nie wiem, co tu jest napisane.

Przetłumaczyłam.

Westchnął, nie odrywając oczu od paczki.

– Ten pacjent zmarł wczoraj po południu. Właśnie wypalamy jego ostatnie papierosy.

Zachłysnęłam się dymem, musiałam odkaszlnąć.

Znów obrócił paczkę, w końcu schował ją do kieszeni spodni. Odgryzł czubek croissanta, okruszki posypały się na fartuch jak łupież. Patrzył to na mnie, to na rogalik.

– Pani do Angermanna?

Przytaknęłam.

– Miał dziś rano plamę.

– Co?

– Plamę.

– Na płucach?

– Co pani przyszło do głowy? – roześmiał się głośno. – Wokół rany pooperacyjnej, małą plamę, to nic niezwykłego, nie ma powodu do obaw.

Poklepał mnie przyjacielsko po plecach i zniknął w budynku.

Wieczorem z rany zaczęła się sączyć wydzielina o słodkawo-gryzącym zapachu, który przypominał mi sowieckie perfumy Warszawianka i wywoływał odruch wymiotny. Aparat fotograficzny leżał na stoliku, Elias twarzą do ściany, miał gorączkę. Zadzwoniliśmy po pielęgniarkę, ale kazała na siebie długo czekać, aż wreszcie pojawiła się w sali tak nagle, że w pierwszej chwili wzięłam ją za ducha. Miała krótki fartuch, wyszczerzyła zęby – w żółtawym siekaczu połyskiwał niebieski kamień. Niepoważne. Oparła

ręce na biodrach, odchyliła głowę. Jej oczy płonęły fanatycznie. Odezwała się niskim głosem, każąc Eliasowi wstać. Powiedziałam, że to nie jest dobry pomysł, ale w głębi duszy musiałam przyznać jej rację, kiedy dziko gestykulując, głośno wytłumaczyła mi, że się nie znam.

– No już, młody człowieku, wstajemy! – zaczęła spychać Eliasa z łóżka.

Elias zagryzł wargi, podniósł się. Twarz wykrzywił mu grymas bólu, a ja wrzasnęłam na pielęgniarkę piskliwie.

– To dla jego dobra – odkrzyknęła.

Zrobił krok, jęknął, ale nie usiadł. Stał i cierpiał, a ona zachęcająco kiwała głową.

– Dalej, dalej.

Kolejny krok, tym razem w ciszy. Z twarzy odpłynęła mu cała krew.

– Czy pani nie widzi, że go boli?

– Ból jest częścią życia. Niech mi pani wierzy, przepracowałam tu dwadzieścia lat!

– O dwadzieścia za długo.

– Masza, daj spokój!

Na czole Eliasa perlił się pot, oddychał szybko i nieregularnie. Zrobił chybotliwy krok w stronę łóżka, głośno wciągnął powietrze i obiema rękami uchwycił się ramy. Popchnęłam go. Nie opierał się, dał się posadzić. Dotknęłam jego policzka, był szorstki i rozpalony. W jego oczach pojawiły się łzy, w moich też. Zasłoniłam go sobą, gotowa na wszystko. Ale Elias pociągnął mnie w dół i bez sił szepnął:

– Proszę stąd iść.

– Czegoś takiego jeszcze nie widziałam – wypadła z sali, trzaskając drzwiami.

Elias oparł głowę na moim ramieniu, pomogłam mu się położyć. Skulił się, odwrócił do ściany. Chwilę później zaczął drżeć na całym ciele. Pogłaskałam go po głowie, nie zareagował. Wybiegłam na korytarz i przywlokłam do sali pierwszą napotkaną pielęgniarkę. Odstłoniła opatrunek i szybko zaciągnęła zasłony oddzielające od sąsiednich łóżek, chociaż były teraz puste. Rana wyglądała źle.

Zawieźli go na radiologię, wrócił i wciąż kulił się z bólu. Lekarze czekali na wyniki z laboratorium. W końcu przyszedł ordynator, niski, łysy, z wydatnym brzuchem. Za nim, kiwając głowami, tuzin studentów, bo jak się okazało, to był szpital uniwersytecki. Ordynator zbadał ranę, zmarszczył czoło. Po nim nad Eliasem pochylili się studenci, niektórzy z obrzydzeniem, inni odpychali kolegów, żeby lepiej widzieć. Ja stałam w kącie, nie widziałam ani Eliasa, ani rany. Czułam jej smród.

Wcześniej rano, blady i nieprzytomny, został ponownie zawieszony na salę operacyjną. Rodzice Eliasa wyruszyli z domu o świcie, teraz czekaliśmy razem w kawiarni. Ojciec miał nos o wielkich porach i naprawdę bydlęcą twarz, matka – pucołowate policzki i silne ręce. Siedzieli nad pełnymi filiżankami i kanapkami, które ze sobą przywieźli.

Horst czytał „Spiegła”, Elke i ja wyglądałyśmy przez okno. Niebo było ponure, przez noc pogoda się zmieniła, wiało i siąpił deszcz. Spoglądali na mnie ukradkiem, raz ojciec, raz matka. Ja patrzyłam w ich twarze i myślałam o zdjęciach z dzieciństwa Eliasa, pierwszy dzień szkoły, z choinką i podczas *Jugendweihe*^[1] – blade, przerażone dziecko. Gdy oboje jednocześnie podnieśli na mnie wzrok, zawstydziłam się tego, co mam na sobie, że jestem umalowana i noszę wysokie obcasy; chociaż noc spędziłam w szpitalu i nie umalowałam się tego ranka, tylko wczoraj. Elke chrząknęła i popatrzyła na zegarek, Horst nerwowo zaszeleścił gazetą.

Okno, przy którym siedzieliśmy, wychodziło na ulicę, wąską i pustą. Mój wzrok zatrzymał się na

szarej kupce pośrodku jezdni. Początkowo uznałam, że to plastikowa reklamówka, ale reklamówki rzadko bywają szare. Później pomyślałam o pluszowej maskotce. Przeprosiłam, trochę za głośno odstawiłam na stół filiżankę i powiedziałam, że muszę do toalety. Lustró odbiło niezbyt piękny obrazek: mój nos błyszczał, co niekorzystnie wpływało na jego wielkość i garb, tusz do rzęs się rozmazał. Lekarz nie był w stanie powiedzieć, jak długo będą operowali.

Zatrzymałam się na ulicy, oddychając płytko, żeby się uspokoić. Wiał zimny wiatr, drżały mi ręce. Przez chwilę obserwowałam własny oddech, później zobaczyłam zwierzę. To był królik, żył, a przynajmniej jego pierś unosiła się w nieregularnych odstępach. Znałam tylko dwie modlitwy, „Ojcze nasz” i „Słuchaj, Izraelu”. „Ojcze nasz” była bezużyteczna, „Szema Jisrael” niewystarczająca. Potarguję się z Bogiem. Elias za królika. Niech ON każe umrzeć królikowi, nie jemu. Głęboko żałowałam, że nie jestem religijna i że nie mogę zaoferować czegoś bardziej imponującego niż „Słuchaj, Izraelu – Adonaj jest naszym Bogiem. Adonaj jest Jeden. Kochaj Boga, twój Boga, całym swoim sercem i całą swoją duszą, i całą siłą wszystkiego. Niech słowa, które Ja dzisiaj ci nakazuję, będą w twoim sercu”^[2].

Kołysałam się modlitewnie jak ortodoksyjni Żydzi podpatrzeni w Arte. Nie Elias. Proszę, nie. Nie. Nie. Pochowam królika, odmówię z pamięci króliczy kadisz.

Boże, prosiłam, zabij go natychmiast. A on oddychał i oddychał, jak okiem sięgnąć żadnego samochodu. Podniosłam go delikatnie, nie miał żadnych widocznych ran. Ale uszy zwisały smętnie, futro było brudne od ulicznego kurzu, czerwone oczy właściwie martwe. O ile można stwierdzić śmierć na podstawie czerwonego koloru oczu. A jeśli nie był ranny? Jeśli tylko przycupnął tu na chwilę?

Położyłam go z powrotem i jeszcze raz odmówiłam „Szema Jisrael”. Z prawej strony nadjechał mały opel. Widziałam, że rodzice Eliasa przyglądają mi się z okna kawiarni. Ogarnęła mnie panika, zaczęłam szukać kamienia. Tu ich przecież nie ma, przemknęło mi przez głowę. Ale chodziło o Eliasa. Pobiełam ulicą, wyrwany skądś kamień leżał obok przystanku autobusowego. Dobry znak. Przelazłam przez ogrodzenie, znalazłam kolejny. Wróciłam, zwierzę uporczywie żyło. Jak wytłumaczyć królikowi, co to jest wiara? Pochyliłam się, pogłaskałam go po głowie, był miękki, wilgotny i nie zareagował na dotyk. Moja dłoń drżała. Wyprostowałam się, zamachnęłam, kamień wylądował obok głowy. Podniosłam go, miałam wrażenie, że zwierzę na mnie patrzy. Poprosiłam o wybaczenie i rzuciłam ponownie, tym razem trafiłam, czaszka pękła, mózg wypłynął, mieszając się z krwią i kawałkami kości. Odwróciłam się, powstrzymując wymioty.

Wracając do rodziców Eliasa, do kawiarni, starałam się stapać cicho, nie stukać obcasami w marmurowe stopnie. Miałam ręce czerwone od zimna.

Operacja przebiegła pomyślnie, ogłosił lekarz asystent Weiss. Stał na szeroko rozstawionych nogach i z uśmiechem potrząsał dłońmi Horsta i Elke. Zatrzymałam się obok, popatrzyłam na Eliasa. Leżał nieruchomo. W jego udzie tkwił kawałek metalu, tym razem dłuższy. Za trzy tygodnie, prawdopodobnie, opuści szpital. Dalsza terapia będzie prowadzona ambulatoryjnie. Deszcz uderzał o szybę, przechodnie pod parasolami uciekali przed nim ulicą.

Moja matka wciąż dzwoniła z pytaniem, czy ma przyjechać, konsekwentnie odmawiałam. Zjawiała się w niedzielę, przywiozła resztki z przyjęcia urodzinowego ojca. Położyłam na stole dwa talerze, noże i widelce, jedzenie zostawiłam w pojemnikach, nie podgrzałam. Matka patrzyła na mnie zatroskana, ja na nią zmęczona. Szczegółowo wypytywała o diagnozę. Moi rodzice długo łamali sobie głowę, jak zrusyfikować imię Eliasa, żeby wyrazić miłość, obdarzyć go czułym zdrobnieniem. Kiedy ojciec w końcu wykrzyknął „Elisza”, matka zaklaskała z zadowolenia – Elisza został przyjęty.

Jadłyśmy w milczeniu. Mnie to nie przeszkadzało, ale matka nie znosiła ciszy, zaczęła opowiadać o pracy. Uczyła gry na fortepianie – najpierw w szkole muzycznej, teraz na uniwersytecie. Ona też miała na początku problemy z nowym systemem: wykształcona w sowieckim konserwatorium, utrzymywała profesjonalne standardy, nie potrafiła z nich zrezygnować. Kiedy ojciec jednej z jej pierwszych uczennic, duchowny, poskarżył się, że lekcje muzyki nie sprawiają córce przyjemności, serce zaczęło jej walić, dłonie spotniały. Do tej pory nie zdawała sobie sprawy, że celem sztuki może być przyjemność. Przed wszystkim jednak nie spodziewała się czegoś takiego po duchownym. W ZSRR muzykę traktowano bardzo poważnie, tak samo jak balet i sztuki plastyczne. W przeciwieństwie do tego, co było w Niemczech każde dziecko obok zwykłych zajęć szkolnych miało prawo do profesjonalnego i przede wszystkim bezpłatnego wykształcenia artystycznego, tak długo jednak, jak długo było chętne do ciężkiej pracy, a matka nie rozumiała, jak można nie być chętnym.

Kiedyś, gdy była jeszcze młoda i odnosiła sukcesy, i zanim – powodowana lekkomyślnym kaprysem – wyszła za ojca, w dużym pokoju stał fortepian koncertowy. Przed występami ćwiczyła całe dni. A ponieważ z powodu rozterek natury higienicznej i ogólnej sytuacji w kraju chodziłam do przedszkola tylko przez kilka tygodni, przesiadywałam w domu pod fortepianem i słuchałam, jak gra.

Za każdym razem, gdy spotykałam się z rodzicami, zapewniałam, że mam się dobrze. Opowiadałam o stypendiach, letnich akademiach, praktykach i wyjazdach zagranicznych, opowiadałam o planach, gdzie będę pracować i ile zarabiać. Opowiadałam o Samim, później o Eliasie, a rodzice we wszystko wierzyli. Dobrze odgrywałam swoją rolę. Przy mięsnych przystawkach, jagnięcinie z marynowanymi kasztanami i suszonymi owocami, przy dolmades, gołąbkach z liści winorośli z farszem z ryżu, jagnięciny, drobno siekanej cebuli i orzechów, matka się śmiała. Opowiadałam wymyślane na poczekaniu anegdoty ze szpitala.

Kiedy w końcu poszła, na stole zostały granaty, brzoskwinie, gruszki, banany, pierożki z ciasta francuskiego i ostatni kawałek tortu czekoladowego. Włączyłam telewizor, na ekranie zamigotała powtórka *Tatort*^[3]. Wszystko wskazywało na to, że pani komisarz wkrótce spędzi w Hanowerze noc z południowcem. Nastawiłam maksymalną głośność i poszłam pod prysznic. Pieczołowicie ścierałam

obumarłe komórki skóry i zapach szpitala. Próbowałam przypomnieć sobie ciało Eliasa bez gwoździ i długiej blizny na udzie. Potem wyobraziłam sobie, że całuję kobietę, na klatce schodowej, wśród trzaskania drzwiami, zapachów gotowania, krzyków dzieci, wsuwam rękę między jej uda. Zanim znaleziono mordercę, usiadłam na kanapie, żeby nakremować nogi. Miałam pewne przypuszczenie, ale czekałam na rozwiązanie zagadki.

Wyświetlacz na radiowym budziku pokazywał czwartą rano. Czułam skurcze brzucha, miałam nieprzyjemny posmak w ustach, bolał mnie kark. Niechętnie poczłapałam do łazienki, znalazłam paczkę tamponów. Zmyłam krew pod ciepłym strumieniem prysznica, owinęłam się miętowozielonym ręcznikiem i wróciłam do łóżka.

Mieszkanie było ciche. Zaczęłam się zastanawiać, czy zamknęłam drzwi wejściowe, czy to normalne, że lodówka wydaje takie podejrzane odgłosy, i dlaczego sąsiedzi tak ostentacyjnie tupią na klatce schodowej. O piątej stwierdziłam, że dalsze leżenie nie ma sensu. Wzięłam z podłogi pierwsze lepsze ubranie, letnią sukienkę w czerwono-białą kratkę, ledwie zakrywała mi tyłek, tak że wyglądałam w niej jak za szybko wyrosnięte dziecko. Związałam włosy i poszłam do kuchni. Próbowałam wyobrazić sobie wszystkie rzeczy, które mogłabym robić pod nieobecność Eliasa, ale nic nie przyszło mi do głowy, więc przestałam robić także to, co powinnam była: wszędzie leżały porozrywane opakowania, gazety, brudne kubki, skórki, śmieci wylewały się z kosza i oczywiście nie segregowałam ich, nie dzieliłam na papier, szkło, plastik, odpady organiczne, metal, urządzenia elektryczne i śmieci wielkogabarytowe. Włączyłam radio, myjąc kawiarkę, mocząc w miseczce homogenizowanego mleka bagietkę do podgrzania, tłumaczyłam wiadomości na francuski. Dzwonek telefonu wystraszył mnie, zadławiłam się bagietką. Na wyświetlaczu zobaczyłam numer Eliasa.

– Już się obudziłeś? – zapytałam zdziwiona.

– A co myślisz? Budzą nas o szóstej, na obchód. Oglądają człowieka, jakby był królikiem właśnie wyczarowanym z kapelusza. A jak ktoś przespał czarodziejską sztuczkę, to wracają.

– Jak się czujesz?

W słuchawce zaszumiało.

– Boli cię?

– Nie.

Oboje wiedzieliśmy, że to kłamstwo.

– Mogłabyś przyjść dzisiaj wcześniej? – zapytał z ociąganiem.

– Tak – próbowałam nadać mojemu głosowi czuły ton.

W tym samym momencie przypominałam sobie, że mam dziś jeszcze jedno seminarium. Ale było za późno. Obiecałam.

– Dziękuję.

– W porządku. Coś ci przynieść?

– Ciepłe ubrania, okna muszą być otwarte. – Potem wymamrotał do telefonu coś, czego nie zrozumiałam, i zakończył normalnym tonem: – Najlepiej szalik i swetry, czarny i ten jasnoszary, kaszmirowy.

– Chcesz coś do jedzenia?

– Tylko nie to, cały czas mnie tu tuczą. Już mi się odkłada. Ale możesz mi przynieść książki i obiektyw z komody, pierwsza szuflada po lewej, tylko tym razem właściwy, proszę cię.

– Chyba nie potrzebujesz tam tego całego pieprzonego wyposażenia?

Rozłączyłam się, spróbowałam wyłowić rozmoczone już kawałki białego chleba z miseczki na musli, ale prościej było wypić jej zawartość. Byłam wściekła na Eliasa, na siebie, na cały świat.

Szłam powoli przez bibliotekę Akademii Sztuk Pięknych, zupełnie inną niż ta na moim wydziale. Raz po raz wyciągałam z regałów jakiś tom, przeglądałam reprodukcje mistrzów flamandzkich i dokumentacje z happeningów. Kiedy trafiłam na katalog wystawy poświęconej Sonic Youth, zaczęłam się zastanawiać, czy moje życie toczy się właściwym torem. Nauka języków przychodzi mi stosunkowo łatwo, szybko pojmuję struktury, mam dobrą pamięć, ale w ostatnich latach rzadko robiłam coś innego niż zakuwanie fachowego słownictwa i konstrukcji gramatycznych. Byłam zdyscyplinowana i żądna sukcesu. W szkole miałam angielski, francuski i włoski, potem pojechałam na rok do Francji jako au pair, żeby doszlifować francuski. Zapisałam się na studia dla tłumaczy, w czasie wolnym uczyłam się włoskiego i hiszpańskiego, trochę polskiego, ale języki słowiańskie nieszczerze mnie fascynowały. Mimo to pojechałam na semestr na Uniwersytet Łomonosowa do Moskwy, odbyłam praktyki w międzynarodowych organizacjach w Brukseli, Wiedniu i Warszawie. Stypendium naukowe uwolniło mnie od większości dodatkowych prac. Jako żywo mogłam się pochwalić długą biografią uczelnianą i częstymi kontaktami z ritalinem i innymi substancjami ułatwiającymi naukę. Skończyłam studia licencjackie przed czasem regulaminowym, zaczęłam chodzić na kursy arabskiego. Sami był dobrym nauczycielem, ale wrócił do Stanów. Rok później spotkałam Eliasa.

Byliśmy ze sobą od ośmiu tygodni, kiedy postanowiliśmy wyjechać. Podróżowaliśmy prawie cztery miesiące, przez Francję, Włochy, stamtąd na Baleary i do Hiszpanii, później do Maroka, Egiptu i Turcji. Elias robił zdjęcia na wystawę dyplomową. Gdy wróciliśmy, zniknął w ciemni, a ja zapisałam się na dwa kursy magisterskie, tłumaczenie ustne i arabistyka.

Bibliotekarz nosił duże okulary w rogowych oprawkach i gapił się na mój podkoszulek. Przesunęłam książki w jego stronę.

– Przepraszam, nie mogę się powstrzymać, są bardzo piękne, mam na myśli twoje piersi.

Spojrzałam mu w oczy, były zimne i szare. Najwyraźniej dobrze się czuł w swojej skórze, nie wyglądał ani na zakłopotanego, ani na przyłapanego, z uśmiechem podał mi książki. Prawdopodobnie zdekonstruował własny seksizm i uznał, że może sobie pozwolić na wszystko. Chciałam upuścić ciężki stos monografii o sztuce na jego palce, ale zdążył cofnąć rękę. Przez chwilę zastanawiałam się, czy go opluć, ale wydało mi się to zbyt teatralne.

Byłam tak wściekła, że wybrałam się na uniwersytet piechotą. Miałam nadzieję, że ochłonę. Droga zajęła mi godzinę, musiałam przejść przez zatłoczone śródmieście i dzielnicę bankową. Trzy razy zostałam poproszona o datek, sześć razy się do mnie uśmiechnięto, dwa razy ktoś chciał wysepić papierosa, trzy razy jedno euro, a jakiś hipis z sześćdziesiątego ósmego zapytał o masaż tantryczny. Spóźniłam się na seminarium, moje francuskie tłumaczenie okazało się słabe. W ogóle nie miałam dziś głowy do *Tłumaczenia symultanicznego francusko-niemieckiego III* ani do *Introduction à la problématique des techniques industrielles*, ani do translacji w ogóle.

Profesor poprosił, żebym przyszła na jego dyżur. Przez całe studia nie dostałam noty gorszej niż 1,5, a tę i tak przez przypadek, w pierwszym semestrze. Dziś po południu będzie siedział naprzeciwko, mieszał w niebieskim kubku i napominał mnie, żebym pracowała. Potem zapyta o rejony uprawy wina

w Azerbejdżanie i żartuję się, że tak późno doszłam do wielojęzyczności, no cóż, nie jestem native'em i nic nie da się z tym zrobić. A ja będę w milczeniu mieszała nieposłodzoną herbatę i nie opowiem mu o wybitnej brandy z regionu wokół Gandzy, bo tego koniaku nie można dostać w eleganckich butelkach ani w delikatesach na frankfurckiej Fressgass, lecz wyłącznie w Gandzy, przechowywany jest w kanistrach, które wysyła się do koneserów i bliskich krewnych. Nie powiem mu, że azerskiego nauczyłam się być może nie od rodziców, tylko od naszych sąsiadów, i że mówiłam nim płynnie i bez akcentu, dopóki nie wyemigrowałam do Niemiec i przestałam mieć z nim kontakt. Tak samo jak nie powiem, że w Azerbejdżanie od piątego roku życia pobierałam prywatne lekcje angielskiego i francuskiego i że moja matka musiała na te lekcje sprzedać diamentowy pierścionek po swojej matce. Nie powiem mu, że ludzie żyjący bez bieżącej wody niekoniecznie muszą być niewykształceni. Ale mój profesor był moim profesorem, adoptował na odległość dzieci w Afryce i Indiach. Praktykował wielokulturowość w salach kongresowych, budynkach konferencyjnych i drogich hotelach. Integracja znaczyła dla niego żądanie mniej chust, więcej skóry, poszukiwanie ekskluzywnych win i niezwykłych celów podróży.

Do szpitala dotarłam jeszcze wściekła. Rainer powiedział, że Elias jest na badaniach, Heinz dodał z porozumiewawczym mrugnięciem:

– To może dłużej potrwać. Ale zostań. Zatrzymamy się o ciebie.

Roześmiali się.

Rzuciłam książki na stolik i wyszłam. Wokół poszczególnych oddziałów były małe parki, ale trudno było znaleźć tam spokój, ławki stale okupowali starzy ludzie, wąskimi ścieżkami przepychali się pacjenci na wózkach. Zająłam jedyną wolną ławkę i zapaliłam papierosa. Niecałe pięć minut później przysiadła się do mnie krucha, stara kobieta w kolorowej chustce i ze złotymi zębami. Z kieszeni szpitalnej piżamy wyjęła torebkę pestek słonecznika, zaczęła je łuskać, wypluwając łupinki tuż pod moje nogi.

– W środku nie mogę. Sąsiedzi skarżą doktorowi.

Odpowiedziałam po rosyjsku, jej twarz się rozjaśniła. Zamachała torebką przed moim nosem.

– Masz narzeczonego?

– Nie.

– Chłopaka?

Skinęłam głową, a ona z zadowoleniem wypluła kolejną porcję łupinek.

– W twoim wieku byłam już mężatką.

Wzruszyłam ramionami.

– Jak często?

– Słucham?

– Jak często? – powtórzyła. – Jak często cię bije? Mocno? Z całej siły?

– Nie bije mnie.

– Wszyscy biją. Mnie bił mąż. Teściowa. Ta najmocniej, umiała przyłożyć, że ho! A synowa, ta też była zła. Leżałam w szpitalu, dwa lata.

– Dwa lata?

– Tak. Dwa lata.

– Na jakim oddziale?

– No jak to, na sowieckim, jak wszyscy. Co to za pytanie?

– To był oddział zamknięty?

– Nie, jestem zdrowa na umyśle. Co ty w ogóle wygadujesz? Byłam w ciąży, z siódmym. Zamilkłam.

– Sześcioro to aż nadto! Mówiłam mu, żeby mnie nie tykał, ale wciąż to robił.

Skinęłam głowę.

– Miałam dosyć. Weszłam na szafę i skoczyłam. Wyleciały mi organy wewnętrzne, no to mnie wzięli.

A teraz znów jestem w szpitalu.

IV

Znałam tego mężczyznę, który schylony zbierał drobne przy kasie. Czarny płaszcz, siwe włosy starannie ułożone na dziwnie kanciastej czaszce. Nie od razu go zauważyłam, dopiero po chwili zwróciłam uwagę na lekko kołyszący się chód i szpiczaste czubki butów z krokodylej skóry. Na uniwersytecie mijał nas z uśmiechem, muskał wzrokiem jak grupę ludzi, których twarze nie trzeba rozpoznawać. Windmühle udzielał konsultacji i był ucieleśnieniem arogancji tłumacza odnoszącego sukcesy, który wykrochmalone kołnierzyki koszul nosi postawione, perfekcyjnie włada wieloma językami i pracuje na zlecenie wszystkich wielkich instytucji. Mówiono, że jego głos brzmi w słuchawkach tak dobrze, iż pewna delegatka z Liechtensteinu złożyła mu dwuznaczną propozycję. Na wykładach najczęściej osiągał stan absolutnego skupienia na sobie.

Windmühle stał przy kasie i płacił za kanapkę. W pobliżu szpitala północno-zachodniego były tylko cmentarz, zakład pogrzebowy i drogeria. Siedziałam w kawiarni nad cienką zupą i nie mogłam się zdecydować, żeby ją zjeść. Bo wyobrażałam sobie, jakie bakcyle pływają między rozgotowanymi ziemniakami i marchewką z puszki. Elias leżał na oddziale ortopedycznym już od dwóch tygodni, miał przed sobą co najmniej drugie tyle. Liczyliśmy dni, w zależności od naszego nastroju było ich jeszcze dużo albo już mało.

Windmühle uśmiechnął się. Ostrożnie odwzajemniłam uśmiech, podszedł i zapytał, czy może się przysiąść. Wszystkie stoły w kawiarni były wolne.

Skinęłam głową.

– Wie pani co? Zdaje mi się, że panią znam.

Skinęłam jeszcze raz.

– Była pani jedną z moich studentek, prawda? – uśmiechnął się zachęcająco. – Dlaczego zrezygnowała pani z seminarium?

Ugryzł kawałek bułki.

Milczałam.

– Rosjanka?

– Trochę.

Chciałam coś dodać, ale machnął ręką.

– Proszę raczej powiedzieć, jakie języki B pani studiuje?

– Rosyjski, francuski, angielski.

– Jeszcze jakieś?

– Żadnego z języków roboczych.

– Ale z pewnością opcję C?

Skinęłam, nie wiedząc, co powiedzieć. Przyglądał mi się natarczywie, ja dalej kiwałam głową i wlepiłam wzrok w filizankę.

Trzeciego dnia w Niemczech poszłam do szkoły i od razu cofnięto mnie o dwie klasy. Zamiast ćwiczyć pierwiastki, miałam rysować mandale kredkami świecowymi.

Chodziłam z rodzicami do urzędu do spraw cudzoziemców, gdzie uczyłam się, że język oznacza władzę. Kto nie mówił po niemiecku, nie miał głosu, kto mówił łamaną niemczyzną, nie był słyszany. Wnioski rozpatrywano pozytywnie w zależności od wyrazistości akcentu delikwenta. Czekaliśmy, aż nad ciężkimi metalowymi drzwiami wyświetli się nasz numer. Czas oczekiwania był długi, bo urzędnicy w ciągu jednego dnia rzadko załatwiali więcej niż pięciu migrantów, musieliśmy ustawiać się w kolejce na wiele godzin przed otwarciem, żeby w ogóle się do nich dostać. Podczas wywiadówek, które były wydarzeniem na wskroś szykanującym, także siedziałam koło matki na korytarzu, ostrzyżona jak od garnka, w okularach z grubymi szklami i z aparatem korekcyjnym na zębach. Wpatrywałam się we własne buty i wstydziałam się na przemian za matkę i za siebie. Nauczycielki niemieckiego, matematyki i geografii twierdziły jednym głosem, że moja znajomość języka jest niewystarczająca i że nie powinno mnie tu być. Ze zniecierpliwieniem tłumaczyłam matce ich słowa. Gimnazjum, do którego uczęszczałam, migranci znali wyłącznie z gazet wydawanych przez Springera i popołudniowych programów telewizyjnych. W mojej klasie była wprawdzie dziewczynka, której matka pochodziła z Finlandii, a w klasie równoległej był chłopiec z holenderską matką, ale żadne z nich nie nosiło ciuchów z Aldiego, a zresztą byli mormonami. Arabów, czarnych i Turków nie było. Człapałam za kolegami, chciałam mieć takie same ubrania i hobby, ale ani na jedno, ani na drugie nie było nas stać. Kiedy w klasie robiło się za głośno, to ja byłam winna, chociaż wstydziałam się otworzyć usta. Przez trzy lata prawie nie mówiłam. Byłam nastawiona na jakieś niejasne później. Marzyłam, studiowałam mapy, przewodniki, sporządzałam listy rzeczy, których będę potrzebowała po drodze. Trwałam w przekonaniu, że wszystko się ułoży, gdy odejdę i zacznę żyć, zostanę fotografką, dziennikarką albo stewardesą. W naszym małym mieście była amerykańska baza wojskowa, czasem marzyłam, że wyjdę za żołnierza, ale uważałam, że jestem za brzydka, później dowiedziałam się, że niemieckie żony zostają w Niemczech. A ja chciałam wyjechać.

W jedenastej klasie miałam nauczycielkę niemieckiego, której wypadały włosy. Czego nie mogli jej wybaczyć ani współpracownicy, ani uczniowie. Kiedy nie wytrzymała już upokorzeń, sama upokarzała. Było spokojne zimowe popołudnie, światło blade, sala niewietrzona. Ta kobieta uczyła też wiedzy o społeczeństwie, chodziło o przestępczość wśród obcokrajowców i wszyscy byli za natychmiastową deportacją kryminalnego elementu imigranckiego. Dokładnie mówiąc, chodziło o przypadek Mehmeta: opryszka, z którym także ja nie chciałabym zawrzeć znajomości, ale nie rozumiałam, czym się właściwie różni od niemieckiego kryminalisty. Wprawdzie nie dostał obywatelstwa, mimo że urodził się w Niemczech, ale dorastał w Monachium i pobierał nauki wyłącznie w szkołach państwowych. Nauczycielka miała na to pytanie gotową odpowiedź.

Nie byłam w stanie dłużej znieść tej dyskusji, więc wyjęłam z teczki nożyczki i podeszłam do katedry. Stałam przed tą kobietą z nożyczkami w prawej ręce. W tym momencie wiedziałam, że mogę wszystko, czego zechcę. Zerwałam jej z głowy perukę. Ktoś się zaśmiał na widok niemal łysej czaszki z kilkoma smętnymi pasemkami włosów. Nie broniła się, patrzyła na mnie przerażona. Zrobiło mi się jej nawet żal, bo była taką samą ofiarą jak ja. W przeciwieństwie do niej ja jednak postanowiłam się bronić.

Wydalono mnie. Matka była wystraszona, ojciec rozbawiony i trochę dumny, a ja zrozumiałam, że

wszystko będzie lepiej. Najpierw w ogóle nie chciałam wracać do szkoły, postanowiłam pojechać w podróż dookoła świata. Ale nie miałam ani pieniędzy, ani niemieckiego paszportu. Więc poszłam do szkoły imienia Maxa Beckmanna we Frankfurcie i zamieszkałam z Sibel. Miałam siedemnaście lat.

Teraz mówiłam płynnie pięcioma językami, kilkoma innymi tak, jak mówią po niemiecku turyści, którzy jeżdżą na Majorkę, żeby się alkoholizować, ale nie miałam niczego, co przypominałoby czas wolny.

– Co pani tu właściwie robi? – zapytał Windmühle.

– Odwiedzam chłopaka.

Skinął głową, ale nie zapytał o Eliasa, co było mi na rękę.

– A pan?

– Zostawię pani moje namiary. Proszę się odezwać, gdyby pani czegoś potrzebowała.

Zjadł i poszedł, a ja zostałam z wizytówką w ręce.

Sala była przegrzana i duszna. Elias się nie odzywał, ja też nie. Heinz wyszedł kilka dni temu, Rainer był na badaniach.

– Przykryłbym to kołdrą, gdybym mógł.

Podciągnęłam kolana, oparłam na nich głowę, tak żeby nie widzieć ani jego, ani rany.

– Popatrzysz na mnie, dopiero jak wyzdrowieję?

– Nie mogę patrzeć tylko na twoją nogę.

– Dlaczego?

Zacząłam chodzić po sali. Elias wodził za mną wzrokiem, zrezygnowanym i zmęczonym. Ale wewnątrz był zdrowy i tego mu zazdrościłam. Spuścił oczy.

– Nie wiem, jak długo to zniosę – powiedział.

– Zrywasz ze mną?

– Nie pomogę ci.

– Prosiłam cię o pomoc?

– Dlaczego mi wreszcie nie powiesz, co się z tobą stało? Wyjechaliście przecież w dziewięćdziesiątym szóstym, jak już było po wszystkim.

– Nie było po wszystkim. Co ty tam wiesz.

– No właśnie, co ja wiem... – powtórzył gorzko.

– Mówisz jak urząd do spraw cudzoziemców – przerwałam mu.

Westchnął ciężko.

– Tak to nie może wyglądać.

– No więc? Zrywasz ze mną? – krzyknęłam.

– Nie!

– To nie gadaj głupot.

Wybiegłam, głośno trzaskając drzwiami. Tak rozmawialiśmy często i za każdym razem było gorzej.

W toalecie podstawiłam ręce pod ciepłą wodę. Najpierw dłonie, potem nadgarstki. W końcu włożyłam głowę pod strumień wody. Krople skapywały mi na nogi. Pomyślałam, że powinnam uciec. Byłam w stanie w ciągu dwóch godzin spakować się i opuścić mieszkanie. W większości krajów bym przeżyła. Właściwie niczego nie potrzebowałam. Mogłabym uciec od razu.

Wróciłam, Elias uśmiechnął się do mnie, wyciągnął rękę. Podeszłam do łóżka. Na niebie umierało słońce, zatapiając salę w ciepłym świetle.

– Było dziecko i był ojciec. Ojciec chciał zaprowadzić dziecko w bezpieczne miejsce. Do mieszkania babki mieli dziesięć minut piechotą. Dziecko nie miało jeszcze siedmiu lat i czuło, że w ostatnich dniach

coś się zmieniło, ale nie potrafiło powiedzieć co. O tym myślało, kiedy upadła obok niego kobieta. Krew popłynęła powoli w stronę dziecięcych butów, ich czubki zabarwiły się na czerwono. Krew była ciepła, a kobieta młodsza niż ja teraz. Dziecko odgarnęło z twarzy kosmyk włosów, na policzku została mu krew. Mogło być gorzej, powiedziała babka późnym wieczorem, myjąc buty dziecka.

Elias wziął moją rękę, zaczął całować wewnątrz dłoni, później ramię. Potem wyciągnął palce w stronę mojej twarzy, pogłaskał mnie po policzku i przytulił.

Niebo było ponure, perony przepełnione dojeżdżającymi do pracy, grupy ubranych identycznie uczniów wsiadały i wysiadały. Kolejka miejska zatrzymywała się co dwie minuty. Nie mogłam się skupić na fisekach, obserwowałam młodzież. Wszyscy chłopcy nosili się wedle mody obowiązującej w osiedlach socjalnych. Dziewczyny wykorzystywały wyświetlacze telefonów jako lusterka, próbując ratować fryzury. Nieletni miłośnicy gangsta rapu konstruowali turecko-arabskie pseudozdania, żegnali się z kolegami słowami „No to... *bunun üzerine*^[4], cześć”. Pola, nowe bloki i budki dróżników pojawiały się w nieregularnych odstępach, a oni krzyczyli do siebie: „No to cześć, co nie?”. Domy i ludzie wyglądali jak chleby prosto z foremek. Cieszyłam się, że nie jestem już nastolatką.

Oficjalnie należeliśmy do kontyngentu żydowskich uchodźców mających wzmocnić niemieckie gminy żydowskie. Ale nasza emigracja miała związek nie z żydostwem, tylko z Górskim Karabachem.

Na początku 1987 w Armenii rozpoczęto kampanię, której celem było włączenie Górskiego Karabachu do Armeńskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej. Wówczas w Karabachu mieszkali Azerowie i Ormianie. W Erywaniu odbyły się masowe demonstracje, pierwsze tego rodzaju w ZSRR. Dwudziestego lutego 1988 roku Nagorno-Karabachski Obwód Autonomiczny ogłosił wystąpienie z ówczesnej Azerbejdżańskiej SRR. Doszło do pierwszych starć, pierwsi Azerowie zostali zmuszeni do ucieczki. Sytuacja eskalowała. Ale nikt nie spodziewał się tego, co się wydarzyło w Sumgaicie. Zaczęło się od niewielkiej demonstracji: w centrum miasta zebrali się rzekomi uchodźcy z Kapanu. Policja nie podjęła żadnych kroków. W ciągu następnych dwóch dni gangi spustoszyły miasto, zmieniając je w strefę śmierci dla Ormian. Napastnicy wybijali szyby w oknach, podpalali auta. Demolowali i plądrowali mieszkania, poniżając, dręcząc, mordując i gwałcąc. Niektóre ofiary zostały tak zmasakrowane siekierami, że nie dało się ich zidentyfikować. Mordercy często nie odróżniali Ormian od Azerów, nie istniały przecież żadne domniemane cechy etniczne, większość Ormian mówiła płynnie po azersku. Pierwsze pogłoski dotarły do Baku, akurat gdy szłam z matką do konserwatorium. Stanęłyśmy w kolejce po chleb, a kobieta przed nami powiedziała do innej po rosyjsku, że zatrzymali samochód jej przyjaciół, kazali im wysiąść i zażądali, żeby wypowiedzieli azerskie słowo oznaczające orzech laskowy – *fundukh*. „Powiedz *fundukh!*”, wrzeszczeli napastnicy. „Jak potrafisz powiedzieć *fundukh*, to jesteś muzułmaninem. I wszystko w porządku”. Matka wyjaśniła mi, że Azerowie i Ormianie wymawiają to słowo inaczej. To było jedyne, co mogła mi wytłumaczyć. Podczas pogromu zabito około trzydziestu osób. Prawie wszyscy z czternastu tysięcy Ormian zamieszkujących miasto uciekli.

W kolejnych miesiącach i latach miało dojść do aktów przemocy na większą skalę, do wypędzeń, gwałtów i pogromów po obu stronach. Ruchy nacjonalistyczne okrzepły, status Górskiego Karabachu pozostał niewyjaśniony. W końcu parlament Armenii uchwalił, że należy on do tego państwa. Dwa dni

później Azerowie ogłosili, że to ich ziemie. Ormianie wyjeżdżali z Azerbejdżanu, Azerowie z Armenii, rzadko dobrowolnie. Zbieraliśmy żywność i odzież dla coraz liczniejszych uciekinierów. Kiedy pierwszy raz zobaczyłam chłopca w moim wieku, który zebrał w śródmieściu, a zamiast nóg miał dwa kikuty, zmartwiałam, bo wiedziałam, że nie uległ wypadkowi ani też się taki nie urodził. Ojciec został wysłany do Karabachu jako obserwator, czasem przez wiele dni nie dawał znaku życia.

Wojna o władzę i ropę trwała. W Baku utworzono Narodowy Front Azerbejdżanu. Organizował wiece w fabrykach i biurach, gromadził broń zakupioną od rosyjskich żołnierzy. Oczywiście nielegalnie. Kałasznikow kosztował sto dolarów, czołg trzy tysiące. Nasza sąsiadka też stała się żarliwą nacjonalistką. Podczas gdy ona brała udział w zebraniach, matka opiekowała się jej synem Faridem.

Nienawiść nie była sprawą osobistą, była strukturalna. Ludzie nie mieli twarzy, oczu, nazwisk i zawodów – stali się Azerami, Ormianami, Gruzinami i Rosjanami. Ludzie, którzy znali się przez całe życie, zapominali wszystko, co wiedzieli o sąsiadach. Zostawała tylko domniemana narodowość. Trzynastego lutego 1990 zwolennicy Frontu, uciekinierzy z zaanektowanych terenów i rzekomi agenci KGB zaczęli odwiedzać ormiańskie mieszkania, wizytowali je systematycznie, mieli listy z ormiańskimi adresami. Ich pojawienie się oznaczało rabunek, gwałty, okaleczenia i morderstwa. Zabijali przy pomocy noży i pałek. Nierzadko ludzie wypadali z okien. Nie wolno mi było wychodzić z domu ani zadawać pytań.

Dziadek, który wówczas u nas mieszkał, był ciemnookim i ciemnowłosym mężczyzną o wydatnych kościach policzkowych. Jadąc tramwajem na uniwersytet, gdzie wykładał chemię nieorganiczną, został wzięty za Ormianina i pobity. Trzy dni później zmarł na zawał serca. Znalazłam go rankiem w jego ulubionym fotelu. Ojciec zamknął drzwi do swojego pokoju. To był jego ojciec.

Matka, zalewając się łzami, zadzwoniła do swojej matki. Przez chwilę się kłóciły, potem matka odłożyła słuchawkę i kazała mi się ubrać. Spakowała torbę i wręczyła ją ojcu. Na ulicy było cicho, obok niektórych domów leżały porozbijane meble. I szkło. Ojciec ciągnął mnie za rękę, kazał się spieszyć. Babcia mieszkała trzy ulice od nas. Kiedy do niej dotarłam, nie byłam już dzieckiem.

Piętnastego stycznia 1991 Baku otoczyły oddziały rosyjskie. Ludzie byli niespokojni, na ulicach wjazdowych i przed rosyjskimi koszarami pojawiły się blokady i barykady. Miało to zapobiec masowemu wkroczeniu wojsk. Kilka dni później jednostka KGB wysadziła w powietrze nadajniki radiowe i telewizyjne. Śnieg na wszystkich kanałach. Nikt nic nie wiedział, byliśmy przygotowani na wszystko. Usłyszałam pierwsze czołgi na ulicach. Sąsiadka wpadła do naszej kuchni, krzycząc: „Wszyscy Rosjanie to mordercy!”. Ojciec odpowiedział jej spokojnie: „Proszę opuścić mój dom”.

Rosyjscy snajperzy strzelali do bezbronnych, czołgi rozjechały barykady, ludzi, zniszczyły karetkę. Tej nocy zginęły setki. Szesnastoletnia Żydówka została zastrzelona w mieszkaniu, bo w oknie pojawił się jej cień. Wykrwawiła się na dywanie w dużym pokoju, na kaukaskich kolorach i ornamentach.

Następnego ranka dziesiątki tysięcy demonstrowały przed pałacem prezydenckim. Dwudziestego trzeciego stycznia odbyła się żałobna manifestacja ku czci poległych męczenników, a moi rodzice usiłowali, akurat tego dnia, pochować dziadka. Jego zwłoki od wielu dni rozkładały się w naszym mieszkaniu. Ta decyzja była błędem, samochód został zatrzymany, chcieli ich z niego wyciągnąć, oskarżając, że są rosyjskimi agentami i mordercami. Nienawiść kierowała się teraz przeciw Rosjanom. Rodzicom towarzyszyła przyjaciółka mówiąca płynnie po azersku, członkini Frontu Narodowego. To ona ich uratowała.

Kolejne czterdzieści dni żałoby upłynęło pod znakiem strajku generalnego. Deklaracja niepodległości została ogłoszona w październiku. Stworzono instrumenty identyfikacji i klasyfikacji; podniesiono nową flagę: niebiesko-czerwono-zieloną z białym półksiężycem i białą ośmioramienną gwiazdą. Niebieski symbolizował niebo, czerwony wolność i krew, którą za nią przelano, zielony płodność ziemi – tego uczyliśmy się w szkole. Do szkoły poszłam dopiero w grudniu. W klasach siedzieliśmy w kurtkach, pisaliśmy w rękawiczkach, szyby były powybijane. Nad Baku jak mgła zawisła nieoficjalna godzina policyjna, obowiązywała do naszego wyjazdu.

W Górskim Karabachu szalała wojna. Sąsiadka pięć razy dziennie błagała Boga: „Nie pozwól iść mojemu synowi”. Nie pomogło, dostał powołanie dwa dni po swoich osiemnastych urodzinach. Moja matka dała mu ciepłą kurtkę ojca. Farid nie wrócił, a jego matka przestała się modlić.

Uchodźcy z Karabachu obozowali w parkach, owinięci w koce, niektórzy byli okaleczeni. Wielu zajęło ormiańskie mieszkania, czasem siłą. Z Górskiego Karabachu uciekło milion Azerów. Azerskie klasy wypełniły się nowymi uczniami, rosyjskojęzyczne pustoszały. Ja bawiłam się lalkami i ćwiczyłam zapominanie.

W kolejnych latach prawie nie było gazu, prądu i wody, włączali je co najwyżej przez godzinę dziennie. Każda wizyta w szpitalu miała swoją cenę, rząd nie nadążał z drukowaniem pieniędzy, zasady logiki przestały obowiązywać. System się załamał. Ludzie, którym jeszcze niedawno dobrze się powodziło, przemykali chyłkiem ulicą, z ich twarzy znikła nadzieja, wielu żebrało. Pewnego razu do naszych drzwi zadzwoniła dobrze ubrana kobieta, powiedziała, że jej bliźnięta umierają, drżącą ręką wzięła od matki pieniądze. Inteligencja i mafia wyemigrowały, w Baku nie został prawie nikt: żadnych lekarzy, profesorów, inżynierów; ani Ormian, ani Gruzinów, Żydów, Rosjan, Tatarów. Były tylko groby, na których utrzymanie przysyłało pieniądze z zagranicy.

Nie mogliśmy zostać w Azerbejdżanie.

Ojciec nie chciał emigrować do Izraela. Matka codziennie mówiła o antysemityzmie w Rosji, ale w głębi ducha nie umiała wyobrazić sobie ojca w państwie żydowskim. Słowa: tereny okupowane, armia, państwo żydowskie, nie pasowały do jej utopijnych wyobrażeń o przyszłości.

Ciotka wyjechała do Izraela w 1990 roku. Rodzice nie chcieli. Oboje mieli dobre posady, postanowili poczekać. Była jeszcze nadzieja, że zostaną wpuszczeni do Stanów albo Kanady, ale właśnie te granice zostały zamknięte jako pierwsze. Do Niemiec czy do Izraela można jeszcze było wyjechać, ale tylko jako Żyd, toteż rejestry w synagogach zapełniły się nazwiskami, mnożyły się podania o pozwolenie na wjazd w niemieckiej i izraelskiej ambasadzie. Przekupywano tych samych ludzi, których wcześniej proszono o wykreślenie słowa Żyd z paszportu i aktu urodzenia, bo kariera była możliwa jedynie wówczas, gdy miało się czyste dokumenty.

Tymczasem wybuchła pierwsza wojna w Zatoce, Irak wystrzelił na Izrael rakiety Scud, a matka siedziała zrozpaczona przed telewizorem, ściskając w rękach słuchawkę telefonu. Chociaż to było bez sensu, rozmowy międzynarodowe trzeba było zamawiać wiele tygodni wcześniej.

Pierwszą zimę w Izraelu moi krewni spędzili w bunkrach, w maskach gazowych. Matka postanowiła, że za żadne skarby za nimi nie pojedzie. Wyobrażenie, żeby wyemigrować akurat do Niemiec, rodzice także początkowo uznali za absurdalne. Jeszcze w 1994 matka mówiła, że jej noga nigdy nie postanie w kraju, gdzie popioły są jeszcze ciepłe. Babka należała do ocalonych. Dziewięć miesięcy później złożyli wniosek o wjazd w niemieckiej ambasadzie. W dziewięćdziesiątym piątym wniosek został

rozpatrzony pozytywnie, zaczęliśmy wyprzedawać nasze rzeczy: najpierw sprzęty elektroniczne i wyposażenie kuchni, później meble. Matka długo nie mogła się zdecydować, komu zostawić fortepian. Każdą sprzedaż świętowaliśmy jedzeniem, znów można było kupić artykuły spożywcze, chociaż za horrendalne ceny. Tylko książek nikt nie chciał. Dwa tysiące tomów utworzyło wielką górę śmieci. W 1996 roku byliśmy w Niemczech. W dziewięćdziesiątym siódmym pierwszy raz pomyślałam o samobójstwie.

Wysiadłam na ostatnim przystanku, Friedberg. Pogoda była kiepska. Domy niskie i ciche. Przed budynkiem dworca śmierdziało uryną, jakiś dwunastolatek krzyknął w moim kierunku „cipa”. Kiedy się odwróciłam, zaśmiał się i powiedział coś po turecku do kolegów jedzących smażony makaron z chińskiej budki. Cała grupa wybuchła głośnym śmiechem, a ja równie głośno życzyłam, żeby jedzenie stanęło im w gardle.

Dzwonek zadzwieczał przeraźliwie trzy razy, zanim ojciec otworzył. Zaskoczony, ściągnął kąciki ust, ale po chwili jego twarz przybrała zwykły wyraz kompletnego zniechęcenia. Był mężczyzną, który rozumiał, że nigdy już nie będzie dobrze. Pozwoliłam, żeby jego usta musnęły mój prawy policzek, ostrożnie poklepałam go po plecach. Matki nie ma i czy już jadłam. Nie czekając na odpowiedź, wrócił na górę do sypialni, do komputera i swoich rosyjskich filmów. Wzięłam z lodówki jeden z bezlaktozowych jogurtów matki i usiadłam przed telewizorem, nie włączając go.

Ciemnobrązowa kanapa była osłonięta kremową narzutą, pilot przezroczystą folią. Na meblościance obok rosyjskich wydań Feuchtwangera stały zdjęcia z lepszych dni: matka i ja nad morzem, przed zamkiem z piasku, wesele dziadków, ojciec jako młody mężczyzna przed bramą centrum treningowego im. Jurija Gagarina. Wszyscy Rosjanie chcieli zostać kosmonautami, a mój ojciec rzeczywiście nim został. Ale takim, któremu nigdy nie było dane polecieć w kosmos. Jak Gagarin był członkiem partii, skończył szkołę lotniczą z wyróżnieniem i jak Gagarin studiował w Akademii Technicznej Lotnictwa, jak Gagarin brał udział w treningach kosmonautów, na tym jednak skończyła się ich wspólna historia. Nie wiadomo dlaczego. Ojciec wrócił do Baku i nikt nie miał mu za złe porażki, nikt nawet nie oceniał jego powrotu w kategoriach porażki. Dostał posadę w ministerstwie, stał się poważanym, bardzo zajęтым człowiekiem. Myślę, że to i upadek Związku Radzieckiego były największymi zaskoczeniami jego życia.

Czasem, kiedy przychodził z pracy, zabierał mnie na dach. Budował teleskop, objaśniał mi poszczególne konstelacje, szeptał ich nazwy, jakbyśmy znali je tylko my dwoje i jakby były naszą tajemnicą. Czulałam jego ciepły oddech pachnący migdałami. A jeśli wcześniej pił, prowadził mnie do łóżka, kazał założyć koszulę nocną i dawał całusa, drapał zarostem po policzku, głaskał po włosach. Później, równie czule, kładł rękę na kaloryferze i wychodził z pokoju. Niemcy nie miały dla niego żadnego zastosowania. Na swojej socjalnej Syberii nosił spodnie od dresu i prążkowane podkoszulki na ramiączkach. Tak zwane *wife-beater*, choć jako żywo damskim bokserem nie był. Poddał się, z dnia na dzień. Z nikim się nie zaprzyjaźniał, prawie nie wychodził z domu, tylko czasem szedł na stację porównać ceny paliwa.

Najpierw do kuchni wkroczyła matka. Ojciec także zszedł na dół, usiadł przy stole i zaczął nabijać papierosy. Matka zamasyście otworzyła lodówkę. Kazała mi wycisnąć cytrynę i posiekać cebulę. Na ciężkiej metalowej patelni rozgrzała oliwę, szukała rozmarynu. Ojciec czekał niecierpliwie, aż panierka

ryby się zrumieni, otworzył wino. Przy jedzeniu matka opowiadała o uczniach. A kiedy cisza stawała się nieznośna, na przemian zadawaliśmy jej pytania. Przy deserze ojciec wymienił wszystkich znajomych, którzy coś sobie w życiu złamali, matka za każdym razem go poprawiała. Jej oczy były wielkie i niebezpieczne jak reflektory samochodowe.

Chciałam wrócić rano, ale matka odmroziła jagnięcinę na kolację. Nie odważyłam się wyjechać. Drugi wieczór był melancholijny, rodzice siedzieli na kanapie, wspominali, jak morze połyskuje w zatoce w Baku, wycieczkowe parowce i gościnne występy Rostropowicza. Zachowali prawie wyłącznie piękne wspomnienia. Świadomie zapomnieli o korupcji, Froncie Narodowym i kilometrowych kolejkach przed pustymi sklepami spożywczymi i zachodnimi ambasadami. Chociaż matkę wspomnienia o kolejkach nawet bawiły, podobnie jak te o schronisku dla ubiegających się o azyl albo o jelcach nadkamiennikach. Znakomita większość naszych posiłków składała się wówczas właśnie z jelców i kawioru, nielegalnie pozyskiwanego i przetwarzanego. Nie było ani chleba, ani niczego innego, tylko te jelce. To ryby słodkowodne, wyglądają jak małe śledzie. Wystawaliśmy w wielogodzinnych kolejkach, żeby je kupić. Przy świecach, prąd włączali z rzadka, zresztą świece też były towarem deficytowym, matka patroszyła je dłońmi pianistki.

Następnego dnia jechałam do Frankfurtu z trzema butelkami koszernego wina w torbie. Matka nigdy go nie piła, zamawiała je przez synagogę, żeby wyświadczyć uprzejmość rabbiemu i Bogu, a potem szła do znajomych po podwójną ilość wina gruzińskiego. Zbieżność gospodarczo-rynkowa między sprzedażą koszernego wina przez synagogę i wina gruzińskiego przez dom parafialny była jednakowoż uderzająca.

VII

Nawet okna na całą ścianę nie były w stanie rozjaśnić ciemnej boazerii, którą wyłożono wewnątrz. Na barze stał flakon z liliami, po prawej stronie wisiał płaski telewizor, leciało CNN, z wyłączonym głosem. W porze obiadowej bar zapełniał się bankierami rozmawiającymi po angielsku z europejskimi akcentami, rozluźniającymi krawaty i zamawiającymi sandwicze.

Cem wpatrywał się w ekran. Otworzyli zaledwie pół godziny temu, kelner stał apatycznie za barem, ściereczką w kratkę polerował szklanki. Sięgające brody włosy opadały mu na twarz.

– Blado wyglądasz – odezwał się Cem.

Ostatnie guziki koszuli nosił rozpięte, na piersi połyskiwał złoty półksiężyc. Miał nieregularny zarost, po prawej stronie ust widać było łysą plamę.

Usiadałam naprzeciw niego. Był pierwszym w swojej rodzinie, który poszedł na studia, mówił po turecku lepiej niż rodzice. Urodził się we Frankfurcie, był dwujęzyczny, tak przynajmniej sądził. Dopiero podczas wakacji w Stambule stwierdził, że mówi dialektem. Poza tym wielu słów nie znał. Więc spędził rok na najlepszym stołecznym uniwersytecie i nauczył się języka stambulskiej klasy wyższej. Z krewnymi nadal porozumiewał się dialektem, który przywieźli ze swojej wioski do Niemiec. My rozmawialiśmy po niemiecku jak dwoje perfekcyjnie zintegrowanych, wzorowych imigrantów. Ale ponieważ azerski jest tak podobny do tureckiego, że się nawzajem rozumieliśmy, o dziecięcych figlach opowiadałam po azersku, a on po turecku cytował rodziców czy ciotki. Czasem śmiał się z archaicznych form, których używałam.

– Co pijesz? – zapytałam.

– Whisky.

– Nie za wcześnie?

– Çüş^[5].

– Kiedy masz egzamin?

– Za cztery dni, ale dziś wieczorem jest impreza.

– Nie mam ochoty.

– Oczywiście, że masz ochotę, cały dzień siedzisz w szpitalu. Dzisiaj ze mną wychodzisz. Daj spokój, potrzebujesz tego tak samo jak ja. – Wyszczrzył zęby i jednym łykiem wypił zawartość szklanki. – Ale najpierw przejrzyj moje tłumaczenie.

Kelner postawił na stole dwie nowe szklanki i miseczkę z fistaszkami. Cem rzucił tęskne spojrzenie na nieotwartą jeszcze paczkę papierosów. Z ostrzeżeniem przed śmiercią. Czułam, że właśnie wyobraża sobie szelest celofanu, odrywanie sreberka, smak filtra, trzask zapalniczki, pierwszy haust dymu. A może pomyślał tylko o kelnerze.

– Jak on się miewa? – zapytał.

– Elisza? Do dupy. Bardzo go boli. Próbuje go czymś zająć, ale mi nie wychodzi.

– Denerwuje cię?

– Co to za pytanie?

– Mam rację?

Wzięłam orzeszka, poczułam na języku słony smak, rozgryzłam.

– Przykro mi – powiedział Cem.

CNN pokazywało reportaż z Bliskiego Wschodu. Demonstracja wściekłych facetów w kefijach, wymachujących flagami palestyńskimi ciągnęła przez Gazę, relację przerywały obrazy zniszczonych domów i izraelskich czołgów. Cem pokręcił głową i upił łyk.

– Co jest? – zapytałam.

Wciągnął powietrze nosem.

– Wojna.

– Nie wierzę – odpowiedziałam. Popatrzył na mnie rozbawiony, więc dodałam: – O tym, czy faktycznie będzie wojna, dowiemy się, jeśli dadzą dłuższą rozmowę z korespondentem.

– Ale na to wygląda. Ojciec już coś mówił o darach dla uchodźców.

– Nie mówi tego za każdym razem? – mój głos zabrzmiał agresywniej, niż zamierzałam.

– Tak właśnie – Cem przeciągnął się, obrócił głowę w prawo i w lewo, w szyi coś mu chrupnęło. Popatrzył na telewizor, ziewnął, powtórzył to swoje „właśnie” i dodał: – Koniec końców ojciec i tak woli grać w lotto – zaśmiał się smutno.

– Zawsze pokazują to samo. Spójrz. Zmieniające się szybko obrazy ofiar i okupantów. Najpierw teksty, że izraelskie akcje są agresywne, nieproporcjonalne, że za głęboko wkraczają na terytoria palestyńskie. Później ofiary: udręczone matki oplakujące męczenników na wyschniętej ziemi, szalejący ogień, a w oddali izraelskie checkpointy i czołgi.

– A ty? Uważasz, że to wszystko nieprawda? Nie bądź taka naiwna.

CNN pokazywało właśnie jasnowłosą Amerykankę, która gestykulowała przed kamerą z zatroskanym wyrazem twarzy.

– Dziennikarzom w ogóle nie wolno tam wjeżdżać, stoją na wzgórzu.

– I piszą, co im dyktuje izraelska armia – odparł zjadliwie.

– Skoro nie znają ani hebrajskiego, ani arabskiego...

– No i? Powinni wynająć ciebie, co? – przerwał mi.

– Dupek.

– Nie wściekaj się tak. To, że ktoś nie studiuje na dwóch fakultetach, nie znaczy, że ma niewystarczające kwalifikacje.

Wstałam i wybiegłam do toalety. Podstawiłam ręce pod ciepły strumień wody, próbowałam zlokalizować swoją wściekłość. Miałam wrażenie, że muszę bronić czegoś, co w innych okolicznościach bym krytykowała.

Ktoś zastukał do drzwi, Cem wsunął głowę do pomieszczenia i rozejrzał się uważnie. Miał duże oczy, zielone jak głębokie morze wczesnym rankiem. Powiedział, że nie może wejść, bo to damska toaleta. Głos mu drżał. Odparłam, że jest mi obojętne, czy wejdzie, czy nie. Zapytał, czy są tu inne kobiety. Rzuciłam, że to jest mi jeszcze bardziej obojętne. Wszedł.

– Przestańmy. Naprawdę! – próbował mnie uspokoić. – Wracajmy, w telewizji pokazują też inne

wojny – objął mnie. – Mam pomarańczę. Chcesz pomarańczę? Proszę, przestań. Wiedziałaś, że w całej Gazie są tunele i że jeździ tam więcej mercedesów niż tu? Naprawdę, wkrótce będzie tam jak na Goethestrasse^[6].

Schowałam twarz w jego koszuli. Pachniał dobrą wolą i drogą wodą kolońską, przytulił mnie i szepnął:

– Będzie dobrze. Niedługo wróci.

Ściany były wyłożone jedwabnymi tapetami, białe kwiaty na szkarłatnym materiale przetykanym złotymi niciami. Kiedyś mieścił się tu jeden z burdeli dzielnicy dworcowej. Stałam i się rozglądałam. Ciężkie, kunsztownie odlane złote ramy na ścianach, kanapy i fotele obciągnięte czerwonym pluszem. Jeden barman miał róż na policzkach i diadem, drugi nylonową pończochę na głowie. Obsługiwali z wyszukaną apatią. Piękne dziewczyny o błyszczących ustach, pachnące słodkawymi perfumami tańczyły do agresywnego house'u. Młodzi ludzie wyglądali jak uosobienie piękna i szczęścia, znali się na fetyszach, wielu nosiło maski i pióra, lekko ubrani mężczyźni starali się upodobnić do *call boys*. Wszystko się uśmiechało, podtańcowywało, flirtowało.

Poprawiłam przed lustrem sukienkę. Sami stał nonszalancko oparty o kolumnę. Był w ciemnych dżinsach i czarnej skórzanej kurtce. Podał ogień swojej towarzyszce. Miała bardzo jasne włosy, małe piersi odznaczały się pod cienkim materiałem obcisłej sukienki.

Podeszłam do niego od tyłu, położyłam mu rękę na szerokich plecach. To był instynktowny gest, sama sobą zdziwiona stałam za nim, nie wiedząc, co się teraz wydarzy. Odwrócił się i uśmiechnął, a ja usłyszałam swój głos:

– Nie wiedziałam, że jesteś we Frankfurcie.

Nasz uścisk wypadł przyjacielsko. Kiedy się od siebie odsunęliśmy, na kilka chwil zostawił rękę na moim ramieniu. Nie ruszyłam się, póki jej nie zdjął.

– Od miesiąca.

– Jak długo zostaniesz?

Jego towarzyszka ziewnęła demonstracyjnie. Popatrzyłam na nią, usiłując zawrzeć w tym spojrzeniu całą swoją nienawiść i pogardę, ale mnie zignorowała.

– Nie dłużej, niż to konieczne. Skończyła mi się wiza studencka, czekam, aż ją odnowią. Chwilowo zadekowałam się u rodziców, odwiedzam starych przyjaciół.

Oboje zakłopotani upiliśmy po łyku piwa. Kobieta szepnęła mu coś do ucha, przejechała językiem po zębach i w końcu sobie poszła.

– Masza, chciałem do ciebie zadzwonić, ale nie wiedziałem...

Zbliżył się, jego usta znalazły się blisko moich. Stałam na palcach, odgarnęłam mu włosy z twarzy, pocałowałam w czoło.

– Tęskniłem za tobą – powiedział, wydmuchując powietrze do mojego ucha, tak jak robił to wcześniej, gdy się kochaliśmy.

Oddychaliśmy ciężko, niemal w tym samym rytmie. Wyglądał jak ktoś, kto wie, co stanowi o dobrym życiu, gdzie to znaleźć, jak zatrzymać, i koniec końców także to, jak owo piękne życie odrzucić, zanim zanudzi człowieka na śmierć. Krótko mówiąc: miał w sobie coś niebezpiecznego, ale nie odstraszał, zawsze trochę za poważne spojrzenie, na nosie, który uważałam za bardzo seksowny, mały garb. Zawdzięczał go bijatyce w wiejskiej dyskotecie, sam ją zresztą sprowokował.

Chociaż od dawna już ze sobą nie byliśmy, prawie bezwiednie wyciągnęłam rękę w jego stronę. Czasem, gdy czułam bliskość jego ciała albo za długo na niego patrzyłam, wszystko wracało: miłość i pożądanie, głód i zachłanność. Ale skrzywdziliśmy się nawzajem tak bardzo, że nie było powrotu.

W kolejce do toalety stał Daniel, wyglądał jak wygłodzony, urażony królik. Mówił o sobie, że jest antyniemieckim, co miało znaczyć: proamerykańskim, i poniekąd lewicowo radykalnym filosemitą. Należał do tego rodzaju ludzi, którzy wciąż chcą ratować świat projektami: najpierw była to energia atomowa, potem lasy deszczowe, uprawy ekologiczne i w końcu Żydzi. Na tych szczególnie się zafiksował.

Za każdym razem, gdy go spotykałam, roztaczał przede mną wizję swojej wspaniałej przyszłości, zostanie krawcem męskim w Londynie. Herzl powiedział, że jeśli czegoś chcemy, to nie jest to tylko marzenie, więc Daniel chciał i chciał, szyjąc sobie tymczasem coraz węższe majtki. Miałam już w czubie trzy aperol spritze, chciałam go ominąć, szukałam Cema, zobaczyłam, że rozmawia w kącie przez telefon. Pewnie ze swoim chłopakiem, który był kucharzem i od trzech tygodni pracował we Francji. Nie rozumiałam, dlaczego Cem z taką determinacją zalicza imprezy, skoro nienawidzi głośnej muzyki i ludzi chadzających na zabawy. Każde przyjęcie było dla niego bitwą, którą toczył z samym sobą o każdą minutę.

Daniel głupekowato do mnie zamachał. Zignorowałam go, ale zaczął wykrzykiwać moje imię na całą salę, więc zrobiło się niezręcznie. Podszedł do mnie szybko, długim, niezgrabnym krokiem, jego ręka schwyciła moją, chociaż jej do niego nie wyciągnęłam. Zaczął miętolić mój rękaw, jego oddech czuć było piwem i problemami trawiennymi.

– Ty, całym sercem jestem z wami – odezwał się.

– Z kim?

– No, z wami.

Oblizwał wargi, złościło mnie, że on ma ustalony punkt widzenia, a ja tylko wątpliwości.

– Jakimi wami? – prawie wrzasnęłam, kilkoro ludzi z kolejki odwróciło się.

– Z Izraelem, oczywiście.

– Udało ci się w ostatnim momencie, co?

– Jesteś podła. Co sądzisz o tej sytuacji? Jako Żydówka?

– Daniel, spadaj z tym gównem. Czego w ogóle ode mnie chcesz? Mieszkam w Niemczech. Mam niemiecki paszport. Ja to nie Izrael. Nie ma mnie tam. Nie wybieram się tam i nie utrzymuję szczególnych kontaktów z izraelskim rządem.

Przypominał moją cioteczną babkę, która w swoim izraelskim dużym pokoju, wiernej kopii jej niegdysiejszego sowieckiego dużego pokoju, piła herbatę z cytryną i uważnie studiowała „Wiesti”, organ prasowy rosyjskojęzycznych imigrantów. „Wiesti” drobiazgowo donosiły o przeprowadzonych przez Arabów atakach na Izrael, o dokonywanych przez Arabów aktach bezczeszczenia grobów we Francji i o wszelkich publicznych wypowiedziach na temat Żydów.

Daniel uważał Samiego za antysemitę, Sami Daniela za filosemitę i obaj mieli rację. Ja wolałabym, żeby mnie z tego wyłączyli, ale pewnego razu podczas pracy grupowej na zajęciach Daniel powiedział, że mój arabski kochanek mnie uciska i wysysa. Plaga egipska, tak go nazwał. Na co wybiłam mu ząb i zostałabym usunięta z uczelni, gdyby nie wziął całej winy na siebie. Co oczywiście było prawdą, był winny, i to wcale nie dopiero w trzecim pokoleniu. Odkąd brakowało mu zęba, traktował mnie jak swoją

osobistą żydowską maskotkę. A jedyną moją wadą było to, że nie wyszłam prosto z niemieckiego obozu koncentracyjnego.

– Wiem, wiem – westchnął i pociągnął mnie za rękaw – tylko przemoc zorganizowana przez państwo chroni Żydów. Wiesz, mój dziadek brał udział w przemocy zorganizowanej przez państwo i gdyby wtedy istniała wasza przemoc zorganizowana przez państwo, to wszystko związane z naszą by się nie wydarzyło. Z powodu waszej traumy zbiorowej.

Na chwilę przerwał, dotarłam do drzwi toalety, chciałam je w końcu za sobą zamknąć.

– Nie chcę wyskakiwać z abstrakcyjnymi pojęciami dyskursu totalitarnego, nie zrozum mnie źle. Tyle że jasne jest, że wielu Żydów widzi w Izraelu przede wszystkim miejsce schronienia przed ludobójstwem. A Auschwitz może się powtórzyć w każdej chwili. Ale istniejecie, zmaterializowana konsekwencja antysemickiej zażartości, jej władza wykonawcza, by tak rzec. Żydzi po Auschwitz nie muszą się bronić przed tymi, którzy chcą ich zamordować. Mój wuj Günther też chciał ciągle tylko mordować Żydów, ale tak naprawdę nie to miał na myśli, nie walczył, był sanitariuszem. Zresztą u nas w ogóle nikt nie walczył, jesteśmy z małej wyspy. Tam się najwyżej walczy z wodą. Ale tutaj... – Zaczerpnął powietrza i teatralnym gestem wskazał na toalety. – To jest praktyczna emancypacja Żydów od permanentnego zagrożenia zagładą. Bronicie swojego wywalczonego, funkcjonującego kraju własnym życiem. Izraelska armia nie jest przedmiotem dyskusji, w ogóle nie jest przedmiotem, jest z krwi i kości, to wy, to wasze ręce i nogi, stopy, palce i włosy, i noktowizory, i...

– Danielu, nie jestem Izraelem.

Przeciągnął językiem po cienkich wargach, popatrzył na mnie skonsternowany.

– Nie można ci dogodzić, ale trudno. Jestem wielkoduszny, jak lecę na jakąś babkę, to może ze mną zrobić wszystko. – Uśmiechnął się i westchnął. – Jadę do Izraela. Zarezerwowałam dzisiaj bilet.

– Po co?

Popatrzył na mnie przestraszony, jakby jeszcze się nad tym nie zastanawiał.

– Po słońce.

– Co?

– Przez dziesięć lat zajmowałam się tym krajem. To niby nic?

Znow miałam ochotę go uderzyć, już zacisnęłam pięść, gdy Cem mnie od niego odciągnął.

– Chodź, idziemy stąd, mam dosyć. Gówniana impreza.

Czarny Men płynął spokojnie. Było prawie bezwietrznie, na drugim brzegu ktoś łowił w ciemnościach ryby.

– Przysięgam, to był pierwszy pornos, jaki kupiliśmy. W Holandii. Od miesiący cieszyliśmy się na te wakacje, najpierw, mój brat i ja, poszliśmy do coffee shopu, później zaczęliśmy szukać pornosa. Chcieliśmy *hardcore*, ale nie rozumieliśmy ani słowa. Wzięliśmy kasetę z najdalszego końca, z najwyższej półki na regale, oczywiście. Prawdziwy *hardcore*. A jak już wsunęliśmy kasetę do odtwarzacza, to zobaczyliśmy same stopy. Kobieta spacerowała wzdłuż strumienia, ale pokazywali ją najwyżej do kolan. Przewijaliśmy i przewijaliśmy, i nic, nic poza stopami przy strumieniu. Byliśmy w Holandii, liberalny kraj, ojciec nas ostrzegął, muła nas ostrzegął. Byliśmy naprawdę napaleni. A potem to. Stopy. Mój brat się wkurwił, podpalił kasetę i wyrzucił ją przez okno schroniska, już wtedy chujowo się czuł. Umarł pół roku później. Opowiadałem kiedyś, jak umarł mój brat? Jak zdychał przez pół roku? – Cem cisnął butelką po piwie do rzeki, przeciągnął palcami po twarzy.

Nie opowiadał ani mnie, ani Samiemu, jak umierał jego brat, wiedzieliśmy tylko, że było to dawno i że miał raka. Gdy Cem był pijany, obiecywał nam, przeklinając i grożąc, że opowie o śmierci brata. Ale nie robił tego, a my nie pytaliśmy, bo mieliśmy swoje do przemilczenia.

Sami skręcił jointa. Wyciągnęłam rękę w stronę Cema. Chwycił ją i przyciągnął mnie do siebie.

– Masza... – zaczął. – Nie wiem, jak ci to powiedzieć, ale przez cały wieczór dostaję esemesy od kuzynów, którzy żądają, żebym w następnych dniach nie kupował w Aldim, bo te pieniądze ponoć od razu są przekazywane na zakup broni przez izraelskie lotnictwo. I cały czas mam nadzieję, że tego nie zauważysz.

– Ja też – odezwał się Sami.

– Co? Ty też dostajesz te esemesy? – zdziwił się Cem.

– Tak, nie mam pojęcia od kogo, nawet nie znam numerów.

– Też się bałeś Maszy?

– Tak, chłopie. Już myślałem, że mnie teraz ukatrupi, miałaby do tego prawo – zaśmiał się Sami.

– Gdybyś wiedział, jaką scenę mi dziś urządziła. W damskiej toalecie.

Położyłam głowę na kolanach Samiego, Cem pochylił się nad nami i powiedział, że szkoda, że już nie jesteśmy parą. Jego najlepsi przyjaciele.

Sami był głodny, Cem i ja poczępaliśmy za nim. Większość sklepów na Kaiserstrasse była zamknięta. Ulicami spacerowały starsze kobiety o tlenionych, zwisających w strąkach włosach. Minęliśmy całodobową pralnię. W środku siedziała starsza para, oboje wyglądali jak ćpuny. On rozwiązywał krzyżówkę, ona trzymała się plastikowego kubka i pustym wzrokiem wgapiała w bęben pralki widoczny za okrągłymi szklanymi drzwiczkami. Ich ciała się nie stykały.

W ogóle nie można już było nigdzie pójść w nocy, w dzielnicy dworcowej wszystko powoli zmieniało się w warzywniaki i sklepy rybne. Ale też nigdzie indziej nie można było kupić tak taniego i tak świeżego jedzenia, więc w południe tworzyły się tu kolejki zmęczonych kobiet w obcisłych sukienkach mini albo w szerokich hidżabach, stojących w towarzystwie alfonsów czy innych męskich stróżów. Sami wciągnął nas do budki z kebabem, chłopcy zamówili. Podłoga kleiła się do butów, przez pomieszczenie przebiegł szczur, szaszłyki błyszcząły, zjadłam baklawę, wszystko się kręciło, powietrze pachniało słodko, moje ciało rozpuszczało się w miodzie.

W głowie mi huczało. Leżałam w zaciemnionym pomieszczeniu naga. Nad łóżkiem wisiały plakaty z końmi i zdjęcia nastolatek w podobnych pozach i kolorach co konie, śpiewających albo odgrywających jakieś filmowe sceny. Na stoliku obok łóżka leżała komórka Samiego, moja sukienka starannie złożona wisiała na oparciu krzesła, buty Samiego stały przed nim. Zawsze był porządnicki. Nawet w naszym związku wszystko było ułożone według ścisłych reguł. Z czasem wspomnienia o tym, kto kogo opuścił albo upokorzył, wyblakły. Zostało tych kilka dobrych momentów niejasnego szczęścia i pożądania. Wtedy było to po prostu pożądanie czyjegoś ciała, teraz – chyba pragnienie bycia pożądaną jak kiedyś.

Ubrałam się szybko i wyszłam na korytarz. Minna nuciła w kuchni piosenkę, której melodii nie znałam. Pachniało jedzeniem, było tak, jakby ktoś wymazał ostatnie trzy lata mojego życia. Znow wszystko wróciło: popołudnia z Samim i nieodstępującą nas na krok jego młodszą siostrą, której Minna wciąż o tym obowiązku przypominała, kolacje z jego rodzicami, podczas których rozmawiało się mieszaniną francuskiego i arabskiego, płyty Fairuz, do których Minna śpiewała rankiem, uczucie opicia miłością, dotyk Samiego i pustka po wyżu.

– *Salam alejkum* – Minna stanęła w drzwiach kuchni i uśmiechnęła się.

Ucieszyłam się na jej widok, chociaż wolałabym jej nie spotkać. Chciałam szybko zniknąć w łazience, zmyć z siebie wczorajszy wieczór i Samiego.

– *Alejkum salam* – odpowiedziałam.

Objęła mnie mocno, wciągnęła do kuchni, nalała tureckiej kawy do filiżanki w kwiaty. Śniadanie stało na stole.

Usiadła naprzeciwko, z zaciekawieniem przyglądała się mojej twarzy. W jej wzroku nie było śladu wyrzutu. Kiedyś ją podziwiałam, tak jak podziwia się obce matki zamiast własnej. Gdy spotkałam ją pierwszy raz, przysięgłam sobie, że będę dokładnie taka jak ona: radosna, ciepła. Do drzwi lodówki czarnym magnesem przyczepiona była mała flaga Palestyny. Minna urodziła się w obozie dla uchodźców w Libanie.

Sami wyszedł z łazienki w szortach i rozciągniętym białym podkoszulku. Nie spojrzał mi w oczy, ja też omijałam go wzrokiem. Miał na nogach kąpielowe klapki, za duże co najmniej o dwa numery.

– *Habibi*, jak ty wyglądasz? – ofuknęła go Minna.

Sami pocałował ją, rzucił mi zakłopotane spojrzenie.

– Gdzie jest Leyla? – zapytałam.

Leyla była młodszą siostrą Samiego, dziś rano obudziłam się w jej łóżku.

– W Vogelsbergu. Na wycieczce klasowej. – Sami nałożył sobie pełny talerz jedzenia, ale go nie tknął.

Nerwowo bawił się widelcem. – *Abu* jest na konferencji w Szwajcarii.

– Szkoda, że go nie zastałaś. Chętnie by cię zobaczył. Tęsknimy za tobą.

– Mamo.

Wciąż jeszcze starałam się na niego nie patrzeć.

– *Kullu man Allah*. Wszystko przychodzi od Boga.

Minna uśmiechnęła się do nas zachęcająco, jakby chciała powiedzieć: nic nie szkodzi. Mimo to oboje poczuliśmy się niezręcznie. Zrozumiała to, podniosła swoje obfite ciało i objęła mnie:

– Mam nadzieję, że jeszcze do nas zajrzysz – z tymi słowami wyszła.

– *Alors* – ugryzłam naleśnik, który już od jakiejś chwili leżał na moim talerzu.

– Jak się masz? – zapytał Sami.

– Mam kaca.

Głośno zamieszał kawę. Wstał, otworzył lodówkę, wyjął słoik dżemu i postawił go na stole. Zatrzymał się za moim krzesłem, położył mi ręce na ramionach, pogładził mnie czule po łopatkach. Nie drgnęłam. Pocałował mnie w przedziałek, delikatnie i jakby coś sprawdzając. Poczułam na karku jego ciepły oddech, napięłam wszystkie mięśnie, żeby nie zareagować. Oderwał ręce od moich pleców i usiadł naprzeciwko.

Siedziałam jak sparaliżowana, nie byłam w stanie się odezwać. Wziął słoik z dżemem, przyjrzał się etykietce na jego tylnej ścianie, zmarszczył krzaczaste brwi i odczytał:

– Arabski sen – dżem brzoskwiniowy z wanilią i nutą kawy. Nasze dżemy produkujemy z ręcznie segregowanych owoców ogrodowych, z regionu albo z rodzimych naturalnych sadów owocowych. Co to są naturalne sady owocowe?

– Nie chcesz wiedzieć.

– Łączonych w niezwykle kompozycje z owocami egzotycznymi. Myślisz, że owoce egzotyczne też pochodzą z naturalnych sadów owocowych? Wysoka zawartość owoców, przyjemna słodycz bez dodatków chemicznych wyróżniają ręcznie wyrabiane specjały naszej manufaktury. W tym zdaniu coś jest nie tak z gramatyką.

Chciałam, żeby skończył to odczytywanie, ale wyglądało na to, że mu się to podoba.

– Nasze dżemy można stosować nie tylko do śniadania, również przy wielu innych okazjach. Daj się uwieść naszym niezwykłym kompozycjom. Co za gówno.

– Okej, pogadajmy – odezwałam się.

– Chcesz kawy?

– Nie.

– Na pewno?

– Tak.

– Mogę zrobić, nie ma problemu.

– Sami.

– Mogłabyś dodać do niej łyżkę arabskiego snu.

Wstałam. Popatrzył na mnie.

– Okej, chcesz porozmawiać.

Zerwał się, nalał dwie pełne filiżanki, zaczął przetrząsać szuflady, odwrócony do mnie plecami.

– Czego szukasz?

– Cukru.

- Nie słodzę. Przecież wiesz.
- Ale to dla mnie.
- A ty już na pewno nie słodzisz.
- Słodzę – odwrócił się na moment, a potem znów zaczął grzebać po szafkach.
- Nie, nie słodzisz.
- Nauczyłem się w Stanach.
- Uważałeś, że to obrzydliwe. Nie mogłeś nagle polubić cukru.
- Tam wszystko jest przesłodzone, dlaczego nie słodzić także i kawy?
- Trudno sobie wyobrazić, że Minna nie ma w domu cukru.
- No to go zużyła albo nie mogę go znaleźć.
- Porozmawiajmy.
- Teraz?
- Byłoby dobrze.
- Cholera, chyba muszę iść na stację. Nie ma cukru.

Wybiegł z kuchni, usłyszałam, jak zamykają się za nim drzwi. Wpadłam do pokoju, złapałam moje rzeczy, potknęłam się na korytarzu o własne nogi, upadłam, w końcu cicho wymknęłam się z mieszkania. Chciałam uniknąć spotkania z Samim na klatce, poszłam na górę, przycupnęłam na wyższym piętrze, obserwując schody. Kiedy wrócił i zamknął za sobą drzwi, opuściłam kryjówkę i wybiegłam z kamienicy.

IX

Mój tramwaj się spóźniał. Rzeka przechodniów na przystanku po drugiej stronie przypominała zawieszony miód z pojedynczymi rodzynekami. Jakaś kobieta w burce – mogłam się tylko domyślać jej postaci, zasłona zostawiała małą szparę na oczy – szła za niskim mężczyzną, który raz po raz oglądał się na nią i na dziecko. Dziecko, pucłowaty chłopiec w wózku, siedziało z kolanami pod brodą, kurczowo trzymając się plastikowego samolotu. A ja oparłam się o niebieski plakat wyborczy CDU: „Powstrzymać Ypsilanti, al-Wazira^[7] i komunistów”.

Kiedy weszłam, właśnie podawali kolację. Plastikowa miska brązowej zupy i dwie kromki pełnoziarnistego chleba. Ze wspólnej łazienki przy szpitalnej sali doleciał grzmot spuszczonej wody, gwałtowne charkanie i pierdzenie. Elias wyglądał źle: miał wychudłą, bladą twarz i zaczerwienione oczy. Ręce leżały płasko na kołdrze. Zapytałam, czy czuje się lepiej, skinął głową, co znów było kłamstwem.

Zarost zakłuł, gdy go pocałowałam. W milczeniu wypiliśmy szpitalną herbatę, potem weszłam do łóżka, a on mnie przytulił. Dawno ze sobą nie spaliśmy i teraz, leżąc obok niego, przypominałam sobie pożądanie, pomyślałam, że on pewnie też i poczułam się winna, bo upadek w mieszkaniu Minny zostawił na moim kolanie wielkiego niebieskiego siniaka, miałam nadzieję, że nie zwróci na niego uwagi. W pewnej chwili zauważyłam, że płacze, bezgłośnie, tylko klatka piersiowa trochę drżała. Przytuliłam się mocniej, wsunęłam ręce pod jego piżamę, pocałowałam w usta. Popatrzył na mnie przeprasząco, oczami pełnymi czułości i miłości.

Elias miał nowego sąsiada. Niski, krępy mężczyzna, sztuczne biodro, kontyngent żydowskich uchodźców z Ukrainy, podobno demencja. Brał Eliasa za swojego wnuka Stasika, całą noc krzyczał o pomoc: *POMOGITE, Boże moj, POMOGITE mne*. Kiedy Elias wstał z trudem, podszedł do jego łóżka i zapytał, co się dzieje, tamten poprosił: „Stasik, ułóż mi porządnie prawą nogę, boli”. Zrobił to, wrócił do łóżka i prawie zasnął, gdy krzyki zaczęły się od nowa. *POMOGITE, Boże moj, POMOGITE mne*. Elias oczywiście wstał i pomógł. Procedura powtarzała się przez całą noc. Po dwóch nocach i dniach był wyczerpany, miał podbiegłe krwią oczy, od ciągłego wstawania znowu spuchła mu noga.

Kiedy przyszłam wieczorem, dziadek w najlepsze chrapał. Usiadłam na łóżku Eliasa. Szeptał mi do ucha, ja głaskałam go po ramieniu, czułam jego oddech. Gdy przeciągnęłam palcem w dół jego piersi, do pępka, sąsiad znów głośno wrzasnął. Zapytałam po rosyjsku, jak mu pomóc, a on powtórzył jak mantrę:

– *POMOGITE, Boże moj, POMOGITE mne*.

Zadzwoiłam po pielęgniarkę, przyszła natychmiast, pochyliła się nad łóżkiem i także po rosyjsku zapytała, co mu dolega. Nie dostała odpowiedzi, odczekała, powtórzyła pytanie, a mężczyzna jęknął jak

na mękach: „Wody”.

Podawała mu wodę, uspokajając, a on znów wrzasnął:

– *POMOGITE, Boże moj, POMOGITE mnie.*

Wzruszyła ramionami, spojrzała na nas przepraszająco i znikła.

– Chciałbym z tobą wyjechać, jak mnie stąd wypuszczą – powiedział Elias.

– Dokąd pojedziemy?

– A gdzie byś chciała? Tel Awiw?

– *POMOGI, STASIK, POMOGI.*

Podeszłam i zapytałam, o co chodzi. Mnie też nazwał Stasiem i zażądał wody. Podałam mu kubek z dzióbkiem, ale zmienił zdanie, chciał, żebym poprawiła mu poduszkę. Poprawiłam poduszkę, to poprosił, żeby ułożyć mu lewą nogę, a kiedy to robiłam, zobaczyłam, że się śmieje. Ten dziadek się śmiał. Trzeba więc było coś z nim zrobić.

Następnego dnia nie poszłam na seminarium z francuskiego słownictwa inżynierskiego i już po południu byłam w szpitalu. Córka tego z Ukrainy stała przy wejściu na oddział otulona chmurą chanel, paliła. Widziałam ją już wcześniej w sali Eliasa. Była z nią krucha starsza pani z ufarbowanymi na fioletowo włosami, obwieszona uderzająco drogą biżuterią. Towarzyszyła im opiekunka.

Przywitałam się, nie zwróciły na mnie uwagi. Mimo to przystanęłam. Starsza pani zaczęła rozdzierająco lamentować w jidysz. Nad losem, własnym i męża, nad kotem, szpitalem, szpitalną pościelą. Wzięłam głęboki oddech i przedstawiłam się. Potem powiedziałam, że tak dalej być nie może, z pani ojcem, z pani mężem. Przyjrzały mi się w milczeniu, moim brudnym białym tenisówkom i znoszonym džinsom.

Młodsza zgasiła papierosa i krzyknęła, że ojciec był partyzantem, walczył z Niemcami w ukraińskich lasach. I to naprawdę nie jest za duże wymaganie, żeby zatroszczyć się o weterana. A może mój mąż jest nazistą? A może to wcale nie jest mój mąż? Czyżby dlatego jeszcze się ze mną nie ożenił? Jeśli odczuwam nieodpartą potrzebę ekscytacji z powodu wojennego bohatera, to mogę sobie porozmawiać z Bellą, jest jego opiekunką. I znikła. Zapach perfum pozostał.

Bella wyszczerzyła zęby. Miała na sobie beżowy garnitur i brązowe skórzane buty. Wyglądała jak babochłop.

Żółte oczy starszej pani zalśniły złośliwie. Diamenty błysnęły w starych uszach. Ona też zaczęła krzyżeć. Powinniśmy się wstydzić, jak można, nie będąc małżeństwem, tak po prostu pieprzyć się w pokoju męża. Naprawdę powiedziała „pieprzyć”. Zacerwieniłam się, chciałam zripostować, ale opiekunka roześmiała się, popatrzyła na kobietę surowo, jakby tamta była jej własnością, a potem odezwała się do mnie:

– Bez obaw, ona sama jest kurwą. Ile to już razy wozila ją do ginekologa. I czego on z niej nie wyjmował. Szmaty, butelki, w jej przypadku tylko rozmiar się liczy.

Stara znów wrzasnęła, że co ze mnie za kobieta, jak w ogóle mam czelność odzywać się do niej, żony partyzanta. Mąż chyba zamówił mnie z ukraińskiego katalogu. Czy ja w ogóle wiem, co to maniery?

Zostawiłam obie kobiety i poszłam.

Tego dnia Elias miał zostać wypisany ze szpitala. Pół przedpołudnia skrupulatnie usuwałam gorącym woskiem niechciane włoski, posprzątałam, umyłam naczynia, pozamiatałam, wytarłam podłogę i poszłam na zakupy.

Przy wejściu do supermarketu przepisowo wzięłam koszyk, niezdecydowana stanęłam w dziale z warzywami, zatrzymywałam się też zresztą w innych alejkach, w końcu wpakowałam do koszyka wszystko, co się dało. Wycisnę pomarańcze, skarmelizuję gruszki, posiekam i uduszę warzywa, odłożę wieprzowinę, zagniotę ciasto, rozwałkuję je i upiekę. Tyle że nie wiedziałam, jak się to wszystko robi, więc dołożyłam do koszyka kilka gazet dla gospodyń domowych. Między regałami stała kobieta podobnie niezdecydowana jak ja. Miała łagodne rysy, nie była umalowana, nosiła płaskie buty z szarego aksamitu, z małą kokardką na okrągłym nosku. Uważnie wczytywała się w drobny druk na opakowaniach. Wtem sapnęła i rzuciła się w stronę pracownicy sklepu, groźnie wymachując materiałową torbą na zakupy.

– Nie może tak być, że ekologiczna sałata została wysprzedana. Tak po prostu. Ukrywacie ją. Ta inna nie jest dobra, rozumie pani? Niedobra. Wszystko przyjechało z Ameryki – zalała się łzami.

Ochroniarz i ja patrzyliśmy na nią oniemiaли.

Przy kasie nacisnęłam guzik TOWAR WYDANY, na taśmę spadła paczka papierosów, uśmiechnęłam się i na czarnej gumie zabębniłam palcami marsza. Kobięcy kark przede mną był tak idealny, szczupły i biały, że natychmiast zaczęłam go pożądać.

Elias znowu zapełnił łóżko. Byłam wdzięczna, że leżąc na plecach z szeroko rozpostartymi ramionami, oddycha obok mnie spokojnie i rytmicznie. Miał za krótką kołdrę, nie wystarczała na stopy i ramiona jednocześnie. Przykryłam go swoją i poszłam do kuchni po szklankę wody i papierosy. Usiadłam na parapecie. Sypialnia sprawiała teraz wrażenie większej, szarawa, lepka warstwa kurzu, która wżarła się w białe drewno regałów, spała w ciemności, nijaka jak wszystko inne. Powietrze było rześkie, marzłam, zgasiłam papierosa i wróciłam do łóżka. Eliza obrócił się we śnie, pocałował mnie w ramię.

Jego nieobecność napawała mnie przerażeniem. Było prawie tak jak wtedy, gdy odeszła Sibel. Mieszkanie wypełniała pustka, w której nie jadł, nie pocił się, nie spał, nie oddychał i na mnie nie patrzył. Wszystko w naszym domu należało do niego, większość mebli, kuchnia, stół do jedzenia, regały na książki. To on zbudował nasze łóżko.

Powiedziała, że pochodzi z północnych Niemiec. Powiedziała Rugia, ale jej nie uwierzyłam. Dorastała w tradycyjnej rodzinie, miała trzech starszych braci, wszyscy urodzili się w Niemczech i byli ześwirowani na punkcie honoru. Sibel nie mogła mieć chłopaków, rozmawiać ani z Niemcami, ani z Jugosłowianami, ani z Rosjanami, nie wolno jej było wychodzić po zmroku na ulicę. Do szkoły odprowadzał ją jeden z braci. Gdy pewnego razu stwierdził, że siostra zbyt długo patrzy na nauczyciela,

przypalił jej plecy żelazkiem. Ojciec był przerażony, biegał w kółko po dywanie w dużym pokoju, w końcu pobił syna. Potem wypił herbatę i spoliczkował żonę, bo herbata za szybko wystygła, poza tym matka pozwala latać córce, jakby ta była Niemką. Sibel odeszła ze szkoły, a ojciec zaczął szukać dla niej narzeczonego w kafejkach internetowych. Miał zamiar zrobić dobry interes. Bo chociaż nie mógł dać jej dużego posagu, to miała niemieckie obywatelstwo, a to dla wielu czyniło ją atrakcyjną. Małżeństwo było jedyną legalną drogą do Europy, Europa zaś oznaczała nadzieję.

Pierwszego kandydata Sibel odrzuciła, drugiego też, za co najstarszy brat ją pobił. Najmłodszy, rok starszy od niej, trzymał ją, wsadził jej rękę w majtki i szeptał do ucha: „Jesteś hańbą dla całej rodziny. Zabijemy cię”. Matka powiedziała: „To dobry człowiek, będzie na ciebie pracował, będzie cię chronił. Myślisz, że ktoś się w tobie zakocha tylko dlatego, że jesteś młoda i ładna? Że zostanie przy tobie na zawsze? Że będzie cię kochał? Nie bądź naiwna. Proszę, nie bądź taka naiwna”. Sibel stała przed lustrem i płakała, bo była naiwna. I chciała taką zostać.

Uciekła z domu, najpierw ukryła się u niemieckiej przyjaciółki, ale jej rodzice bali się muzułmańskich mężczyzn, mimo że Sibel nie opowiadała o ich brutalności. Ani o islamie. Po trzech dniach wylądowała na ulicy. Rozzalonej i samotnej.

Nosiła sukienki, spódnice, jedwabne bluzki i buty z błyszczącymi klamerkami, biegała na małych, stukających obcasach i wyglądała jak cukier, niewinnie, urzekająco, idealnie. Dwa razy pieprzyła się z moimi kochankami. Nienawidziłam jej za to, do głębi, po niemiecku, a mimo to nie mogłam przestać jej pragnąć. To ja podpisałam umowę najmu i podłączenia telefonu. Robiłam dla niej przelewy, a jeśli musiała iść do lekarza, pożyczalam jej swoją legitymację ubezpieczeniową.

Spała bez kołdry, w połyskliwej bieliźnie w kolorze brudnego różu. Nie, ona tylko udawała, że śpi. Długo przyglądałam się jej chudemu ciału, podkurczonym kolanom i ciemnym gładkim włosom całkowicie zakrywającym poduszkę. Zasłony były rozsunięte, pokój skąpany w miękkim świetle. Od tygodnia mieliśmy nieprzerwanie piękną pogodę. Niebo było nieruchome, bezchmurne, tylko od czasu do czasu pojawiały się smugi po samolotach. Sibel oddychała spokojnie i regularnie, nie słyszała brzęczenia much. Zdjęłam przez głowę sukienkę. W oknie naprzeciwko poruszyła się firanka. Rozpięłam stanik, zsunęłam majtki i usiadłam na łóżku. Pochyliłam się i pocałowałam ją w ramię, uśmiechnęła się, nie otwierając oczu. Przeciągnęłam palcem po brodawkach jej piersi.

– Jesteś taka zepsuta – szepnęła i roześmiała się. – Wiedziałaś, że kurdyjskie dziewczyny całują się w usta i to jest namiastka prawdziwego seksu? Nie stać ich na naukę jazdy konnej.

– Jesteś Kurdyjką, Sibel?

Popatrzyła na mnie, wyszczerzyła zęby, ale nie odpowiedziała. Potem obróciła się na brzuch. Całe ciało miała w bliznach.

Telefon zaczął dzwonić, gdy zaczęłyśmy ze sobą sypiać prawie co noc, dzwonił w środku nocy, później wczesnym rankiem i w ciągu dnia. Człowiek po drugiej stronie milczał, słychać było tylko ciężki oddech. Sibel zostawiała zapalone światło w korytarzu, przestała wychodzić sama na ulicę. Brała taksówkę, nawet gdy przejście jakiegoś odcinka zajęłoby jej pięć minut.

Pewnego wieczoru w całym mieszkaniu zgasło światło. W tym samym momencie zadzwoniła jej komórka, numer zastrzeżony. Ktoś znów dyszał do słuchawki, ale się nie odzywał.

– Mój brat pracuje w kontrwywiadzie – krzyknęła, podczas gdy ja w świetle latarki majstrowałam przy skrzynce z bezpiecznikami. Bałam się prawie tak samo jak ona, chociaż z innych powodów.

Gdy następnego dnia wróciłam ze szkoły do domu, Sibel nie było. Wzięła połyskujące ubrania, spinki do włosów, kosmetyki, próbki perfum. Mój paszport, legitymację ubezpieczeniową i gotówkę też.

Spotkałam się z Samim w małej knajpie, gdzie podawali cydr. Śmierdziało piwem i smażonym olejem. Niemniej lokal cieszył się szczególną popularnością wśród miejscowych alkoholików i turystów. Usiedliśmy przy jedynym wolnym stole, naprzeciwko wahadłowych drzwi do kuchni i do toalet. Stali bywalcy nosili spodnie od dresu i swetry, kontrast tego wieczoru tworzyła grupa Irlandczyków, którzy głośno narzekali na hotel i drugą wojnę światową. Starsi panowie o zaczerwienionych twarzach i w dobrych humorach. Zapomniałam, kto zaproponował tę knajpę, ja czy Sami. W każdym razie nie spotkamy tutaj znajomych.

Za barem stały rozchichotane kelnerki, starsza, o wygarbowanej przez solarium skórze, z niebieskimi cieniami na powiekach, i młodsza, która wyglądała, jakby miała jeszcze szansę. Chociaż lokal był pełny, nie miały dużo pracy. Goście zamawiali niewiele. Młodsza przyjrzała się Samiemu i z uśmiechem podeszła do naszego stolika.

Elias obserwował z sofy, jak się szykuję. Włożyłam obcisłą sukienkę, uróżkowałam policzki i skropiłam się perfumami. Dla innego. Zapytał, dokąd idę. Spotykam się z Samim, odpowiedziałam, usiłując ukryć podekscytowanie. Ale i tak zrozumiał. Milczał gniewnie. Wszystkie siły zużył na przejście piętnastu kroków z sypialni do dużego pokoju.

Siedząc w milczeniu naprzeciwko Samiego, jeszcze czułam na sobie wzrok Eliasa. Nad obfitym biustem kelnerki błyszczał wysadzany sztucznymi diamentami krzyżyk. Zamówiliśmy cydr, chociaż żadne z nas go nie lubiło.

– Rozpatrzyli odmownie mój wniosek wizowy – odezwał się Sami.

Miał głębokie cienie pod oczami i zwieszona ramiona, wziął mnie za rękę.

– Znowu?

Kelnerka postawiła przed nami dwa porysowane kieliszki, uśmiechnęła się do Samiego, ale ten zignorował jej awanse. Był moim pierwszym chłopakiem, przed nim miłość zawsze kończyła się odrzuceniem.

– I co teraz?

– To, że stracę ten semestr, jest pewne. Mam tylko nadzieję, że nie zrobi się z tego cały rok. Nie chcę wylecieć ze studiów.

W jego głosie słychać było zmęczenie i niepewność. Kiedyś to on był silny, zawsze zajęty i zdecydowany, niewzruszenie torował sobie drogę. Chciałam powiedzieć coś, co podniosłoby go na duchu, co starłoby z jego twarzy wyraz zrezygnowania.

– Myślisz, że cię wyrzucą? – zapytałam zamiast tego i zagryzłam wargi.

– To byłby cud, gdyby tego nie zrobili – zaśmiał się cicho.

Stuknął kieliszkiem o mój i napił się. Spodziewałam się, że to spotkanie będzie dziwne, a przynajmniej nieprzyjemne, ale było normalne. Pogłaskałam go po policzku. Odwrócił moją rękę, powąchał wewnętrzną stronę nadgarstka.

– Ładnie pachniesz – powiedział.

– Pachnę jak zawsze.

– To chciałem powiedzieć.

Cofnęłam dłoń, nerwowo wierciłam się na krześle.

Sami położył ręce na stole, przyjrzał się im i powiedział:

– Nie mogę spać. Zasypiam, ale potem, w środku nocy, wstaję. Leżę na kanapie w dużym pokoju rodziców i nie wiem, co dalej, czytam gazety, powieści. Przede wszystkim rosyjskie. – Przerwał i popatrzył mi prosto w oczy. Wytrzymałam to spojrzenie. – Moje mieszkanie w Stanach stoi puste. W moim dzieciennym pokoju śpi moja siostra. Nie ma mnie ani tu, ani tam. Gdybym przynajmniej wiedział, jak długo muszę zostać. Wynająłbym pokój. Coś zrobił. A nie wegetował jak w strefie tranzytowej.

– A w dzień? Co robisz?

– Próbuję posunąć badania, ale to śmieszne. Rano idę do biblioteki, czytam. Już w południe jestem zmęczony. Jestem permanentnie zmęczony, ale siedzę w bibliotece, nie chcę wracać do domu. Przede wszystkim nie chcę, żeby Minna mnie takiego widziała. – Znowu przerwał, jednym haustem opróżnił kieliszek i zamówił kolejny. – Często o ciebie pyta.

Nasze stopy zetknęły się pod stołem. Angielski zrobił się głośniejszy, ale nic nie mogłam wyłowić z płataniny głosów. Grali w pijacką grę, śpiewali. Kelnerka donosiła im kolejne wódki.

Patrzyłam na Samiego, czułam ciepło i tęskniłam za Eliasem, za jego dotykiem, złym humorem i zapachem.

– Nie chcę wrócić za późno do domu – powiedziałam. Sami skinął, dał znak kelnerce.

Noc była gwiazdzista. Doszliśmy w milczeniu do przystanku. Marzłam. Sami poczekał ze mną na tramwaj, co uznałam za czuły gest. Kiedy tramwaj nadjechał, pocałował mnie w policzek, upewnił się, że wsiadłam. Zaczęło mżyć.

W mieszkaniu nie paliło się światło, a przecież nie było jeszcze jedenastej. Woda z parasola skapywała na linoleum, rozłożyłam go jak grzeczna dziewczynka. Przez okno wpadały pojedyncze smugi światła ulicznych latarni, w oddali turkotał tramwaj. Otworzyłam lodówkę, górna półka była pełna filmów Eliasa, wyjęłam z zamrażalnika butelkę wódki, nalałam sobie szklanekę. Wszystko po ciemku. Alkohol palił w gardło i rozgrzewał. Rozebrałam się szybko i weszłam pod prysznic. Dopiero po chwili zmyłam z siebie zapach knajpy i wspomnienie o Samim.

Elias leżał na mojej części łóżka z głową pod kołdrą. Przysunęłam się do niego. Przytulił mnie z całej siły, a ja równie mocno odwzajemniłam uścisk. Wyraźnie dla siebie samej i dla niego. Zastygliśmy, oddychając nawzajem swoimi oddechami, nie śmiąc się ruszyć.

– Która godzina? – wymamrotał.

– Jedenasta.

– Dobrze. Wcześniej wróciłaś.

Zasnął. A ja leżałam, ogarnięta nagłym strachem, ale nie wiedziałam przed czym.

Nad ranem kochaliśmy się do wtóru pijackich krzyków, które ignorowaliśmy z arystokratycznym

spokojem. Leżeliśmy potem długo, Elias gładził moje biodra, całował plecy, aż nagle usiadł i powiedział:

– Straciłem dużo na wadze, prawda?

Ja też się podniosłam, przyjrzałam mu się uważnie.

– To dlatego, że ciągle leżę. – I cicho dodał: – Cała muskulatura mi znikła.

Położyłam prawą rękę na jego twarzy, pocałowałam go w czubek nosa.

– Wróci. Wszystko będzie dobrze – zapewniłam. A ponieważ patrzył na mnie sceptycznie, dodałam: – Obiecuję.

Uśmiechnął się.

– Zrobię śniadanie, okej? – zaproponowałam.

– Nie chcę być taki słaby.

– To dobrze, bo ja nie chcę już nigdy chodzić do szpitala.

Elias znów zaczął zadawać pytania. Leżeliśmy w łóżku, ciało przy ciele. Deszcz uderzał o szyby. Pierwszy raz od dawna spędziliśmy piękny wieczór, bez kłótni, z pizzą i filmami, bez śladu złości.

Kłóciliśmy się o każdy drobiazg. Nie polepszało mu się, miał silne bóle, prawie nie mógł się ruszać. W pierwszych tygodniach po operacji nogę trzeba było oszczędzać, obciążenie nie powinno przekraczać dwudziestu kilo, co oznaczało, że nie mógł wstać bez pomocy. Chodziłam do supermarketu, do piekarni i do pralni. Prałam, potem wieszałam, odkurzałam, jeździłam do biblioteki, gotowałam. Wieczorem byłam wykończona, padałam na łóżko i natychmiast zasypiałam. On zasypiał dopiero o świcie. Moje jedzenie mu nie smakowało, grzebał w talerzu, nic nie jadł, a godzinę później stawiał na kuchence garnek z mlekiem. Z poważnym wyrazem twarzy zanurzał w nim kromki posmarowane nutellą. Milczałam, lecz odnosiłam się do niego chłodno. Wiedziałam, że to dziecinne, ale byłam przepracowana i rozdrażniona. Często zarzucał mi, że nie można się do mnie zbliżyć.

Nawet jeśli atmosfera między nami była napięta, najczęściej trzymaliśmy nerwy na wodzy. Niekiedy, gdy czuł się dobrze, przychodzili znajomi, oglądaliśmy filmy, piliśmy piwo. Ale takie dni zdarzały się rzadko.

– Co się stało wtedy w Baku? – zapytał zniecierpliwiony.

Wstrzymałam oddech, zamyśliłam się, odezwałam się po dłuższej chwili.

– Przecież już ci opowiadałam.

Podniósł się z trudem.

– Musisz zacząć mi ufać – powiedział.

– Nie o to chodzi – mój głos zabrzmiał ostro.

– A o co?

Też usiadłam, zapaliłam lampkę na nocnym stoliku.

– Co z twoim ojcem?

Jego twarz stężała.

– To znaczy? – zapytał z wahaniem.

– Bił was?

Popatrzył na mnie przerażony tym, jaki obrót przybrała nasza rozmowa.

– O co ci chodzi?

– Jak był pijany, to cię bił? – głos mi się załamał, miałam wyrzuty sumienia.

– Czasem pił całymi dniami, a potem przez kilka miesięcy ani kropli. To była loteria: nigdy nie wiedziałem, w jakim stanie będzie, gdy się na niego natknę. Najczęściej pił wieczorem, kiedy matka pracowała. Kładłem go do łóżka, wynosiłem butelki, ścierałem rzygi, zanim rano wróciła do domu.

– Zostawiała cię z nim samego?

– A co miała robić? Pracowała, bez słowa znosiła jego humory i despotyzm. Zaraz po upadku muru stracił pracę. Ale pił już wcześniej. Ach, bo ja wiem – zamilkł.

Czekałam, chociaż byłam pewna, że nic już nie powie. Ale po chwili się odezwał, a ja zaczęłam się zastanawiać, co właściwie o nim wiem i czy naprawdę go znam.

– W te dni, kiedy nie mógł złożyć do kupy jednego sensownego zdania, czasem go fotografowałem. Pewnego razu znalazł pudło ze zdjęciami.

– I?

Zgasił światło, schował twarz w poduszce. Wsunęłam ręce pod jego koszulkę, głaskałam go po plecach, całowałam w szyję, ale nie drgnął. A jednak: w następnych dniach opowiedział mi dużo więcej. Jakby pękła w nim jakaś tama.

Jako dziecko często chodziłam z matką do parku popołudniami, niekiedy rano. Stały tam karuzele, huśtawki i inne tego typu atrakcje, wszystkie zepsute. Albo nie było prądu, żeby je uruchomić. Matka opowiadała mi historie z dreszczykiem o obsługujących je mężczyznach.

Moja ulubiona wówczas zabawa nazywała się „wiadomości”, zasada była mniej więcej taka: dzieli się park pomiędzy graczy i próbuje odebrać terytorium przeciwnikowi. Wszystkimi sposobami, jak w wiadomościach pokazywanych bezpośrednio po wieczorynce. Bawiliśmy się we Front Narodowy, bawiliśmy się w wojnę.

Nie mogę sobie przypomnieć jego imienia, miał rude włosy i piegi, nawet na stopach i kolanach. Był moim wrogiem. Moim osobistym Górskim Karabachem. Walczyliśmy. Jedno zawsze wybuchalo potem płaczem. Co wynikało przede wszystkim z tego, że waliliśmy w siebie kamieniami i kijami. Raz zrobił sobie fortecę na drzewie. To było wielkie i piękne drzewo na skraju parku, matki daleko. Z wysokiej gałęzi rzucał kamieniami i gwoźdźmi, a kiedy prawie zdobyłam drzewo, jak armeńskie siły zbrojne miasto Szuszę, nasze matki zdecydowały, że mamy się pogodzić. Ojciec rudzielca był komendantem policji i miał znakomite dojścia do czarnego rynku. Matka była drobną kobietą o długich rudych włosach. W parku stale chwaliła się swoim małżeńskim pozycją: mąż codziennie przychodzi do domu w przerwie obiadowej, żeby się z nią kochać.

– Myli seks z miłością – mówiła moja matka, nie bez zazdrości w głosie.

Matki negocjowały w kuchni. Ja i mój wróg staliśmy w sypialni jego rodziców, przed lustrem wielkiej szafy. On wybrał jedwabną sukienkę na ramiączkach, ja białą koszulę od garnituru. Nad nami wisiała oprawiona w ramy fotografia Saddama Husajna. Wróg cytował ojca, przybierając pozy Napoleona. Saddam to właściwy człowiek. Jedyny mężczyzna jak okiem sięgnąć. Z wyjątkiem taty, oczywiście. Taty Saddama? Rudowłosa zastanowił się. Nie, mojego taty. Tylko Saddam może zrobić porządek z Żydami. Kiedy wytłumaczyłam mu, że ja też jestem Żydówką, nie był zdziwiony.

Kilka tygodni później musieli z matką uciekać. Jego ojciec oznajmił, że nie jest w stanie dłużej zagwarantować bezpieczeństwa żonie oraz dzieciom i że natychmiast muszą opuścić miasto. On został. Mieszkanie należało do jego armeńskiego teścia.

Moja matka próbowała uratować trochę rzeczy, wysłać je ukrywającej się kobiecie. Ale w mieszkaniu pojawiła się nowa kobieta. Azerka. Nie protestowała, gdy matka pakowała nuty i książki, rzucała jedynie pogardliwe spojrzenia, jakby ją okradano. Ale gdy matka sięgnęła po srebrne sztucce, należące podobnie jak mieszkanie do posagu, nowa wzięła się pod boki i zagroziła:

– Grzecznie je tu zostawisz, inaczej pójde po męża.

Najtrudniej było wrócić z bagażem do domu. Każdego, kto niósł walizkę, szalejący motłoch brał za

Ormianina i linczował. Ojciec ukrywał się w bramie, matka stała przed nią, czekając, aż grupa pogromczików przejdzie. Ojciec wypadał i biegł do następnej bramy.

Elias stukał garnkami. Podeszłam do niego od tyłu, objęłam go w pasie, przytuliłam się do jego pleców. Nie odwrócił się, ja nie puściłam.

– Elias?

Wciąż stał tyłem. Położyłam mu rękę na ramieniu, ale ją strząsnął. Przez chwilę patrzyłam na jego plecy, w końcu usiadłam przy stole.

– Co jest?

– Nic.

Odwrócił się. Miał zaczerwieniony nos i błyszczące oczy.

– Czy jest coś między tobą a Samim? – zapytał zdecydowanym głosem.

Wzięłam talerz ze stołu i z całej siły cisnęłam nim o ścianę, o włos od jego głowy.

W jego oczach pojawiła się niepewność.

– Myślisz, że się z nim pieprzę, gdy ty leżysz w szpitalu? – krzyknęłam.

Pokręcił głową.

– Jak na to w ogóle wpadłeś?

– Wariuję od tego leżenia.

– Jesteś szurnięty! – Ręce mi drżały, krzyczałam dalej: – Każdy kocha na miarę swoich możliwości, jak ci to nie wystarcza...

Patrzył na mnie spłoszony, wiedziałam, że posunęłam się za daleko. Lekkość między nami znikła, odwróciłam się do okna, otwierałam je. Łzy napłynęły mi do oczu. Nie powinnam była nic mówić, jeszcze nigdy mu nie groziłam, jeszcze nigdy nie użyłam wobec niego siły, miałam nadzieję, że w naszym związku do tego nie dojdzie. A teraz to zrobiłam. Usłyszałam, że próbuje się schylić, żeby pozbierać skorupy.

– Zostaw!

– Posprzątam – mruknął.

Nie byłam w stanie wytrzymać jego budzącego współczucie wzroku.

– Zostaw, powiedziałam.

– Nie, posprzątam.

– Nie dasz rady.

Odłożył pozbierane skorupy na stół i pokuśtykał do sypialni. Próbując otworzyć drzwi, potknął się. Jego ciało głucho uderzyło o podłogę. Podbiegłam, chciałam mu pomóc, ale mnie odepchnął.

XIII

Zapaliłam światło. Elias siedział wyprostowany w głowach łóżka. Ciężko dyszał, miał mokre od potu włosy. Natychmiast otrzeźwiałam.

– Co się dzieje?

– Skurcze.

– W nodze?

– Tak.

Cały się trząsał, ramiona, nogi, ręce. Szczękał zębami. Krople potu zbierały mu się nad górną wargą. Odwinęłam opatrunek. Noga nie wyglądała na specjalnie spuchniętą, ale brzegi rany były zaczerwienione, a ona sama wypełniona ropą.

– Dzwonię po pogotowie – powiedziałam.

– Nie.

– Nie?

– Nie chcę znowu do szpitala. Poczekajmy, proszę, do jutra.

– Nie.

– To tylko skurcze. Zdarza się. Pojedziemy jutro rano, na ostrym dyżurze i tak nie będą mogli nic zrobić. Równie dobrze mogę zostać tu. Przynieś wodę.

Poszłam do kuchni, napełniłam szklankę aż po brzegi. Potem umyłam ręce, włączyłam czajnik, wzięłam dwa czyste ręczniki, jeden polałam zimną wodą, drugi wrzątkiem. Wróciłam do sypialni, starałam się sprawiać wrażenie spokojnej, uśmiechać się, ale nie byłam w stanie.

Najpierw położyłam mu zimny kompres na czole, później zdezynfekowanym ręcznikiem chciałam otrzeć ranę z ropy. Ledwie dotknęłam nogi, Elias wrzasnął, poderwał się i z jękiem opadł. Wybrałam numer pogotowia, wilgotnym ręcznikiem przetrąłam mu twarz. Okna w kamienicy naprzeciwko powoli się rozjaśniały, jedno po drugim.

Drżał na całym ciele, próbowałam to powstrzymać, obejmowałam go, ale spazmy następowały w coraz krótszych odstępach. Z rany się sączyło. Położyłam się obok niego. Z całej siły uderzył w zagłówek, przeklinał, jęczał. Upłynęła wieczność, nim przed naszym domem zawyła syrena. Krzyknęłam przez okno, które piętro, błagałam, żeby się pospieszyli. W końcu usłyszałam na schodach ciężkie kroki lekarza i ratownika, wprowadziłam ich do sypialni. Elias wił się na łóżku.

Wyrecytowałam jego historię choroby. Lekarz skinął głową i założył białe gumowe rękawiczki.

– Proszę nie panikować – powiedział do mnie, zmierzył Eliasowi puls, obmacał ranę.

Elias krzyczał z bólu, próbowałam go uspokoić, wzięłam za rękę. Nic nie pomagało. Lekarz wyjął z walizki strzykawkę, zrobił zastrzyk. Dokończył badanie, przyjrzał się ranie, znów zaczął ją obmacywać.

Elias oblał się zimnym potem.

– Niech pan przestanie! – wrzasnął.

Jego ręka wbiła się w moją, odwrócił głowę w bok. Najpierw pomyślałam, że nie chce tego oglądać, ale to był skurcz mięśni karku. Trzęsło nim przez kilka minut, nie mógł złapać tchu, rzeził.

– Od jak dawna rana ropyje? – zapytał lekarz.

– Może od kilku godzin. Nie wiem, przespałam to. Nie może mu pan nic dać?

– Już dałem.

Kiedy atak minął, lekarz skinął na ratownika. Ten bez słowa zszedł na dół do karetki, wrócił po kilku minutach z kolegą i noszami. Elias trochę się uspokoił, jęczał ciszej, złapał oddech. Sąsiedzi wyglądali z ciekawości przez okna.

Ledwie znaleźliśmy się w szpitalu, pielęgniarka zapytała, kiedy ostatni raz jadł.

Część druga

Gdy zobaczyłam idącego w moją stronę lekarza, zrozumiałam. Był zmęczony i blady, ujął mnie za łokieć, poprosił do oddzielnego pokoju, kazał usiąść na łóżku. Chwytałam tylko strzępki zdań: nagła operacja, komplikacje, wyciek szpiku kostnego, komplikacje, zator tłuszczowy, zdarza się, komplikacje, spadek ciśnienia, zaburzenie rytmu serca, zatrzymanie akcji serca.

Zdjął okulary, potarł czoło.

– Reanimacja się nie powiodła. Chciałaby pani zobaczyć ciało?

Elisza leżał rozciągnięty na łóżku. Ciało było chłodne, ale jeszcze nie stężałe. Miał już zamknięte oczy. Założyli mu szpitalną koszulę, rozpięłam ją. Rana na udzie była niedbale zszyta grubym ścięciem. W podobny sposób zszyto klatkę piersiową. Usiadłam na brzegu łóżka. Pielęgniarka uchyliła drzwi, weszła, przeprosiła. Oczekałam, aż wyjdzie, zamknęłam za nią. Nie mógł umrzeć, nie o kilka metrów ode mnie. Powinien był na mnie poczekać. Moglibyśmy umrzeć razem. Nie miałabym nic przeciw temu. Zaczęłam śpiewać dziecięce piosenki, jakbym chciała ukołysać go do snu. Fałszowałam, mając nadzieję, że w jego twarzy coś się poruszy, że zadrzą kąciki warg, skrzydełko nosa, że zamruga oczami albo ruszy ręką, ale wiedziałam, że jest martwy. Przeciągnęłam paznokciem palca wskazującego po jego skórze, naciskając, potem delikatniej, nie drgnął, zimny. Smuga światła podzieliła pokój na dwie części. Leżałam obok niego na łóżku, jego ciało sztywniało. Na niebie nie zajaśniała jutrzienka, było kompletnie białe. Elisza tłumaczył mi, że takie światło zwiastuje upał. Ktoś zastukał do drzwi, zrobiło się rano, stukanie przeszło w łomot. Religia żydowska mówi, że dusza opuszcza ciało w chwili śmierci, ale pozostaje w pobliżu, póki ciało nie zostanie pochowane, dlatego nie wolno zostawiać go samego. Ale Elisza nie był żydem, a ja nie byłam religijna. Ktoś krzyknął moje nazwisko. W pewnym momencie zjawiała się przy mnie pielęgniarka i dwóch obcych lekarzy, nawet nie słyszałam, jak otwarli drzwi. Jeden miał szerokie plecy i wygarbowaną wiatrem twarz, przypominał mi rosyjskiego pływaka Aleksandra Popowa. Siedziałam z matką przed telewizorem, kiedy Popow zdobył złoto na olimpiadzie w Barcelonie. Lekarz pchnął mnie na fotel.

Opuściłam budynek szpitala, przeszłam na drugą stronę ulicy, stanęłam na przystanku. Ptaki ćwierkały, autobus przyjechał punktualnie. Kierowca przywitał się, usiadłam w pustym rzędzie, przycisnęłam twarz do podrapanej szyby. Krajobraz jeszcze tam był, długie szeregi zaparkowanych samochodów, niskie domy, wypielegnowane ogródki, od czasu do czasu drzewo.

Wysiadłam przy pierwszej stacji metra. Zeszłam na dół, opróżniłam kieszenie do przepełnionego kosza, w którym roiło się od much. Zwymiotowałam. Otarłam usta. Kilku punków sikało na tory, śmiali się. Nadjechało metro, podnieśli plecaki, wsiedli jeden za drugim. W wagonie było duszno. Stacje zmieniały się, a z nimi pasażerowie, większość stała plecami do mnie. Znalazłam się przed domem,

potem na klatce schodowej. Powiesiłam klucz na haczyku obok drzwi, zdjęłam buty. Z łazienki buchnęło ciepłe powietrze. Woda była tak gorąca, że prawie mnie poparzyła, sitko pełne jasnych włosów. Jego włosów. Na kuchennym stole leżały nieotwarte, zaadresowane do niego listy, pod poduszką jego podkoszulek. Pachniał potem i mlekiem, chociaż Elisza rzadko pachniał potem i nigdy mlekiem. Z czasem zostanie tylko ten zapach skisłego mleka. Skuliłam się i wszystko wokół zaczęło wirować. Wezbrały we mnie mdłości, chwiejnym krokiem dotarłam do łazienki, zwymiotowałam obok muszli klozetowej. Układ krążenia, kolana, wnętrza dłoni dawały mi do zrozumienia, że organizm już nie może. Trzęsłam się, wróciłam do łóżka, wydawało mi się, że nic nie jest pilniejsze od snu.

Matka wzięła wszystko w swoje ręce, zatroszczyła się o Horsta i Elke, o telefon, formalności i resztę. Zapaliła świeczkę obok zdjęcia Eliszy i zasłoniła lustro. Leżałam w łóżku, nie zmieniałam ubrania, gapiłam się w sufit. Od czasu do czasu wchodziła do pokoju, siadała przy mnie, opróżniała wiadro. Nie mogłam jeść i tylko wymiotowałam żółcią.

Talmud nakazuje wspominać zmarłych. Gdybym miała go pod ręką, wrzuciłabym go do pieca. Ale leżał w jakiejś skrzyni obok kasety wideo z *Listą Schindlera*. Chciałam wspominać wszystko, twarz Eliszy, ciało. Za żadne skarby nie zapomnieć, jak trzymał mnie w ramionach, dotyku jego ust na skórze, jak się uśmiechał i jak zasypialiśmy obok siebie, i jak telefonowaliśmy wieczorem, gdy byliśmy daleko. Najbardziej bałam się tego, że zapomnę. Leżałam w łóżku, zasłony były zaciągnięte, na nocnym stoliku przed jego zdjęciem paliła się świeca. Kiedy zamykałam powieki, widziałam jego twarz, ale kiedy były zamknięte zbyt długo, pojawiała się twarz młodej kobiety w jasnoniebieskiej halce. Miała zapadnięte oczy, z brzucha ciekła krew. Zanim obrazy zaczynały się na siebie nakładać, mrugałam i upijałam łyk wody, wtedy znów pojawiał się Elias. Przypominałam sobie, jak moje ciało perfekcyjnie wpasowywało się w jego ciało, myślałam o jego głosie, dłoniach i o tym, jak znaleźliśmy się w ciasnym, zadymionym mieszkaniu.

Chorwaccy gospodarze poruszali się powoli w rytm słowiańskiego hip-hopu. Chodziłam po pokojach z papierosem i kieliszkiem wódki w ręku, szukając znajomych. Jakiś maturzysta wciągnął mnie do kuchni, chciał, żebym pomacała jego biceps. Jedzenie zdradzało, że pochodzi z bałkańskiej budki należącej do ciotki gospodarzy. Duży pokój był pełen ludzi. Elias siedział na kanapie i flirtował ofensywnie z Tubą. Miał dziewczęcą twarz, zapadnięte policzki i wydatne kości jarzmowe. Kiedy się uśmiechał, po obu stronach ust tworzyły się dołeczki. Miał grzeczną fryzurę małego chłopca, czystą, gładką skórę, delikatną siateczkę piegów i duży, szlachetny nos. Lubiłam wysokich, szczupłych mężczyzn i twarze zdominowane przez nosy, przyglądałam mu się o wiele za długo.

Tuba odgarnęła włosy z twarzy, zadzwoniła bransoletkami i pociągnęła łyk piwa z butelki, wysunęła język i oblizała szyjkę. Nagle zamachała.

– Masza!

Powoli utorowałam sobie drogę przez tańczący tłum, ktoś wylał mi piwo na but, przeprosił skinieniem głowy.

– Kochana, wszystko dobrze? To jest Elias. – Tuba spoglądała to na mnie, to na niego.

Pozornie zatopiona w myślach bawiła się włosami, okręcając kosmyk wokół palca, napinając go i puszczając, żeby się skręcił. Potem zapytała:

– Jesteś z Cemem?

– Tak, ale nie widziałam go od godziny.

– To pójde go poszukać – i znikła.

Przysiadłam się, wyprostowałam plecy. Cała ta sytuacja była dla nas obojga krępująca. Najpierw milczeliśmy, potem zapytałam, skąd pochodzi. Zaczął mówić o Dreźnie, Hamburgu i Berlinie, o łowieniu ryb i architekturze, o francuskim kinie, nowej wystawie w Muzeum Sztuki Nowoczesnej, o piłce nożnej i o moim znamieniu za lewym uchem.

Wyszliśmy razem, siąpił deszcz, zapytał, czy może mnie zawieźć do domu na bagażniku roweru. Przyglądał mi się tak intensywnie, jakby chciał nauczyć się mnie na pamięć. Wybrałam nocny autobus. Gdy samotnie stałam na przystanku, żałując odrzucenia propozycji, spadł grad.

Trzy tygodnie później spotkałam Eliasa przypadkiem w tramwaju. Jechał nim też chłopiec z przezroczystą plastikową torebką. Pływała w niej złota rybka. Oboje patrzyliśmy na niego ze zdumieniem, ale nie zwracał na nas uwagi. Chciałam wetknąć Eliasowi kartkę z numerem telefonu, lecz za szybko wysiadł.

W kolejnych tygodniach myślałam tylko o nim. Potem przeczytałam w gazecie o wystawie w Akademii Sztuk Pięknych. Kupiłam nawet sukienkę, ale było za zimno, żeby zdjąć płaszcz. Stał w kącie, oparty o bar, z papierosem w kąciku ust. Obok niego kobieta, miała krótką czerwoną spódnicę i koralowe usta. Ładna dziewczyna o nieskazitelnej skórze i nieskazitelnych nogach. Kiedy ją zobaczyłam, pomyślałam, że musimy zaakceptować nasze Niemki i ich nieskazitelne nogi. Wybiegłam, przy wejściu złapał mnie za rękaw. Wróciliśmy do środka. Kupił mi piwo, wystraszyłam się, że powiem coś głupiego, a potem on oznajmił, że wszystko, czego potrzebuje większość obrazów, żeby stać się sztuką, to puste ściany. Był coraz bardziej nerwowy, a ja stwierdziłam, że ma piękny nos i nie myślałam już o Samim, który kilka miesięcy temu wrócił do Kalifornii.

Popiół z papierosa zostawiał ślady na prześcieradle. Leżałam na łóżku w połowie pustym i widziałam młodą kobietę w jasnoniebieskiej halce, która upada niemal u moich stóp, z powykręcanyimi nogami i krwawiącym podbrzuszem. Wyrwałam się ojcu i podbiegłam do niej. Halka była przesiąknięta krwią, na asfalcie tworzyła się kałuża. Krew spłynęła do moich butów. Zafarbowała je na czerwono.

Matka przywitała Cema z wylewną czułością, zrobiła mu kawę.

Usiadł na łóżku i powiedział, że on i jego chłopak wynajęli dla Eliasa płaczki, które przez kolejne czterdzieści osiem godzin będą w Grecji lamentowały nad jego śmiercią. Mogę je zobaczyć w internecie. Stworzył specjalny kanał na YouTube. Wyjął z torby laptop i pokazał mi na ekranie dwie zasłonięte stare kobiety, które siedziały w niemal pustym pomieszczeniu na białych, plastikowych krzesłach ogrodowych i nic poza tym nie robiły. Cem gapił się na nie rozczarowany, a potem zaklął po turecku. Zadzwoił do Konstantina. Usłyszałam przekleństwa na drugim końcu linii. Konstantin musiał zadzwonić do kogoś do Grecji, bo po kwadransie kobiety zaczęły pracować. Krzyczały, wyły, łkały. Przyglądaliśmy się im przez chwilę, wciąż powtarzały jedno długie zdanie. Przynajmniej według nas brzmiało to jak jedno zdanie. Zapytałam Cema, co to znaczy, nie wiedział. Znów zadzwoniliśmy do Konstantina.

– Nie słyszę – powiedział. – Jest za cicho.

Przybliżyliśmy telefon do ekranu.

– Czynić. Cierpieć. Uczyć się – przetłumaczył.

– Dlaczego cytują *Oresteję*? – zapytał Cem.

– To Greczynki.

– Zadzwoń do nich jeszcze raz.

Leżałam samotnie w podwójnym łóżku, przesuwałam rękami tam i z powrotem po pustej połowie, próbowałam znaleźć inną pozycję do spania niż ta, do której byłam przyzwyczajona. W myślach wciąż wracałam do jego ostatniej nocy, analizowałam każdą sekundę, mogłam była zapobiec jego śmierci, gdybym się wcześniej obudziła, powinnam była skontrolować stan rany poprzedniego dnia, czułam się odpowiedzialna za śmierć Eliszy. Najczęściej zapadałam w niespokojny sen nad ranem, odwlekałam moment wstania. Wyobrażałam sobie, że leży obok. Wyciągnę do niego rękę, a on tam będzie, na swojej połowie, z podciągniętymi kolanami i zmierzwionymi włosami. Pochylę się nad nim i powiem mu dzień dobry. Włoski na jego brodzie pokłują mnie. Dotknę go. Jego ciało będzie ciepłe. Będę go trzymać i nie puszczać. A on odsunie mnie, wstanie, pójdzie do łazienki, wróci i może jeszcze na chwilę położy się obok mnie. Wybierze ubrania, które do siebie nie pasują. A ja będę się z niego śmiała. Pościel jeszcze trochę nim pachniała, do spania zakładałam jego rzeczy. Dopiero nad ranem, gdy zaczynałam szukać go w łóżku, przypomiinałam sobie.

Zanim ojciec przekręcił kluczyk w stacyjce, złożył ręce nad kierownicą i przez moment trwał w bezruchu. To nie była modlitwa, lecz rosyjska tradycja nakazująca przed podróżą usiąść w milczeniu. Po tej chwili ciszy wyjechał z parkingu, przyspieszył już w terenie zabudowanym. Drzewko zapachowe przy wstecznym lusterku kołysało się gwałtownie w tę i z powrotem. Matka uśmiechnęła się z zadowoleniem i wygodniej usadowiła w fotelu. Siedziałam na tylnym siedzeniu między Cemem a Samim, obydwaj spali.

Studencka wiza Samiego skończyła się, zwykle załatwienie takiej sprawy zajmowało dwa tygodnie, ale gdy miało się w paszporcie arabskie nazwisko i jako miejsce urodzenia Bejrut, nie pomagało nawet niemieckie obywatelstwo. Raz w miesiącu chodził do amerykańskiego konsulatu, wypełniał formularze i otrzymywał zapewnienie, że to już nie potrwa długo, kilka tygodni, rutynowa kontrola. Słyszał to co miesiąc przez prawie rok.

Czerwony blask świtu wisiał ciężko na niebie. Ojciec uparcie prowadził volkswagena lewym pasem, powyżej dozwolonej prędkości, nie ustępował ani bmw, ani mercedesom, a matka patrzyła na niego z czułością. Czasem zastanawiałam się, jak wyglądałoby nasze życie, gdyby poleciał w kosmos. Zastanawiałam się, czy byłby szczęśliwy. Czy matka byłaby szczęśliwsza. Ale prawdopodobnie wystarczyłoby, gdybyśmy zostali na Kaukazie. Albo gdybym ja była lepszą córką.

Horst i Elke mieszkali w brzoskwińowym domu z prefabrykatów. Zbudowany w stylu śródziemnomorskim, wyglądał, jakby zabłądził na wschodniemiecką prowincję. Obok pomalowanego na biało wejścia rósł dąb, zasłony były zaciągnięte, trawnik precyzyjnie przystrzyżony, altana. Za ich domem wieś się kończyła.

Stanęli w drzwiach. Oboje ubrani na czarno. Kiedy wysiedliśmy z auta, głośno zatraskując drzwi, Elke wzdrygnęła się.

Matka objęła ją ostrożnie, żeby ich ciała zanadto się nie zbliżyły, ojciec z całej siły ucisnął dłoń Horsta. Cem i Sami złożyli kondolencje. W korytarzu Horst odebrał kurtki od matki i ode mnie i podał je żonie. Elke przeciągnęła rękami po biodrach, wygładzając satynowe spodnie, uśmiechnęła się nerwowo, odgarnęła włosy z twarzy. Matka skrzywiła się z wyższością, wcisnęła ojcu do ręki torebkę. Miała czarną sukienkę podkreślającą, jaka jest szczupła, wysokie obcasy, na szyi przedrewolucyjne perły po prababce.

Cem i Sami z zakłopotania zdjęli buty. Elke zapytała, czy nie mieliśmy problemów ze znalezieniem ich domu, jaka była droga, o której wyjechaliśmy i czy nie było to za bardzo męczące. Wypluwała pytania z prędkością karabinu maszynowego, ale nikt nie odpowiedział. Horst wskazał brązową kanapę, na stoliku przed nią stało siedem filiżanek do kawy i pokrojone ciasto. Całe pomieszczenie było jednym wielkim wschodnim biedermeierem.

– Od naszego piekarza. Tego zaraz za rogiem – głos Horsta drżał.

Wstał gwałtownie, zamknął okno, wyłączając odgłosy z zewnątrz, ćwierkanie ptaków i dolatujący z oddali dziecięcy śmiech.

Po chwili, kiedy już nikt nie był w stanie dłużej znieść ciszy, Cem zapytał:

– Zbiera pan zegary?

Na przeciwległej ścianie wisiały dziesiątki ściennych zegarów, wyciętych z drewna, pomalowanych. Ich tykanie sumowało się w hałaśliwy szum.

– Nie – odpowiedział Horst alkoholik.

– Aha – Cem skinął głową.

Sami zakrztusił się ciastem, ojciec gorliwie poklepał go po plecach.

– Ale to całkiem pokaźna kolekcja.

Elke położyła pulchną dłoń na kolanie Horsta, uśmiechnęła się.

– To mój ojciec.

– Zbierał zegary?

– Tak.

Horst odchrząknął.

– Masz jego rzeczy? – zwrócił się do mnie.

– Wiesz, gdybyś nie miała miejsca – dodała Elke miękko, wygładziła spodnie i spojrzała gdzieś obok mojej głowy.

– Musisz tego chcieć sama z siebie – powiedział Horst i znów podszedł do okna.

– Ale nie chce – ojciec rozejrzał się wokoło wojowniczo, matka pospiesznie zaczęła wychwalać ciasto, Elke równie pospiesznie nalewać kawy.

A ojciec, tym razem z naciskiem, powtórzył:

– Jak nie chce, to nie.

Niemiecki mojego ojca zawsze wypadał nieuprzejmie, po rosyjsku brzmiał bardziej dyplomatycznie. Nawet postawę przybierał inną, wyprostowane plecy, napięte mięśnie. Jego niemiecki pozostał rudymmentarny, z tureckim zaśpiewem, rosyjską logiką zdania i łacińskimi słówkami.

Cem podał mu cukierniczkę i podjął wątek.

– To ile zegarów państwo mają?

– Sama nie wiem, dziwne, że pan o to pyta – odparła Elke.

– Trzydzieści sześć – mruknął Horst.

– Cüş – skomentował Cem.

– Naprawdę tak dużo? Nie pomyślałabym – Elke uśmiechnęła się zmieszana i dolała kawy.

– Tak, to męczące, trzeba je stale nakręcać. A to trwa!

– Nie przeszkadza państwu ten hałas?

– Hałas?

– No, tykanie.

– Nie.

– Nie?

– Nie, właściwie nie.

Milczeliśmy, nie patrząc na siebie, aż ojciec wstał, żeby przeparkować samochód.

Horst i Elke pojechali do kościoła przodem, rodzice za nimi. Ja wolałam się przejść, a chłopcy nie mieli

odwagi zostawić mnie bez nadzoru. Wieś była zadbana i czysta. Niewielka: lodziarnia, bank. Okrągłe twarze, nieumalowane kobiety. W ogródkach przed domami pełniły wartę pudle, beczelnie wisiły plakaty NPD^[8].

Ksiądz nazwał Eliasa dobrym chrześcijaninem i naszym bratem. Żałobników było stosunkowo niewielu, powściągliwi mieszkańcy wsi i dalecy krewni oraz pracownicy zakładu pogrzebowego ze złożonymi rękami. Przyjaciele płakali, nie wiedziałam już, moi czy jego, ludzie zbili się w małe stadka, odwracali wzrok, gdy nasze oczy się spotykały. Miałam na sobie szary podkoszulek i džinsy, zapomniałam się przebrać. Ręka Cema obejmowała moją, nie puszczał mnie. Czuć było woń kadzidła i więdnące kwiaty.

Rozdzwoniły się dzwony, ludzie zaczęli przepychać się do wyjścia wąskimi nawami wiejskiego kościoła.

Zostałam sama. Grabarze wynieśli trumnę. Wyszłam, zobaczyłam, jak podnoszą ją na samochód. Włączyli silnik. Cem wziął mnie za rękę i usadowił w aucie ojca, które podążyło za konduktem na nowy cmentarz. Stanęliśmy nad świeżo wykopanym grobem. Sierpniowe słońce oślepiało, wgryzało się w żałobne ubrania. Ksiądz wziął łopatkę jako pierwszy. Maleńką jak zabawka. Rzucił grudki na trumnę. Inni za nim. Na ziemi tańczyły plamy światła. Elke opadła na skraju grobu, bezgłośnie płacząc. Horst ujął ją za łokieć i podniósł zdecydowanym ruchem. Ksiądz czekał z kondolencjami przy bramie cmentarza, uścisnął rękę Elke, poklepał po plecach Horsta, skinął mi głową. Pulchna kobieta wyglądająca jak ktoś, kto głosuje na solidną partię konserwatywną, żeby nie zaprzętać sobie głowy polityką, przystanęła koło mnie i szepnęła:

– Pani jest jego dziewczyną? Taki młody człowiek. I taki piękny – zaczerwieniła się.

Między jej siekaczami tkwił kawałeczek jasnobrażowego mięsa. A Elisza naprawdę był pięknym mężczyzną.

Restauracja Elke była mroczna. Ciemne drewno stołów i krzeseł sprawiało wrażenie zaprawionego olejem. Żałobnicy znów zbili się w małe grupki. Zdrowe, różowe twarze, skóra tłusta i błyszcząca. A poza tym: więdnące wiązanki kwiatów, piwne oddechy i wilgotne uściski dłoni.

Horst i Elke poruszali się między nimi drobnymi kroczkami, odbierając wyrazy pocieszenia. Niektórzy mówili, że to straszne i że ludzie nie umierają w tak młodym wieku, a już na pewno nie od złamania nogi. Starsi zaprzeczali: na wojnie umierają.

Elke pokazała mi prospekt z projektami nagrobków. Zdecydowali się na prostą płytę z masywnego czarnego granitu, polerowaną, odporną zarówno na zadrapania, jak i na obciążenia, ponadczasową, klasyczną, tak było napisane. Potem poszła przywitać się z dalekimi krewnymi.

Stanęłam koło babki Eliasa. Na pogrzeb wnuka dostała przepustkę z domu starców. Była kruchą kobietą o cienkich siwych włosach, spiętych na karku w maleńki węzeł. Wyciągnęła kościstą rękę i przytuliła mnie. Poczulałam jej słodkawy oddech i słaby zapach lawendy z ubrań.

O północy wróciliśmy do domu Elke i Horsta. Rodzice pożegnali się i jako pierwsi poszli do łóżka. Cem i Sami nie spuszczały mnie z oka. Wiedziały, czego się boją.

Zegary nie były zsynchronizowane, jedna kukułka po drugiej wyjeżdżały na małej platformie, żeby wykrzyknąć w noc swój przejmujący grozą hymn. Niektóre ptaki zamierały na moment po wydaniu krzyku, wpatrując się mętными oczami w pokój. Potem mechanizm ruszał, kukułka zniknęła we wnętrzościach

zegara i zaczynała krzyczeć druga. Dziesięć po dwunastej wszystko się skończyło.

- Stary – odezwał się Sami.
- Niemcy – odpowiedział Cem.
- Idę spać.
- Ja też.
- Masza?

Powiedziałam, że dopiję herbatę. Otworzyłam drzwi na taras i usiadłam na zewnątrz. Noc była przejrzysta, wskazywałam ręką gwiazdozbiory, jak wcześniej robił to ojciec.

Następnego ranka wróciliśmy do domu. Ojciec pędził. Patrzyłam na niego, nie rozumiejąc, jak to możliwe, że on jeszcze żyje, a Elias nie. Krajobraz przelatywał obok, prawie się nie zmieniając, pola, łąki, restauracje przy autostradzie, szyldy McDonald's jak półksiężyce na minaretach. Obok autostrady demontowano wesołe miasteczko, rozebrane do połowy koło młyńskie wyciągało ramiona w zasnuते chmurami niebo.

IV

Mój układ odpornościowy poddał się krótko po pogrzebie. Dopadło mnie wszystko, częściowo jedno po drugim, częściowo równocześnie, zapalenie ucha środkowego, zapalenie oskrzeli, grypa żołądkowa, migreny. Ciało odmówiło współpracy. Nie robiłam nic, żeby wyzdrowieć, ale samo pragnienie śmierci nie wystarczy. Leżałam w łóżku, gapiąc się w sufit. Wciąż jeszcze wisiały pod nim papierowe samoloty, które zrobił dla mnie Elias, bo kochałam wszystko, co się rusza. Nie wiedziałam, jaki jest dzień, która godzina. Nie byłam nawet pewna, jaki to miesiąc. Żyłam w próżni. Czasem zapomniałam, że go nie ma. Czasem czekałam, że przekręci klucz w drzwiach. Że usłyszę jego kroki.

Cem i matka podawali mi lekarstwa, zmuszali do jedzenia. Sami często przysiadali obok mnie, wyglądał, jakby świat się skończył.

W Wigilię biegłam przez park, wzdłuż Menu i jego kulis tworzonych przez siedziby banków, muzea i pomalowane na ciemno ławki. To był idealny wieczór do uprawiania sportu na wolnym powietrzu. Na ulicach sami muzułmanie, żydzi i kilku samotnych chrześcijan. Moje nogi były ciężkie i zmęczone, przede mną szła powoli jakaś para. Dziecko krzyczało, w żółtym kombinezonie wyglądało jak mól. Chciałam ich wyprzedzić, nie zauważyłam korzenia i wylądowałam na rękach i na kolanach. Od kłującego bólu do oczu napłynęły mi łzy. Dziecko z zadowoleniem klasnęło w ręce i przestało krzyczeć. Rozdarłam spodnie, poobcierałam wnętrza dłoni. Zaklęłam i powoli się podniosłam. Popatrzyły na mnie dwie pary oczu i zasłona. Mężczyzna zapytał, czy wszystko w porządku. Skinęłam głową, on także. Kobieta prędko wyjęła z torebki paczkę wilgotnych chusteczek, podeszła do mnie. Wyciągnęłam rękę, żeby wyjąć chusteczkę, a ona schwyciła ją i zaczęła oczyszczać otarcia. Jej ruchy były szybkie i precyzyjne. Podziękowałam i pobiegłam do domu. Zaraz Elias przemyje mi rany, a ja mu wszystko opowiem. Przytuli mnie, troskliwie i czule.

– Co się stało? – matka siedziała z podkurczonymi nogami na schodach naprzeciwko drzwi do mojego mieszkania, u jej stóp stały wielkie torby z zakupami. Przychodziła co wieczór z miską przykrytą aluminiową folią.

– Nic, potknęłam się.

– Nie możesz uważać?

– Mamo.

– Nie, naprawdę, musisz bardziej na siebie uważać. Prawie nie jesz, nie sprzątasz, nawet się nie malujesz.

– Mamo.

– Wiem, że jestem twoją matką. Jakby to miało jakieś znaczenie.

Otworzyłam drzwi skostniałymi z zimna rękami, puściłam ją przodem. Odstawiła torby, zdjęła płaszcz i kozaki, założyła pantofle, które przyniosła już jakiś czas temu. Zapełniła kuchenne szafki i lodówkę mlekiem, jogurtami, musli, chlebem, pomarańczami, warzywami i puddingiem czekoladowym.

– Wiesz, że dziś święta?

– A co nas to obchodzi?

Grzebała w szafkach. Uważała, że wie, co dla mnie najlepsze, i wykorzystywała fakt, że nie mam siły. Znalazła stosowną szufladę, wyjęła kuchenną ściereczkę, zmoczyła ją zimną wodą i oczyściła otarcia na mojej twarzy i rękach. Potem obficie polała mi dłonie jodyną.

– Nawiasem mówiąc, chciałam ci jeszcze powiedzieć – odezwała się – że obejrzałam sobie twoje prześcieradła. Nie pierzesz ich tak, jak trzeba. Nie wiem, co robisz źle, ale podrażni ci się już po pięciu

latach.

Popatrzyłam na nią z wdzięcznością i roześmiałam się głośno. W jej twarzy zobaczyłam czułość.

Przyglądała się, jak jem. Ona sama robiła wszystko, żeby zachować niedowagę. Siedzieliśmy w kuchni, matka paliła jednego z tych swoich długich, białych papierosów, co wyglądało nieco frywolnie. Otworzyłam butelkę gruzińskiego wina, a ona powiedziała bardzo poważnym, spokojnym tonem, musiała to sobie wcześniej przygotować:

– Pomogę ci je przebrać.

– Nie.

– W takim razie zrobię to sama.

Znów odmówiłam, tym razem bardziej zdecydowanie i głośniej, niż może było to konieczne. W mieszkaniu nad nami dzieci śpiewały *Cichą noc*, ktoś wtórował im, fałszując, na flecie. Kiedy kołęda przebrzmiała, przez chwilę było cicho. Potem mężczyzna krzyknął coś niezrozumiale, kobieta odpowiedziała krzykiem. Dzieci się rozplakały. Milczeliśmy. Na górze trzasnęły drzwi.

– Właściwie chciałam podarować twoim sąsiadom migdały. Na święta. Ale nie zdążyłam.

Flet znów zagrał *Cichą noc*.

– Robiłam wszystko, miałaś wszelkie warunki, żeby być szczęśliwym dzieckiem.

– Wiem.

– Ojciec był jednym z pierwszych, którzy musieli odejść. Wycofali z ministerstwa wszystkich Rosjan i posłali ich jako niezależnych obserwatorów do Karabachu. Nawet nie wiedziałam, czy jeszcze żyje. No cóż. Podobno Rosjanie byli neutralni, ale Azerowie sądzili, że ojciec sympatyzuje z Ormianami, a Ormianie, że z Azerami.

Sąsiedzi byli coraz głośniejsi.

– Po tym – nie powiedziała, po czym, ale wiedziałam, co ma na myśli – zostałam z tobą sama. Nie odzywałaś się, nawet na mnie nie patrzyłaś. Nie dawałaś się dotknąć, trochę jak teraz. Byłaś jak obca, nie miałaś w sobie żadnego ciepła. Nigdy go nie odzyskałaś. Po tamtym dniu zamknęłaś się i nigdy nie znalazłam do ciebie drogi. To absurdalne. Nie chciałam, żebyś poszła. Wiedziałam, że to złe, ale co miałam robić? Mieliśmy w domu trupa.

– To nie twoja wina.

Matka uniosła brwi.

– To ze mną jest coś nie tak. Wszystko wokół umiera.

– Co to za bzdury?

– Żadne bzdury.

– Ależ oczywiście.

– Miałam skrobankę.

– Kiedy?

– Jak byłam z Samim. Krótco przed naszym rozstaniem. Nie dostałam okresu, a moją pierwszą myślą było, że muszę się umówić na wizytę i jakoś wcisnąć tę skrobankę między egzaminy. Potem zrobiłam test, wyszedł pozytywnie.

– Nie miałam pojęcia.

– Nawet nie pomyślałam, żeby zatrzymać to dziecko. I wstydziłam się tego. W klinice korytarze były ozdobione zdjęciami niemowląt. Różowe bobasy. Wszędzie. Możesz to sobie wyobrazić?

- Ktoś z tobą poszedł?
- Cem. Wszyscy myśleli, że to on jest ojcem i że boi się odpowiedzialności. Nie zaprzeczał.
- Gdzie był Sami?
- W Stanach. Nic mu nie powiedziałam.

VI

– Źle wyglądasz – powiedział Cem.

W ostatnich tygodniach prawie nie wychodziłam z domu. Oglądałam telewizję, czasem przeglądałam książki, gazety, książkę telefoniczną. Miałam wyłączoną komórkę, nie opróżniałam skrzynki na listy. Nie pracowałam, zapomniałam złożyć wniosek o przedłużenie stypendium. Matka opłacała nasz, teraz mój, czynsz. Wiedziałam, że coś się musi wkrótce zmienić.

– Poślizgnęłam się – odpowiedziałam z poczuciem winy.

– Nie możesz uważać?

– O to zapytała już mama.

– Masza, człowieku. Wyglądasz jak maltretowana żona, naprawdę, uważaj, bo przestanę wychodzić z tobą na ulicę.

– Boisz się?

– A chcesz, żeby Lufthansa odwiozła mnie do kraju? – Wszedł do kuchni, wsadził głowę do lodówki. Przepatrzył szuflady, przyjrzał się dokładnie warzywom, niektóre wyrzucił, sprawdził datę ważności na kubkach z jogurtem. – Zrobiłaś zakupy, bardzo dobrze.

– To mama.

– Dobra kobieta.

– Ja nie jestem dobrą kobietą?

– Nie.

– Nie?

Chodził po pokoju, rozglądając się, usiłował ocenić, ile rzeczy Eliszy jeszcze tu jest.

– Nie – pokręcił zdecydowanie głową. – Wiesz, jak Turek spotyka się pierwszy raz z dziewczyną, a dziewczyna, oczywiście także Turczynka, oferuje mu ciasto albo coś innego, to chłopak próbuje. A potem mówi, czy to dobra kobieta, czy nie. Jak nie, to może ją odrzucić, zanim będzie za późno – popatrzył mi prosto w oczy. – Masza, nawet się nie śmiejesz.

– Cem?

– Co?

– Opowiesz mi, jak umarł twój brat?

– Nie – miał zacięty wyraz twarzy.

Usiadł obok, wyjął z kieszeni bibułki i małą okrągłą puszkę.

– Czarny Afgańczyk, z serdecznymi pozdrowieniami od Konstantina – dał mi powąchać haszysz.

– Ma go z parku?

– Od kuzyna.

– Byłam ostatnio w parku... – przerwałam. Twarz Cema stężała, odetchnęłam głęboko i dokończyłam: – A może to już było jakiś czas temu. W każdym razie spotkałam tam tylko dwóch trzynastolatków, próbowali mi sprzedać rozmaryn. Pomyślałam, że należą do tej paczki, od której wcześniej kupowałam, więc powiedziałam po turecku, żeby się wzięli do odrabiania lekcji, zamiast naciągać ciężko pracujących ludzi. Na co jeden odparł, że mówi tylko po niemiecku, a drugi nazwał mnie *white trash*.

Cem się roześmiał.

– Kuzyn Konstantina już tam nie sprzedaje?

– Nie, robi wszystko z domu. Zapisał się na ekonomikę przedsiębiorstw.

Zaciągnęłam się głęboko kilka razy i podałam mu jointa.

– Masza, siedziałem dziś trzy godziny w kabinie, tłumaczyłem przemówienia z francuskiego parlamentu. Jak nie zacznę się uczyć również w nocy, to mogę zapomnieć o egzaminach.

Cem był moim partnerem, zmienialiśmy się co pół godziny, tłumaczyliśmy razem konferencje w wyłączonych kabinach. Byliśmy zgrani, jedno zauważało natychmiast, że drugie walczy z jakimś słowem czy wyrażeniem, pomagaliśmy sobie albo przejmowaliśmy tłumaczenie przed czasem. Nawet nasze głosy się uzupełniały.

– Wiesz, jak jest po francusku „zrównanie kadencji parlamentarnych”? – zapytał.

Brałam głęboki wdech, oddychałam spokojnie i raz po raz wyciągałam rękę po jointa. Ręce i nogi mi ciążyły. Cem po narkotykach zawsze dostawał świra: permanentna kampania wyborcza, budżet państwa, społeczna inicjatywa ustawodawcza, *diète fédérale allemande, mandats directs et mandats de listes* – chichotał.

Od tego dnia znów zaczęłam spędzać przedpołudnia w kabinie, słuchając absurdalnych peror o energii odnawialnej, podatku dochodowym oraz hodowli ryb i wypowiadając do mikrofonu słowa po niemiecku, rosyjsku albo francusku. Chociaż się skupiałam, najczęściej już po półgodzinie zapominałam, co tłumaczyłam. Mówiłam, nie formułując ani jednej własnej myśli. Mój mózg funkcjonował jak automat. Popołudniami siedziałam w bibliotece przy długim stole, między dziesiątkami studentów i uczyłam się słówek. Całymi wieczorami czytałam rozprawy naukowe i artykuły, rano przed zajęciami dzienniki i periodyki, po angielsku, niemiecku, francusku i rosyjsku. Usiłowałam zapełnić pustkę słówkami.

VII

W sylwestra przed moimi drzwiami zjawił się Sami. Miał bardzo krótkie włosy, niemal tak krótkie jak kilkudniowy zarost na brodzie. Był w kurtce z kapturem, wypchanych na kolanach dzinsach, które wsunął w ciężkie wysokie buty, i wyprasowanej, intensywnie niebieskiej koszuli.

Wpuściłam go, pomaszerował za mną do dużego pokoju i usiadł na kanapie. Otworzyłam przyniesione przez niego wino, zaczęliśmy oglądać film w telewizji.

Urodził się w Bejrucie w czasie wojny domowej. Jego ojciec Albert był Szwajcarem, z kolei jego rodzice byli Włochami, a później Francuzami. Kierował filią banku w Bejrucie. Tuż po narodzinach syna został przeniesiony do Paryża, więc językiem ojczystym Samiego stał się francuski. Kiedy miał trzynaście lat, rodzina przeprowadziła się do Frankfurtu. Gdy mówił po arabsku, często pomagał sobie francuskimi słowami, Bejrut znał z krótkich wakacji, ze zdjęć w gazetach i długich rozmów telefonicznych matki z libańskimi krewnymi, kończących się zawsze jej płaczem.

Miał starszego brata Paula, z pierwszego małżeństwa ojca. Matka Samiego, druga żona Alberta, obu chłopców traktowała jednakowo, jej oczkiem w głowie było najmłodsze dziecko, urodzona już we Frankfurcie Leyla. Ani Sami, ani Paul nie byli o nią zazdrośni. Kochali ją szczerze i bezgranicznie. Paul zdał maturę i Albert zdecydował, że powinien studiować ekonomię w USA. Wobec tego najstarszy syn wyjechał do Kalifornii. Sami spędzał u niego każde lato i wkrótce się tam przeprowadził, żeby skończyć *high school*. W nowej szkole żaden z kolegów nie mógł pojąć związku między twardym niemieckim akcentem, gdy Sami mówił po angielsku, a arabskim nazwiskiem. Powinien był wrócić do Niemiec, ale tego nie zrobił, bo się zakochał.

Kilka tygodni po przyjeździe do Stanów spotkał Nedę. Miała czternaście lat, długie czarne włosy, migdałowe oczy, szczupłe pęciny i była dla niego nieosiągalna. Zaprzyjaźnili się, czasem chodzili razem coś zjeść albo do kina, ale Sami nawet nie mógł wziąć jej za rękę. Neda zakochała się w Paulu, który nie zwracał na nią uwagi, a Sami nigdy nie zdradziłby brata. Więc zostali przyjaciółmi. Kiedy skończył szkołę, wyjechał na studia do innego miasta w Kalifornii.

Minęły dwa lata i pewnego ciepłego wiosennego dnia, gdy kampus pachniał bzami, przypadkowo znów się spotkali. Nie nosiła chusty, romans był nieunikniony. Ale Neda pochodziła z tradycyjnej rodziny, rodzice oczekiwali, że wyjdzie za starszego perskiego lekarza, którego dla niej wybrali. Potem Sami miał zapewne wiele kobiet i zapewne w każdej szukał Nedy.

Zakochałam się w nim miesiąc po jej ślubie. Wrócił do Niemiec, żeby zrobić magisterium. Zebrałam całą swoją odwagę i zagadnęłam go w barze. Siedział z kolegą dwa stoły ode mnie i nawet na mnie nie spojrzał. Ja tego wieczoru nudziłam się setnie, byłam z kobietą, która miażdżyła mi rękę i robiła doktorat na *gender studies*.

Od początku wiedziałam o Nedzie, wiedziałam też, że za dwa lata Sami wróci do Kalifornii na studia doktoranckie. Przez te dwa lata byliśmy razem, ja kochałam go jak jeszcze nigdy nie kochałam nikogo, on kochał wspomnienie o Nedzie.

Zapytałam, czy mnie do niej porównuje. W pewien leniwy niedzielny poranek, światło było mlecznoszare. Leżeliśmy w łóżku, Sami przeglądał FAS^[9], ja słownik. Od czasu do czasu odczytywałam jakieś słowo na głos, a on poprawiał moją arabską wymowę. Odpowiedział, że nie ma w zwyczaju porównywać, zresztą za bardzo się od siebie różnimy. Zapytałam, co to znaczy. Ja jestem silna i niezależna, i właściwie go nie potrzebuję. Neda była krucha. Zakochał się w niej już pierwszego dnia, serce mu się krajało, gdy widział, jak cierpi. Krokodyle łyż, odparłam, przecież cię zostawiła. Nie miałem siły, żeby ją zatrzymać, powiedział. Czy porównuje nasze ciała, myśli o niej, gdy leży obok mnie w łóżku? Albo jak się ze mną kocha, to czy wtedy o niej myśli? Wstał i wyszedł z pokoju. Nawet nie zatrzasnął za sobą drzwi, wyszedł cicho i zdecydowanie. Ale kiedy ktoś ci mówi, że kocha inną, która być może także jeszcze go kocha, trzeba milczeć, zwłaszcza jeśli ty kochasz jego.

Przegrzebałam wtedy cały internet, szukając jej zdjęć, w końcu znalazłam je na jakimś portalu społecznościowym. Nie była szczególnie ładna, a to, co pisała na swojej stronie, nie było szczególnie mądre. Przez jakiś czas jej zdjęcie wisiało obok mojego lustra, porównywałam nasze twarze rano, w południe i w nocy. Chciałam zrozumieć, jak to jest, że Sami kocha ją, a nie mnie.

Zasnął w środku filmu. Kiedy pojawiły się napisy, przykryłam go kocem i wyłączyłam telewizor. Obudził się.

- Pójdę już.
- Możesz tu zostać.
- Nie, pojedę – podniósł się ciężko.
- Nie możesz jechać, piłeś. Śpij tutaj.
- Naprawdę?
- Tak, obudzę cię rano.
- Dziękuję.
- Nie ma za co.

Odwrócił się do oparcia sofy i z powrotem zasnął.

VIII

Podczas mojego egzaminu dyplomowego Windmühle zachowywał się bardzo urzędowo. Ja w pełni skoncentrowałam się na brzęczeniu muchy, której połyskujący zielony odwłok przypominał raczej czołg niż obiekt latający. Zdałam na 1,0 i nie mogłam tego zrozumieć. Zapytali, gdzie chciałabym się zatrudnić, powiedziałam, że w ONZ.

Czy wiem, jakie to trudne?

Właśnie dostałam 1,0.

Windmühle się zaśmiał.

– Sumiennie się przygotowywałam, uczyłam się najważniejszych języków obowiązujących w ONZ, odbyłam stosowne praktyki. Jestem dobra – dodałam.

Odpowiedział, że moim notom nic nie można zarzucić.

– Jak dobrze mówi pani po arabsku?

– Dość dobrze – skłamałam.

– I uczyła się go pani dodatkowo?

– Nie.

– Jak to nie?

– Nie dodatkowo. Robiłam go jako drugi kierunek.

– Pani najmocniejszy dialekt?

– Libański.

Tydzień później Windmühle zadzwonił i powiedział, że zdałam egzamin najlepiej z całego roku. Potem pochwalił moją technikę robienia notatek i zaprosił na obiad. Zgodziłam się, sama nie wiem dlaczego.

Siedzieliśmy we włoskiej restauracji naprzeciwko Starej Opery. Patrzył na mnie, jakby się bał, że się rozplaczę. Widać było, że ma nadzieję, iż nie zdarzy się to w restauracji.

W karcie nie było cen i tylko kilka dań. Talerze przynosili i zabierali z prędkością światła. Właściwie zabierali, zanim zdążyliśmy do końca zjeść. Windmühle cały czas powtarzał „Tego musisz spróbować” – i zamawiał więcej i więcej, po włosku, przekomarzając się z kelnerami. Próbowaliśmy się zorientować, z której części Włoch pochodzi jego akcent, ale mi się nie udało, jego język był przejrzysty i sterylny, bez śladu naleciałości. Sprawiał wrażenie bezdusznego, jakby wyhodowano go w laboratorium.

– Gdzie się pan nauczył włoskiego? – zapytałam.

– W Moguncji, na uniwersytecie. A pani? – popatrzył na mnie uważnie, jak podczas egzaminu.

– W Rimini.

– Co pani tam robiła?

– Kelnerowałam podczas wakacji przez trzy kolejne lata.

Kiwnął głową i dał kelnerowi znak, że prosi o espresso. Filizanki były z białej, niemal przezroczystej porcelany. Pochyliłam się nad stołem i pocałowałam go. Zdziwił się, ale odwzajemnił pocałunek.

– Nie mają tu najlepszego espresso, nie uważa pani? Zaserwuję pani lepsze, u mnie w domu.

Uregulował rachunek, dyskretnie, kartą kredytową, czego żałowałam, chętnie dowiedziałabym się, ile jestem dla niego warta.

Na źle oświetlonej klatce schodowej stwierdziłam, że należy do tego rodzaju mężczyzn, którzy najpierw ciągną kobietę za włosy, a dopiero później całują. Jego dotyk był mechaniczny i przewidywalny. Przyglądałam się leżącemu na mnie ciału. Widziałam, jak całuje moje czoło, nos i wargi. Delikatnie, tylko odrobinę pożądliwie. Widziałam, jak rozpina sukienkę i jak mu w tym pomagam. Widziałam, jak dotyka wnętrza moich ud, odsuwa na bok majtki, jego rękę na moim kroczu, jak zakłada prezerwatywę i unosi moje biodra, poczułam, jak we mnie wchodzi i wzdrygnęłam się. Uznał to za oznakę rozkoszy, zaczął się szybciej poruszać. Odepchnęłam go.

Poszłam do łazienki i pierwszy raz od dawna przejrzałam się w lustrze. Byłam chudsza niż kiedykolwiek wcześniej. Nie miałam bioder, żebra odznaczały się wyraźnie, brzuch się zapadł. Zalało mnie obrzydzenie do samej siebie i do mężczyzny, z którym właśnie poszłam do łóżka. Wykorzystał mnie, a ja na to pozwoliłam. Czułam się pusta, pomyślałam, że osiągnęłam najniższy punkt w życiu. Rozejrzałam się po wykafelkowanej na niebiesko łazience i zobaczyłam nie tylko kabinę prysznicową wyłożoną naturalnym kamieniem, ale też płyn do demakijażu i szczotkę z długimi jasnymi włosami, to było jeszcze bardziej upokarzające.

Jadąc do domu, sama w pustym wagonie kolejki, obserwowałam krople deszczu rozbijające się o szyby.

IX

Cem przychodził najczęściej około dziesiątej rano. Gdy przekręcał klucz w zamku, byłam już w kuchni, czekałam na niego. Ten klucz musiała dla niego dorobić moja matka.

– Nie uwierzysz – powiedział, rzucając płaszcz na oparcie krzesła. Powiało od niego chłodem. Nie odezwałam się. Postawił na kuchence ekspres do kawy i podgrzał mleko.

– Mój ojciec był wczoraj w CDU.

Za oknem padały duże płatki śniegu. Przyglądałam się im, niegotowa, żeby uwierzyć w to, co słyszę.

– Gdzie był?

– W CDU.

Uznawszy, że wyczytał z mojej twarzy właściwą reakcję, Cem zaczął opowiadać. Chodziło o integrację. *Baba* przeczytał o tym w „Spieglu” i w „Bildzie” i się przestraszył. Islamistów, dodajmy. *Teyze*^[10] próbowała mu wyjaśnić, że on sam jako muzułmanin dla statystyk też jest islamistą, ale jej nie słuchał. Powiedział, że przecież nie jest muzułmaninem. Potem przeczytał artykuł o sekretarzu generalnym CDU i zapytał matkę, co o tym wszystkim sądzi. Kazała mu wynieść śmieci.

– Zrobił to?

– Co?

– Wyniósł śmieci?

– Wyszedł – Cem machnął ręką. – Na zebranie wyborcze CDU. Sala była pełna, sami biali. Gdzieś pośrodku wypatrzył jednego *Kanake*^[11], próbował nawiązać kontakt wzrokowy, tyle że tamtemu było głupio i się odwrócił. Sekretarz generalny najpierw chwalił obcokrajowców, twierdząc, że to dzięki nim Niemcy są mistrzem świata w eksporcie. Przez czerwono-zielonych fantastów i ich mrzonki o wielokulturowości kraj stracił dużo czasu, ale okres przedstawiania wszystkiego w różowych barwach minął. Kto uchyla się od obowiązków imigranta, nie może liczyć na tolerancję. Dlatego zdecydowanie występujemy przeciw kontestatorom integracji. Potrzebujemy silnego państwa, także w interesie tych imigrantów, którzy są praworządni. *Baba* poczuł, że te słowa skierowane są do niego, więc gorliwie pokiwał głową. A potem się zaczęło. Setki tysięcy zawziętych kontestatorów imigracji, którzy – mimo że jakaś ich część ma wyższe wykształcenie – świadomie izolują się od niemieckiego otoczenia. Wzajemnie napędzające się nienawiść do imigrantów i wrogość do Niemców. Tym, którzy martwią się o postępy w nauce własnych dzieci, bo w szkołach prawie nie ma niemieckich uczniów, podobnie jak w przedszkolach niemieckich przedszkolaków, którzy boją się brutalnych ataków w drodze do szkoły i w metrze, wcale nie pomogą ostrzeżenia przed fałszywymi uogólnieniami czy pokazywanie, że gdzie indziej integracja się udała. Dlatego musimy jasno powiedzieć, że poważnie traktujemy rosnące niezadowolenie z powodu wyraźnych niedociągnięć w sferze współistnienia Niemców i imigrantów.

Musimy sprawdzić, czy preforsowane przez nas sankcje są konsekwentnie stosowane, a może powinny zostać zaostrzone, na przykład gdy ktoś przerwie obowiązkowy kurs integracyjny. Dla wielu imigrantów z krajów muzułmańskich wiara i uwarunkowane przez nią zachowania społeczne i kulturowe odgrywają istotną rolę. Tu mogą się cieszyć taką samą wolnością wyznania jak my, chrześcijanie. Ale jednocześnie: gdy idzie o prawa podstawowe – równouprawnienie kobiet i mężczyzn czy wolność od przemocy w rodzinie – nie ma żadnych ulg religijnych ani kulturowych. A jeśli – jak pokazują badania naukowe – akurat religijni młodzi muzułmanie bywają częściej brutalni, to stowarzyszenia muzułmańskie w Niemczech muszą wyraźnie temu przeciwdziałać. Samo ostrzeganie przed islamofobią to za mało. Udana integracja wymaga jednoznaczności zamiast upiększania, konsekwencji zamiast wykluczania. Otwartość na świat, wzajemny szacunek, przestrzeganie prawa i porządku muszą iść w parze. Dobrą podstawą współistnienia ludzi o różnych korzeniach kulturowych i religijnych w naszym kraju jest silna samoświadomość w najlepszym tego słowa znaczeniu, a więc także świadoma zgoda na naszą tradycję chrześcijańską. *Baba* wrócił do domu zdruzgotany. Nie wiedział, że jest tak źle.

– A teraz?

– Nie wiem, siedzi przed komputerem. Szuka nieruchomości w Turcji. Od czterdziestu dwóch lat mieszka w Niemczech i dopiero teraz się dowiedział, że jest muzułmaninem.

Następnego dnia poszłam do biura Windmühlego. Sekretarka zdziwiła się na mój widok, zapytała, czy byłam umówiona.

Zatrzymałam się trochę niezdecydowana. Ściana za jej plecami była obwieszona fotografiami ukazującymi Windmühlego siedzącego albo stojącego obok ważnych osobistości. Przyglądałam się im przez moment z irytacją, a później po prostu wmaszerowałam do gabinetu i usiadłam w fotelu dla gości przy jego biurku. Jak zwykle miał na sobie perfekcyjnie odprasowaną białą koszulę, trzy górne guziki były odpięte. Natychmiast przestał wypełniać jakieś formularze, uśmiechnął się niepewnie.

– Dlaczego nie włączyłeś ogrzewania? – zapytałam.

– Już nie sypie.

– Jest zimno.

– Nie spodziewałem się, że zobaczę cię tak prędko.

– Potrzebuję pracy.

– W ONZ to chwilowo raczej niemożliwe.

Popatrzył na mnie rozbawiony. Nie było żadnego powodu, żeby to on miał mi załatwić pracę, ale chciałam go wypróbować. W gabinecie było zimno jak w mauzoleum Lenina. Wyposażenie neutralne i przewidywalne, miękki jasny dywan, biurko ze szklaną szybą, nad nim abstrakcyjny obraz. Wielkoformatowy.

– Chcę czegoś w Izraelu.

– Dlaczego akurat w Izraelu?

– A ty to kto? Claude Lanzmann?

Wyszczrzył zęby, a ja cicho zamknęłam za sobą drzwi.

Sami zaparkował w bramie wjazdowej. Wytłumaczyłam mu przez telefon, że ta podróż jest pilna, więc pożyczył samochód od ojca, duże, czarne auto firmowe, wyprodukowane tylko po to, żeby imponować innym.

Gdy zapinałam pas, popatrzył na mnie zatroskany. Jego oczy były szare albo brązowe, w zależności od światła i od kąta, pod jakim padało. Teraz były zaczerwienione ze zmęczenia. Odpalił silnik. Otworzyłam okno i włączyłam radio na cały regulator. Była pełnia.

Szybko znalazłam drogę wzdłuż wąskich rzędów, płyta nagrobna Eliszy była wysprzątana, leżały na niej świeże kwiaty. Z kieszeni dzinsowej kurtki wyjęłam szklaną kulkę i położyłam ją na grobie. Sami stał w pewnej odległości, nie spuszczał mnie z oka, przecież była noc. Potem jednak wrócił do samochodu. Przepraszam, powiedziałam do Eliszy, położyłam się na płycie, objęłam ją.

Miałam ze sobą zdjęcia, dwa, które zrobił mi on, i dwa zrobione przeze mnie przed lustrem po jego śmierci. Wygrzebałam dziurę obok grobu, włożyłam je. Papier szybko się palił, po dwóch minutach było po wszystkim. Zakopałam dziurę i wyrównałam ziemię.

Musiło upłynąć kilka godzin, Sami zaniósł mnie do auta. Objęłam go i natychmiast puściłam. Przez chwilę siedzieliśmy obok siebie w milczeniu, potem wyjął kluczyk ze stacyjki, odwrócił się do mnie, uniół moje ręce i położył je na swoich policzkach. Przypomniałam sobie jego zapach i uczucie towarzyszące pocałunkom. Nasze usta niemal się zetknęły, ale odepchnęłam go z całej siły. Jego głowa uderzyła o boczną szybę. Wskoczyłam i pobiegłam drogą, zatrzymałam się, wróciłam do samochodu. Siedział na masce. Urażony wyraz jego twarzy spłoszył mnie.

– Ja też tego nie rozumiem. Przepraszam – powiedział.

– Boli cię?

– Tak mi przykro.

– Nie mogę – odpowiedziałam.

– Wiem.

Wzięłam go za rękę, objęłam. Nasze usta znów się zbliżyły. Nic się nie stało.

Poszliśmy na spacer, wędrowaliśmy ulicami, na których Eliza bawił się jako dziecko, wzdłuż jednorodzinnych domów z opuszczonymi roletami, minęliśmy restaurację jego rodziców i pocztę, przemierzaliśmy szkolne boisko, zatrzymaliśmy się przy tablicy do koszykówki, pijana wiejska młodzież nie pokazała się, popatrzyliśmy na ciemną wodę rzeki, która płynęła przez wieś i której nazwy nie znaleźliśmy. Na stacji benzynowej kupiliśmy lody. Sprzedawczyni zapytała Samiego, skąd pochodzi. Z Frankfurtu, odpowiedział. Nie, skąd naprawdę jest. Zapytałam, co ma na myśli. Uśmiechnęła się

speszona. Rozerwaliśmy opakowania lodów. Moje miały polewę z ciemnej czekolady i migdałów, Sami wybrał rożek orzechowy.

– No powiedz – zachęciłam.

Sprzedawczyni łaknęła egzotyki.

– Z Madagaskaru – oznajmił. – Mieszkamy tam w domach na drzewach i żywimy się wyłącznie bananami.

– Pierwszy raz próbuje lodów – dodałam.

Uśmiechnął się, przynajmniej między nami wszystko wróciło do normy.

Wstawał dzień, niebo pojaśniało, uliczne oświetlenie pożółkło, a neon restauracji przy autostradzie zgasł. Parking wypełnił oddział żołnierzy. Ich mundury wyglądały jak za duże piżamy w barwach ochronnych, jedli burgery, całe menu z frytkami, skrzydełkami kurczaka i lodami, brzuchy zwisały im znad pasów, a ja pomyślałam, że to dużo mówi o stanie armii. Chociaż nosili niemieckie mundury, przypominali wielkie, leniwe zwierzęta. Nie mogłam sobie wyobrazić, że ci ludzie mają pozwolenie, żeby gdzieś zabijać, że mają umierać i że na dodatek robią to dobrowolnie. Zastanawiałam się, czy na serio wymagają dla siebie szacunku i czy na strzelnicach myślą o Afroamerykanach i wykrzykują *motherfucker*.

– Dostałem wizę – odezwał się Sami.

– Och – to była moja jedyna reakcja.

Przyjrzał mi się z zaciekawieniem.

– Po roku. Możesz to sobie wyobrazić? Czekałem cały rok.

– Straciłeś cały rok.

– Dobrze, że tu byłem. Ze względu na ciebie. – I po chwili dodał: – Ja tylko twierdzę, że nie jestem terrorystą. Nie było powodu, żebym przez rok spał na kanapie rodziców. Piszę pracę doktorską o niemieckim idealizmie, uczyłem na uniwersytecie, miałem przyjaciół i coś jakby dziewczynę.

– Och.

– Rzuciła mnie, kiedy się okazało, że przez dłuższy czas nie wrócę do domu.

– Przykro mi.

– Nie ma potrzeby.

– Masz wieści o Nedzie? – chciałam zadać to pytanie mimochodem, ale głos mi zadrżał.

– Nie. Skąd ci to przyszło do głowy? – zdziwił się.

– A więc wyjeżdżasz?

– Tak.

– Kiedy? – przełknęłam ślinę, starałam się, żeby mój głos brzmiał rzeczowo, a on znów zadrżał.

– W przyszłym miesiącu. A ty co będziesz robić?

– Mam umowę o pracę na czas określony w zagranicznym biurze niemieckiej fundacji w Tel Awiwie.

Hebrajskim nie muszę sobie zawracać głowy.

– Ale przecież mówisz po hebrajsku.

– Nie.

– Dlaczego nie? Jesteś Żydówką. Twoja rodzina mieszka w Izraelu.

– Dalecy krewni. Z wyjątkiem jednej kuzynki. Nigdy nie uczyłam się hebrajskiego.

– To pierwszy raz, kiedy przyznajesz, że czegoś nie umiesz – uśmiechnął się. – Jedźmy, jestem zmęczony.

Zacząłam pakować wszystko do pudeł, na niektórych pisałam moje imię, na większości nazwisko rodziców Eliszy. Od jego śmierci upłynęło ponad pół roku, a oni regularnie przysyłali mi pocztówki, na których odwrocie napominali, żebym oddała jego rzeczy. Na pocztówkach były krajobrazy Turynii. Przychodziły co tydzień w białych kopertach, żeby listonosz nie mógł ich przeczytać. Po jakimś czasie motywy zaczęły się powtarzać. Odwrotna strona zawsze była zapisana czarnym długopisem, wąskim pismem Horsta. Formułki grzecznościowe stawały się coraz oszczędniejsze, niektóre słowa były nieczytelne, bo najpewniej pisał pijany i w stanie wielkiego wzburzenia, skarżył się na niesprawiedliwość, która go spotkała. Nie rozumiałam, dlaczego wybiera akurat te krajobrazy. Przecież Turynia nie miała nic wspólnego z naszym subiektywnym poczuciem sprawiedliwości.

Nie mnie wydawać wyroki, ale Horst nie był dobrym ojcem. Przepijał restaurację żony, od czasu do czasu trenował wiejską drużynę piłkarską. Elisza, który nigdy nie wyróżniał się w sporcie, po każdym meczu dostawał lanie, syn trenera nie powinien wyrosnąć ani na niedołęgę, ani na homoseksualistę. Upłynęło dużo czasu, nim ten syn zrozumiał, że miłość nie wyraża się wyłącznie przez bicie.

Nie umiałam im wytłumaczyć, że potrzebuję jego rzeczy, że krążę po domu godzinami, dniami, wmawiając sobie, że on zaraz wejdzie.

A teraz pakowałam nasze mieszkanie, z którego właściwie nigdy nie chciałam się wyprowadzać. Długo go szukaliśmy. Mieszkania do wynajęcia oglądaliśmy najczęściej w towarzystwie trzydziestu innych par, ale zawsze były za drogie. A potem Elisza krytykował rozmieszczenie pokoi, kolory, podłogi, światło. Widząc już na klatce schodowej jego niezadowoloną twarz, uznawałam, że to moja wina.

Zacząłam od kuchni. Była największym i najjaśniejszym pomieszczeniem, wyposażonym niemal profesjonalnie: mieliśmy wszystkie rodzaje i rozmiary talerzy, misek, półmisek, szklanek, widelców, noży, łyżek, patelni, garnków, brytfanek i form do pieczenia, maszynkę do makaronu i garnek do gotowania ryżu, ale żadne dwa talerze do siebie nie pasowały. Naczynia i sztucce wprowadzały się do naszej kuchni jedno po drugim, najczęściej pochodziły z restauracji, w których Elisza pracował jako pomocnik kucharza, albo z innych lokali, a ponieważ trudno było schować do torebki dwa kieliszki naraz, nakrywaliśmy nasz stół niepasującą do siebie zastawą. Kradliśmy wszędzie, w kawiarniach, gospodach, restauracjach, budkach szybkiej obsługi, we Frankfurcie i w podróży. Wszystko w naszej kuchni miało swoją historię: duży półmisek z nagą kobietą pochodził z budki w Nowym Jorku, kryształowe kieliszki z hoteli, w których pracowaliśmy, małe foremki do ciastek z Paryża.

Oczywiście nie uznawaliśmy tego za kradzież, raczej za walkę z systemem. Jeśli wyzyskiwano nas w źle płatnych pracach dorywczych, a przełożeni traktowali nas jak niewolników, to mogliśmy przynajmniej liczyć na dwa noże do steków. Uważaliśmy, że system jest nam to winien. Jaki, to już nas

nie interesowało.

Elisza pedantycznie przestrzegał, żeby stół był prawidłowo nakryty. Nucił przy tym i zawsze zaczynał od dużych noży, musiały leżeć o szerokość kciuka od kantu blatu, pod kątem prostym do krzesła, później duże widelce, ewentualnie sztucce do ryb, małe noże, małe widelce, sztucce do deseru. W tym momencie przestawał nucić, marszczył czoło, jakby nie dowierzał swojej kompozycji. Jeśli nic nie można było jej zarzucić, polerował szkło, stawiał kieliszek do czerwonego wina przy szpicu noża do dania głównego, obok kieliszek do białego wina, szklanekę na wodę, formując coś na kształt grona. W połączeniu z pochodzeniem naszych naczyń owo *mise en place* sprawiało wrażenie anarchistycznego.

Widziałam go, jak stoi przy kuchni, siedzi przy stole, nalewa kawę do musli. Ciało tęskniło za nim, ręka intuicyjnie szukała jego ręki, a gdy się zapominałam, opierałam się o pustkę. Widziałam sylwetki przypominające jego sylwetkę. Czasem, leżąc w łóżku, czekałam na jego powrót. Spotyka się ze znajomymi, tylko zapomniał mi o tym powiedzieć. Czasem stałam na dworcu Hauptwache. Cała hala była pełna czekających, a ja spoglądałam nerwowo na zegarek, myśląc, że znowu się spóźnia, że nie powinien kazać tak długo na siebie czekać. W każdym wagonie kolejki szukałam jego twarzy. Przy kasach w supermarkecie. Wciąż jeszcze kupowałam jedzenie dla dwojga.

A teraz pakowałam wszystko w papier gazetowy i układałam w pudłach. Pojutrze Horst zamknie je w piwnicy swojego domu w Apoldzie. Otwarłam kuchenne okna na oścież, zioła rosnące w skrzynce zmarniały.

Zagubiłam się w garnkach, patelniach i kwiatkach, myślałam o naszym starym mieszkaniu w Baku. O tym, jak matka je wyprzedawała, naszych rzeczy ubywało, przechodziły do rąk nowych właścicieli. Kiedy sofa straciła na klatce schodowej nogę, matka przygotowywała kurczaka, włożyła go do piekarnika w błyszczącej oleiście warstwie majonezu. To musiało być w czasie, gdy w mieście znów pojawiły się produkty spożywcze. Wolno mi było wybrać, co wezmę do Niemiec. Przed domem dla azyłantów stanęliśmy z trzema walizkami, a potem szybko odkryliśmy, że przywiezione rzeczy nie będą nam potrzebne. Fotografowałam rzeczy Eliszy, nastawiłam jego kamerę i filmowałam się podczas pakowania. Pracowałam. Aparaty, obiektywy, statywy, światłomierze, chemikalia. Dziesiątki ramek, które kupował na pchlich targach i sam odnawiał. Monografie o sztuce, szkice, notatniki, rysunki.

Sypialnia. Wyjęłam z szafy jego porządnie poskładane swetry. Nie dotykałam ich od czasu, gdy je tam położył, tylko noszone przez niego podkoszulki rozkładałam nocą na jego połowie łóżka. Teraz wszystko chowałam do pudła. Każdą część garderoby zwijałam po wielokroć, póki nie ułożyła się perfekcyjnie. W kieszeni dżinsów znalazłam zmięte bilety. Nie pamiętałam, dokąd jeździł i po co. W kieszeni innych spodni paperek po gumie do żucia długotrwale odświeżającej oddech. Jego usta czasem smakowały tą gumą. Między zimowymi ubraniami odkryłam duże pudełko, którego nigdy jeszcze nie widziałam. Zaklejone, powleczone cienką warstwą kurzu. Nie wiedziałam, czy mam prawo je otworzyć.

Poza tym: bałam się, że znajdę jego notatki. Strach przed tym, co napisane. Przed jego myślami. Może odkryję, że mnie nie kochał. Albo niewystarczająco. Chciałam, żeby mnie kochał, odkąd pierwszy raz go zobaczyłam. Pragnęłam jego miłości, bo był kimś, kto kochał całym ciałem i całą duszą. A co, jeśli wymyśliłam tę miłość, jeśli był po prostu altruistą i chciał, żeby wszyscy wokół byli szczęśliwi. Co, jeśli mnie nie kochał, tylko chciał zadowolić.

Postanowiłam zaparzyć kawę i czekając, aż woda się zagotuje, poszłam z nożem do sypialni i przecięłam taśmę.

Pudło wypełniały stopy papieru połączone gumkami i spinaczami. Kopie zdjęć, artykuły, teksty naukowe, kilka kartek wyrwanych z książek, odręczne notatki. Imponujący, nieuporządkowany zbiór materiałów o Kaukazie, notatniki pełne nazwisk, dat, liczb, w niektórych nawet współrzędne geograficzne. Na brzegach małe rysunki, tu i ówdzie moje imię ze znakiem zapytania.

Usiadłam w kuchni, rozłożyłam zdjęcia na stole. Większość znałam ze szkoły podstawowej. Bydłące wagony pełne uciekinierów, wygłodzone dzieci, spalone wsie, odmrożone palce u nóg prowizorycznie obwiązane szmatami, namioty, rany, trupy. Demonstranci, podziurawione kulami autobusy, zmiażdżone auta. Czerwone goździki na grobach. Procesje z otwartymi trumnami. Alijew, pierwszy, drugi, trzeci. Styl azerski.

Schowałam wszystko z powrotem do pudełka, skręciłam jointa i postawiłam laptop na kuchennym stole. Nie doceniłam jego potrzeby zrozumienia mnie. Dużo się kłóciliśmy, często szło o jego zazdrość o Samiego, czegoś tam mi nie wybaczył. Zwykle jednak chodziło o mnie. Myślał, że mu nie ufam, ale ja byłam po prostu zdania, że dla nas nie ma to znaczenia. Nie chciałam, żeby do zrozumienia mnie potrzebne było ludobójstwo.

Przeczytałam kiedyś książkę o ludziach dotkniętych zaburzeniami traumatycznymi, siebie nigdy bym tak nie określiła, ale w tej książce napisano, że niszczymy ludzi, których kochamy. I Eliza od tego umarła.

Na YouTube włączyłam *mugam*^[12], azerski jazz, Azizę Mustafę Zadeh, Muslima Magomajewa. Śpiewałam. Po azersku, w języku mojego dzieciństwa. Dziecięce piosenki i kilka wyuczonych na pamięć wierszy to było wszystko, co mi z niego zostało.

Wyjęłam prace Elisy i zestawiałam je ze sobą. Opróżniłam biurko i szafę: zdjęcia Frankfurtu, Apoldy, sztucznych gór ze śmieci we wschodnich Niemczech, moje portrety. Na większości fotografii patrzyłam w obiektyw niechętnie. Albo moja twarz była zasłonięta włosami. Zewnętrznie prawie nie różniłam się od innych modelek, podobne kształty, pozy, postawa. Różnicę tworzyła jego miłość i fascynacja. Zobaczyłam, jak mnie widział. Negatywy przykleiłam do szyby w oknie, patrzyłam na nie do zachodu słońca. Nie wywołam ich.

XIII

Siedzieliśmy z Cemem na kanapie, paliliśmy. Mieszkanie było puste i ciche. Nie zostało wiele do powiedzenia, paliliśmy więc jednego papierosa za drugim. Pudła czekały w korytarzu. Horst się spóźniał. Byłam zupełnie spokojna, co jednak nie wynikało z mojej kondycji psychicznej, tylko z podwójnej dawki środków uspokajających, którą wzięłam rano.

Rozległ się dzwonek, Horst pojawił się w drzwiach. Zwalista postać, arogancka twarz, okrucieństwo wokół wykrzywionych ust. Dłonie zaciśnięte w pięści, w oczach bezkompromisowa nienawiść. Bałam się go. Ale to nie było nic nowego.

Milczał. Tylko nozdrza mu drgały. My też się nie odezwaliśmy. Gapił się.

– Pudła są tu – wymamrotałam, koncentrując się na filigranowym srebrnym dzbanku po babce, z którego nalałam herbaty.

Podałam mu filiżankę, ale jej nie przyjął. Odstawiłam ją więc na stół.

– Pomóc panu? – zapytał Cem, przesadnie uprzejmie, jak zawsze.

Horst pokręcił głową, podniósł dwa pudła naraz. Chwycił je niezgrabnie, niebezpiecznie się zachwiały. Szybko wyszedł. Echo ciężkich kroków przebrzmiało na klatce schodowej. Wyjrzałam przez okno, zobaczyłam, jak pakuje pudła do czerwonego transportera. Cem skręcił jeszcze jednego papierosa.

Gdy wrócił, na jego czole perliły się krople potu.

– Naprawdę nie potrzebuje pan pomocy? – powtórzył pytanie Cem.

– Wszystko jest w środku?

Cem wzruszył ramionami.

– Wydaje mi się, że mało tego.

– Nie no, człowieku. Czego się boisz? Myślisz, że postanowiła zachować na pamiątkę jakiś gówniany sweter?

– Mam was po dziurki w nosie! – wrzasnął Horst.

Ciało Cema stężało, na szyi wystąpiły czerwone plamy. Jeszcze chwila, a wybuchnie. Wzięłam go za rękę, nasze spojrzenia się spotkały.

– Nie, proszę nie – szepnęłam.

Horst stał nieruchomo w drzwiach. Z wykrzywioną z wściekłości twarzą. A potem się rozpłakał. Najpierw cicho, potem coraz głośniej, płacz przeszedł w zawodzenie. Zrobiłam krok w jego stronę, ale dalej nie mogłam, zatrzymałam się. To Cem go objął, próbując pocieszyć. Stałam obok, niezdolna do ruchu, niema.

Gdy wreszcie sobie poszedł, a w naszym mieszkaniu nie zostało nic, żadnych wspomnień, żadnych zapachów, rzuciłam się na łóżko w sypialni. Cem położył się obok. Głaskał mnie po twarzy. Po chwili

powiedział:

– Już wystarczy. Teraz wstaniesz i pójdziemy coś zjeść.

– Nie jestem głodna.

– Nie gadaj głupot. Kiedy jadłaś ostatni raz?

Nie wiedziałam.

Podniósł mnie, przyniósł nasze kurtki, założył mi czapkę. Pojechaliśmy do śródmieścia. Drzewa były nagie. Ogrzewanie w samochodzie zepsute, co rusz pytał, czy nie marznę i na co mam ochotę. Chciałam, żeby to on coś wybrał, nie myśleć, nie czuć, a już na pewno nie jeść, chciałam wymiotować, aż wycieknie ze mnie całe życie. Wyrzygać tę ostatnią resztkę. To mu powiedziałam. Zaczął krzyczeć, że nie może patrzeć, jak powoli zdycham, że już nie wie, co robić, że w końcu muszę zacząć żyć, powiedziałam, że nie mogę, a on, że to bzdura i że Horst jest dupkiem, powiedziałam, że nie mogę sobie przypomnieć twarzy Eliszy, zamiast niej widzę tylko krew, a on wrzasnął, że mam przestać, on też nie może sobie przypomnieć twarzy brata, ale to nie jest powód, a ja, że kłamie, a potem auto w coś uderzyło, a my poleciliśmy do przodu.

Z samochodu przed nami wygramolił się starszy mężczyzna w ciemnobrązowej pikowanej kurtce. My też wysiedliśmy.

– Bardzo przepraszam – odezwał się Cem. – To moja wina.

– No ja myślę! – mężczyzna wziął się pod boki. Miał wąskie usta, nad którymi rosły siwe wąsy ukrywające pożółkłe zęby. Kaszmirowy szal w kolorze kasztanów. Dlaczego w kolorze kasztanów, pomyślałam.

– A ty w ogóle umiesz jeździć? Masz prawo jazdy? – zapytał Cema.

– Przepraszamy – wtrąciłam się.

– Dlaczego mówi pan do mnie na ty? – Cem ciaśniej zaciągnął szalik.

– A co, mam jeszcze mówić na pan?

– Tak – głos Cema był spokojny, ale wiedziałam, że cierpliwości nie starczy mu na długo.

– No coś takiego – mężczyzna spurpurowiał. – Bezczelność. To jest bezczelność. Jak ty się w ogóle zachowujesz na niemieckich drogach? Jesteś tu gościem.

Cem się wyprostował, rozstawił szerzej nogi i także wsparł ręce na biodrach.

– Urodziłem się tutaj.

– Jesteś nikim. Jesteś *Kanake*.

Cem zrobił krok w jego stronę.

– Dzwonię po policję – powiedziałam i wybrałam 112.

– A niech pani dzwoni – zachęcił mnie mężczyzna. – Pani chłopak pewnie nawet nie ma zezwolenia na pobyt. Nielegalny. Korzysta z naszego systemu. Jak wszyscy.

– Z waszego faszystowskiego systemu, no jasne! – krzyknęłam.

– Jacy wszyscy? – zapytał Cem.

– Nie jestem żadnym faszystą. Tylko tu się robi coraz bardziej kolorowo.

– Ale rasistą.

– Rasizm nie ma z tym nic wspólnego. Można chyba powiedzieć, co się myśli.

XIV

Róże w ogrodzie moich rodziców kwitły. Cem telefonował, chodził tam i z powrotem po trawniku, gestykulując wolną ręką. Rodzice patrzyli na mnie z mieszaniną niemego wyrzutu i ulgi. Matka wahała się między: „najgorsze ma już za sobą” a „dwoje samotnych starych ludzi w obcym kraju”. Ojciec miał inne zmartwienia.

– Co to za praca? – zapytał.

– Będę tłumaczką w zagranicznym biurze niemieckiej fundacji.

Matka w zamyśleniu mieszała herbatę. Z domu dolatywał zapach jedzenia. Stawiałam na pstrąga nadziewanego tymiankiem. Cem gestykulował coraz zamasyściej.

– Nie masz za wysokich kwalifikacji? Przecież tak dobrze zdałaś egzamin – westchnęła matka. – Zawsze mówiłaś o pracy w ONZ. Co z tym?

– Jakie ONZ? Myślisz, że tak łatwo tam się dostać? – fuknął ojciec i poszedł do domu, żeby dolać sobie i matce herbaty. Wrócił, usadowił się obok niej na ogrodowej ławce. – Nie – potrząsnął głową, żeby wzmocnić dobitność swoich słów – musi powoli wypracować pozycję. Tak szybko to nie idzie. Najpierw trzeba pokazać, że jest się godnym zaufania. Wtedy może powołają ją do ONZ.

– Tato, do ONZ nie powołują.

– Oczywiście, że powołują.

– Nie.

– Tak. U nas zawsze powoływali.

– Tu można się ubiegać bezpośrednio.

– No to dlaczego się do cholery nie ubiegałaś?

Nastąpiła chwila nieprzyjemnego milczenia, a po niej rozległ się odgłos rytmicznego mieszania w szklankach.

– Kiedyś dałoby się coś zrobić – ojciec nie radził sobie z tym, że nie ma już żadnych kontaktów.

– Tato, sama też sobie całkiem nieźle poradziłam.

Rzucił matce zatroskane spojrzenie.

– Nie potrzebuję pomocy – spróbowałam znowu.

– A pieniędzy? – zapytała matka.

Pokręciłam głową.

– Co to za organizacja? – zaciekał się ojciec.

– Polityczna.

– Lewicowa?

– Tak.

- To dobrze. W takim razie twoje wychowanie przynajmniej nie poszło na marne.
- Musiałeś oczywiście dodać coś miłego – skrzywiła się matka. – Własne dziecko wygnałeś z domu.
- Nikogo nie wygnałem. Poza tym trudno powiedzieć, że to nasz dom, skoro większa część twojej pensji idzie na czynsz.

Matka nerwowo zagryzła dolną wargę w obawie, że ojciec się rozpędzi, ale jego twarz złagodniała. Siedzieliśmy w milczeniu, obserwując Cema, który krzyczał do telefonu:

– Stary, nie mam problemów z tożsamością narodową... Nie wyjeżdżaj mi tu z tym gównem. Tożsamość narodowa! Pójdę do sądu, złożyłem na niego doniesienie. Wsadź sobie tę swoją narodowość... Potrzebuję adwokata, a nie teorii kultury. Kurwa!

- Co on mówi? – zapytała matka, upijając łyk herbaty.
- Kłóci się z chłopakiem.
- A co z nim nie w porządku?
- Cem, uważaj na moje róże! – krzyknął ojciec po turecku.

W samolocie miałam miejsce obok matki z niemowlęciem, które spokojnie spało w kołysce przed naszymi kolanami. W rzędzie za nami siedziała kolejna czwórka jej dzieci. Czterogodzinny lot kobieta spędziła na napominaniu ich. Mówiła w liczbie mnogiej: *Les enfants, asseyez-vous! Soyez calme!* Stewardesy miały kłopot z przyporządkowaniem koszernych posiłków. Każdy był odznaczony na liście, tyle że lista się nie zgadzała. Dzieci jadły koszernie, ale nie posiłki z samolotu, tylko własne ciastka.

Przed odlotem próbowałam się dodzwonić do Samiego. Nie pożegnałam się z nim, a teraz nie odbierał. Gdy tylko zgasła sygnalizacja „zapiąć pasy”, Izraelczycy zaczęli chodzić, szukając znajomych.

Część trzecia

Czekałam na lotnisku Ben Guriona pod kolorowymi balonami unoszącymi się pod sufitem. Czytałam napisy na tablicy informacyjnej, jadłam kanapkę, obserwowałam rozglądających się bezradnie ludzi, żołnierzy, rosyjskie babcie, ortodoksów i duże rodziny arabskie. Przy wejściu do hali przylotów była przymocowana mezuzah, wielu podróżnych całowało ją, przytykając koniuszki palców najpierw do niej, a potem do ust. W większości twarzy można było wyczytać radość i wielkie oczekiwania. Raz po raz biegnęło ku sobie dwoje ludzi, obejmowali się, odsuwali, przyglądali twarzy drugiego, jakby usiłowali nadrobić stracony czas. Ortodoks w czarnym garniturze i kapeluszu z szerokim rondem padł obok mnie na kolana i ucałował ziemię, po młodą kobietę z małym chłopcem na ręku przyjechał starszy mężczyzna, dziecko krzyczało, kopało, gdy tych dwoje chciało się przytulić. Starsza kobieta przemawiała energicznie do wnuka, melodie języków splatały się w dźwiękowy dywan: rosyjski, hebrajski, angielski, włoski i arabski. Głęboki kobiecy głos co jakiś czas upominał z głośników, żeby nie zostawiać bagażu bez opieki, i dodawał: *It's prohibited to carry weapons in all the terminal halls*. Piętnaście minut temu mój komputer został zastrzelony, czekałam na formularze potwierdzające, które upoważnią mnie do złożenia wniosku o wypłatę odszkodowania przez państwo Izrael.

Zaczęło się podczas kontroli paszportowej. Zapytano mnie o nazwisko.

– Maria Kogan.

– Akurat Maria!

Wzruszyłam ramionami.

– To imię podobało się mojej matce. Masza.

– Jaka Masza?

– To zdrobnienie od mojego imienia.

Urzędnik odnotował coś w jednym ze swoich formularzy, gruntownie przestudiował moją wizę pracowniczą.

Dlaczego tu przyjechałam.

– Żeby odbyć żałobę.

Kolejna notatka.

– Jak długo zamierza pani zostać?

– Tak długo, jak to tylko możliwe.

– To naprawdę pani komputer? – niezadowolony przyjrzał się naklejkom z arabskimi znakami na klawiaturze.

– Tak.

– Interesuje się pani naszymi sąsiadami, co? Mogę poddać go małemu testowi? – wyszczerzył zęby

i odszedł.

Sprawa była poważna, bo postanowili przeszukać także moją walizkę. Zajął się tym dwójka młodych żołnierzy, nie mieli więcej niż dwadzieścia lat. Nosili przezroczyste gumowe rękawiczki, żartowali, żeby rozładować sytuację. Dziewczyna przegrzebywała moje rzeczy, z szacunku próbowała nie przyglądać im się za dokładnie, za co jej łysy przełożony raz po raz ją obsztorcowywał. Stał na szeroko rozstawionych nogach, przyglądał się zawartości walizki i wydawał polecenia. Rozkładali każdą część garderoby, każdy szal, każdą parę majtek, odkręcili wszystkie pojemniki, nawet elektryczną szczoteczkę do zębów sprawdzili przyrządem do wykrywania materiałów wybuchowych. Prawie nie miałam ubrań, za to dużo słowników, co budziło nieufność.

Podczas przeszukiwania znów zaczęli mnie odpytywać. Czy zna pani kogoś w Izraelu? U kogo będzie pani mieszkać? Dla kogo pracować? Na czym polega pani praca? Żołnierz patrzył mi w oczy. Dlaczego przyjechałam do Izraela i dlaczego nie wcześniej, dlaczego nie na zawsze? Żołnierka miała długie, pomalowane na czerwono paznokcie, przeglądała moje arabskie słowniki, jej ton także stawał się coraz agresywniejszy. Dlaczego jeździłam do krajów arabskich i co wiem o konflikcie na Bliskim Wschodzie?

– Mówi pani po arabsku?

– Tak.

– Dlaczego?

– Studiowałam.

– A po hebrajsku?

– Nie.

– Ma pani chłopaka?

– Tak. Nie. To znaczy nie.

– Jest Arabem, Egipcjaninem, Palestyńczykiem?

– Nie.

– To kim jest?

– Nie żyje.

Popatrzyli na siebie z konsternacją.

– Kiedy umarł? – zapytała kobieta nieśmiało.

– Niedawno.

– Przykro mi – odpowiedziała, lekko się uśmiechając.

– Na co umarł? – zapytał żołnierz.

– Na zator płuc.

– Był Arabem, Egipcjaninem albo Palestyńczykiem?

Jeszcze się zastanawiałam, czy rzeczywiście zadano mi to pytanie, gdy usłyszeliśmy zapowiedź: *Do not be alarmed by gunshots because the Israeli security needs to blow up suspicious passenger luggage.*

Rozległy się strzały. Walkie-talkie łysiego włączyło się, powiedział coś szybko, zaferowany. Zamknęli walizkę. Przeprosili za rewizję, powiedzieli, że była konieczna ze względów bezpieczeństwa, i życzyli miłego pobytu w Ziemi Świętej. Chłopak usiłował mnie przekonać do wyjazdu do Ejlatu, pochodzi stamtąd, zna każdy kamień. Kobieta przerwała mu i zaczęła opowiadać o wodospadach wokół Jerozolimy. Zapisała połączenia autobusowe z dworca głównego. Wtem podbiegł do nas zatroskany

oficer.

Przedstawił się, podał mi rękę i nad wyraz uprzejmie przeprosił za to, że właśnie wysadzili w powietrze mój komputer. Potem zaprowadził mnie do innego pomieszczenia, gdzie na stole wystawiono zwłoki. Właściwie nie wysadzili go w powietrze, biała obudowa została trzykrotnie przestrzelona. Oficer żuł gumę.

– Dlaczego zastrzeliliście mój komputer? – zapytałam z niedowierzaniem.

– Myśleliśmy, że to bomba. To normalna procedura w przypadku podejrzenia o atak terrorystyczny – mówił powoli jak do dziecka, któremu trzeba tłumaczyć oczywistości.

– Jak mam teraz pracować?

– Państwo Izrael dostarczy pani nowy komputer.

– Kiedy?

– Wkrótce.

Moja kuzynka przyjechała jakieś czterdzieści minut później, rzuciła mi się na szyję. Była piękna. Telefon wyrwał ją z łóżka jej nowego reżysera, jak od razu mi doniosła. Hannah była siostrzenicą mojej matki. Tyle że nasza rodzina miała liczne odgałęzienia i niejasne stopnie pokrewieństwa, matka zaś nie była mistrzynią w zapamiętywaniu imion i twarzy. Więc wszyscy, którzy jeszcze nie zarabiali, byli siostrzenicami albo bratankami, emeryci wujami i ciotkami, reszta składała się z kuzynów. Żeby lepiej ich odróżnić, matka potajemnie nadawała krewnym numery. Hannah była siostrzenicą numer 5, a jej matka kuzynką numer 13, ale co do tego moja matka była niezdecydowana.

Znałam krewnych przede wszystkim z przysyłanych nam regularnie zdjęć. Szczególnie smutne były fotografie z uroczystości rodzinnych – na twarzach ciotek kruszał jeszcze uśmiech, ale ich mężowie nie zadawali sobie nawet trudu, patrzyli w obiektyw przybici. Na stołach przed nimi widać było zastawę przywiezioną z ZSRR. Hannah zaś zawsze była wyjątkowo piękną dziewczyną na spektakularnym tle: Morze Martwe, Jerozolima, Jezioro Galilejskie, pustynia.

Nigdy tak naprawdę jej nie poznałam. Ostatni raz widziałyśmy się kilka lat temu, gdy jej rodzice odwiedzili nas w Niemczech. To były krótkie, niezbyt emocjonujące wakacje. Ja miałam dwanaście lat, ona szesnaście i cały czas nosiła na uszach słuchawki. Jej rodzice wynajęli samochód, jeździli po reńskich zamkach i zapomnianych synagogach. Matka postanowiła pokazać im, że w Niemczech też można żyć, będąc Żydem.

Po śmierci Eliszy Hannah zaczęła do mnie regularnie dzwonić. Wieczorem, między dziesiątą a jedenastą, po wyjściu matki. Pilnowałyśmy się, żeby nie wchodzić zanedo w sfery prywatne, nie stawiać nieprzyjemnych pytań, nie oczekiwać szczerych odpowiedzi. Nie rozmawiałyśmy o śmierci Eliszy ani o jej córce. Opowiadała o Izraelu, o krajobrazach, plażach, pieszych szlakach na północy, które chciała ze mną wypróbować, i o klubach w Tel Awiwie, które mi pokaże. Mówiła o zupełnie normalnych rzeczach, o których ja przestałam myśleć. Wkrótce poznałam jej codzienność, imiona i historie kolegów i jednostki, gdzie służyła.

– Zrób aliję – powiedziała.

– Za żadne skarby. Przecież nie oddam niemieckiego obywatelstwa.

– Okej, to przynajmniej przyjedź na trochę. Spodoba ci się.

Kilka miesięcy później na parkingu lotniska Ben Guriona w twarz uderzyło mnie ciepłe i wilgotne

powietrze, poczułam się jak w tropikach. Nagle zaczęłam się cieszyć, że tu jestem. Cieszyłam się na pracę i z tego, że moje życie być może tak całkiem się nie skończyło.

Hannah nie zdejmowała nogi z gazu. Za nami migały czerwone i żółte światła lotniska.

– Nie tak sobie ciebie wyobrażałam – oznajmiła, zapalając papierosa. – W ogóle nie jesteś do mnie podobna. Myślałam, że będziesz. Nie, nie myślałam, miałam nadzieję. Miałam nadzieję, że będziesz do mnie podobna.

– Jesteśmy tylko kuzynkami.

– Ale ty w ogóle tak nie wyglądasz.

– Jak?

– Jak Żydówka.

– Tak myślisz?

Skinęła głową i odwróciła wzrok na drogę.

– Ani trochę?

– Nie.

Przyjrzałam się sobie ukradkiem we wstecznym lusterku.

– Naprawdę?

– Przykro mi.

– W porządku.

– Dotknęłam cię?

– Nie – roześmiałam się, głośno i histerycznie.

Zatrzymywaliśmy się raz po raz, żeby zrobić sobie zdjęcie. Hannah stale kogoś o to prosiła, a mimo to zaledwie w godzinę obeszlęliśmy całe Stare Miasto Jerozolimy. Po spacerze przez dzielnicę armeńską, chrześcijańską, żydowską i arabską ustawiliśmy się w kolejce do kontroli bezpieczeństwa. Plac przed Ścianą Płaczu podzielono na dwie części, dla kobiet i dla mężczyzn. Oczywiście część dla kobiet była o wiele mniejsza. Upał obezwładniał, kończył się szabat, pod murem było prawie pusto.

Zmęczona kobieta o zapadniętych, pomarszczonych policzkach bez słowa wręczyła nam poliestrowe chusty, żebyśmy zakryły kolana i ramiona. Hannah wzięła książkę do modlitwy z szafy stojącej przy wejściu i zdecydowanym krokiem podeszła pod samą ścianę. Ja się zawahałam, usiadłam na jednym z białych plastikowych krzeseł ustawionych bez wyraźnego porządku. Po mojej lewej stronie modliły się ortodoksyjne dziewczyny, schludne, w najlepszych ubraniach szabatowych. Na prawo kołysała się rozmodlona kobieta w długiej szarej sukience i peruce. Jej mały syn skakał radośnie wśród krzeseł, łapał matkę za pupę, paplał. Kipa co jakiś czas spadała mu z głowy, ale natychmiast ją podnosił i zakładał, bez upominania. Całkiem z tyłu stała zakonnica, nieruchoma, jak wykuta w kamieniu, z odległości beznamyślnie przypatrywała się otoczeniu. Miała męskie rysy i spaloną słońcem skórę. Tylko oczy błyszczały, skupione całkowicie na jej zakonnym wnętrzu.

Tu, w najświętszym miejscu Żydów, zawinięta w różowy i niebieski poliester, mogłabym porozmawiać z Bogiem. Poskarżyć się. Długo myślałam o tym, co napisać na kartce, ale nic nie przyszło mi do głowy. Chciałam dostać z powrotem Eliasa, nic więcej. Więc napisałam „Elisza” na skrawku papieru, złożyłam go, podeszłam do muru, dotknęłam go prawą ręką i odmówiłam kadisz. Wszystkie szpary wypełniały modlitwy i prośby w najróżniejszych językach, po hiszpańsku, rosyjsku, hebrajsku, niektóre były zafoliowane. Gdy wciskałam moją karteczkę, kilka innych wypadło, wylądowały u moich stóp. Schyliłam się, zaczęłam je zbierać, nie mogłam się powstrzymać, żeby nie spojrzeć na to, co było napisane. Wszystkie zwracały się do Boga: Dobry Boże, Jahwe, El, Adonai. Zaczęłam się zastanawiać, czy brak tego zwrotu degraduje moją. Ale nie wpadłam na taki pomysł, zresztą nie wiedziałabym nawet, co napisać.

– Nic się nie stało – szepnęła Hannah, wskazując na karteczki. – Rabinat pochowa je na Górze Oliwnej.

Siedziałyśmy w kawiarni. Hannah zamówiła dla nas obu, zaczęła rozmawiać przez telefon, mówiła po hebrajsku szybko, jej głos był lekko chropawy, wibrował. Przeprowadziła się z powrotem do rodziców, ale nie chciała powiedzieć dlaczego.

Obdzwaniałam kolejne numery lotniska, wyglądało na to, że nie istnieje wydział rozstrzelanego bagażu. Lądowałam na przemian w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, informacji turystycznej albo

Jewish Agency. Nikt nie chciał mi kupić nowego komputera. Hannah starała się mnie pocieszyć, tłumacząc trudną sytuację polityczną, wyliczając zamachy. Bała się, że potraktuję atak Izraela osobiście, zaczęła rysować na moim planie miasta małe kółka, w miejscu każdego zamachu jedno, ułożyła się z nich kompletna encyklopedia terroru.

– Jak kawa? – zapytała nagle.

– Dobra.

– Naprawdę?

– Tak.

– Moim zdaniem jest okropna. Nie mogę się przyzwyczaić do kawy w tym kraju.

– Na pewno mają też importowaną.

– To nie takie proste. Co by się z nami stało, gdyby każdy kupował wyłącznie towary z importu?

Gospodarka by się załamała. A żadnego innego państwa dla nas na horyzoncie nie widać. Arabowie i tak płodzą więcej dzieci, ortodoksi nie robią nic innego poza dziećmi. Niedługo znikniemy. Zostaną tylko ortodoksi. Nie, muszę pić tę kawę, nie mam wyjścia. – Roześmiała się w głos. – Znów dałaś się nabrać? Powinnaś była zobaczyć swoją minę. Mój mąż też tak na mnie patrzył, z obrzydzeniem, już od rana. Nie wiem, co mu bardziej przeszkadzało, mój charakter czy moje ciało.

– Rozwiodłaś się?

– Jeszcze nie.

– A co z twoją córką?

– Ma niebieskie oczy i ciemne loki. Urocze dziecko. Wszyscy nam go zazdroszczą. Naszego szczęścia.

Po rozstaniu ustaliliśmy, że będzie przychodził codziennie, żeby ją zobaczyć, na początku razem kładliśmy ją do łóżka, czasem zjawiał się wcześniej, oglądał z nią kreskówki, niekiedy zostawał dłużej, pił ze mną kieliszek wina. Uważa, że winna jestem ja – twarz Hannah była nieprzenikniona. – Pachniał inną kobietą. Potem zniknął, do naszej skrzynki na listy zaczęły wpadać pocztówki, mgliste krajobrazy, obrazy abstrakcyjne. Odkryłam, że chowa się pięćdziesiąt kilometrów na północ od nas, w kibucu, same pomarańcze, żadnej sztuki abstrakcyjnej jak okiem sięgnąć. Pojechałam tam z córką. Jadł pomarańczę, uśmiechnął się. Powiedziałam, że muszę do toalety, wziął ją na rękę, odjechałam.

Minęliśmy mały checkpoint otoczony kwiatowymi rabatkami. Ma'ale Adumim leżało pośrodku pustyni, na wzgórzu, z którego można, i z pewnością także trzeba było, zobaczyć Jordanię.

Młoda żołnierka pomachała nam bronią, ziewając, a my znalazłyśmy się na idealnie utrzymanym przedmieściu: rabatki, przedszkola, synagogi, centrum handlowe i czyste białe domy z czerwoną dachówką i białymi zbiornikami na wodę. Na przystankach dorastający chłopcy siedzieli z szeroko rozstawionymi nogami, drapali się po jajach.

Arabskie wioski, które mijałyśmy w drodze z Jerozolimy do Ma'ale Adumim, miały płaskie dachy i czarne zbiorniki na wodę. W mojej kuchni Sami i Cem załamywali ręce, gdy w radiu mówiono o polityce osadniczej Izraela. Eliza się nie włączał, kręcił jointy albo gotował. Wykonywał szybkie, precyzyjne ruchy, żeby nam uświadomić, że nie opłaca się rozpoczynać kłótni, kolacja albo obiad zaraz będą gotowe.

Ma'ale Adumim to jedno z największych osiedli na Zachodnim Brzegu. Ale moi krewni nie byli osadnikami marzącymi o Izraelu w biblijnych granicach. Kiedy przyjechali tu w 1990 roku wraz z dużą falą imigrantów, prawie nie było miejsca do mieszkania. Żeby coś kupić, wzięli kredyt na dwadzieścia

pięć lat. Nie rozumieli wówczas, co to właściwie jest osiedle, mówili tylko po rosyjsku. Pojęli to po kilku latach, ale było już za późno. Przeżyli tu drugą wojnę w Zatoce, ich dzieci służyły w armii.

Zaparkowałyśmy przed domem, Hannah wstuknęła kod do drzwi: 1, 2, 3, 4, weszłyśmy. Klatka schodowa była jasna, pachniała zwierzętami.

Ciotka numer 13 młodość spędziła w ZSRR, teraz miała podpuchnięte oczy, żylaki i rozplywający się makijaż. Obserwowała ptaki, fotografowała rzadkie gatunki, udzielała się na forach internetowych. Jej mąż, a mój wuj był jeszcze przystojny, drobny, o przypocholebiającym się uśmiechu. Od razu zostałyśmy wysłane do łazienki, żeby umyć ręce, a potem usadzone przy stole nakrytym kryształowymi kieliszkami i porcelanowymi talerzami z sowieckich fabryk.

– Podoba ci się Izrael? – zapytała ciotka.

Potaknęłam.

– Tak mówią wszyscy, którzy nie muszą tu mieszkać – oznajmił wuj.

Podobnie jak mój ojciec pielęgnował resentymenty wobec Żydów.

– Nie kochasz swojej rodziny.

Ciotka przygwoździła go zimnym wzrokiem.

– Co to ma znaczyć, że nie kocham swojej rodziny?

– Gdybyś nas kochał, to byś tak nie mówił.

– Tutaj wszyscy uważają, że cały świat ich nienawidzi. To jedyne, co do czego są zgodni. Świat nienawidzi Żydów – bronił się.

– A ty? Siorbiesz tu tę swoją zupę i jesteś święty? Jak myślisz, co by się stało, gdyby koledzy z twojej gazety dowiedzieli się, że mieszkasz w osiedlu? Wszystko zatruwasz tą swoją lewacką ideologią. A rodziny po prostu nie kochasz.

– Ciebie kocham – uśmiechnął się szeroko.

– W Berlinie reklamują teraz muzeum żydowskie na opakowaniach od mleka – wtrąciłam, bo nic innego nie przyszło mi do głowy.

– Udało nam się dostać na mleko, wejdziemy do finału – zauważyła chłodno Hannah.

Ciotka zachichotała, a potem odwróciła się do niej i zapytała ostro:

– Kiedy ostatni raz widziałaś swoją córkę?

– Moja matka myśli, że trzeba brać, co się nawinie, i trzymać się tego przez całe życie. Sama nie jestem nic warta, muszę mieć męża i dbać o dziecko. Jak widzisz, sowieckie myślenie nigdy nie znika. Brakuje jej mojego męża bardziej niż mnie – wywróciła oczami i wyszła.

– Dokąd idziesz? – zawołała za nią ciotka.

– Do łazienki – odpowiedziała Hannah, zostawiając mnie samą ze swoimi rodzicami.

– Jest za bardzo temperamentna. Żaden mężczyzna tego nie wytrzyma.

Posiłek ciągnął się w nieskończoność, ciotka przygotowała wszystkie potrawy, których się nauczyła. Nakładała każdemu na talerz wielkie porcje i nie czekała z dokładką, aż zostaną zjedzone. Hannah nie wróciła. Wuj dopingował żonę:

– Jest za bardzo nieśmiała, żeby sobie dołożyć.

– Nie, dba o figurę – odpowiedziała ciotka numer 13, ładując na mój talerz kolejne udko kurczaka.

Zastanawiałam się, czy ta potrzeba zaduszania kolejnych pokoleń jedzeniem jest bardziej powiązana z mentalnością kaukaską czy też z holokaustowym spadkiem po babce. Kiedy moja babka przyjechała ze

swoim młodszym bratem do Baku, byli zagłodzeni, ocaleli jako jedyni z rodziny. Do końca życia bała się, że nie mamy wystarczająco dużo jedzenia, a każdy posiłek w jej domu był świętem. Myślę, że to ona wniosła do naszej rodziny hedonizm, próbowała nauczyć córki żyć tak, jakby każdy dzień był ostatni. Niczego nie odkładano na jutro, żadnych zakupów, żadnego świętowania, żadnych czułości. Babka wybierała Rabina, bo był podobny do dziadka, umarła dwa miesiące po zamordowaniu premiera.

Lecąc raz do USA, siedziałam obok kobiety, która brała każdy posiłek oferowany przez linie lotnicze, dbając o to, żeby jej dorosły syn i nie mniej dorosły wnuk wszystko zjedli. Na przedramieniu miała wytatuowany numer. Wnuk przez całą podróż patrzył na mnie przeprasząco.

Z drugiej strony jedzenie było micwą.

Ciotka zapytała, jak się miewa matka, a kiedy zaczęłam odpowiadać, zapytała, jak mi się podoba ich dom, a potem od razu:

– A ojciec znalazł już pracę?

Zaprzeczyłam.

– To co robi przez cały dzień?

Postanowiłam zachować uprzejme milczenie.

Na szczęście Hannah wróciła i szepnęła do mnie:

– Czasem chciałabym się położyć i umrzeć.

A potem głośno:

– Wychodzimy.

Ostatnie zdanie zabrzmiało jak komenda.

Było już późne popołudnie, ale słońce wciąż jeszcze paliło niemiłosiernie. Z okazji imprezy zamknięto ulicę, głośną muzykę, szybką, rytmiczną, słychać było w całej okolicy. Hannah i ja ustawiliśmy się w kolejce do kontroli torebek. Same kontrole szybko stały się dla mnie oczywistością, irytujący był tylko wiek przeprowadzających je żołnierzy, w większości dopiero co zdali maturę, a już nosili mundury i broń automatyczną.

Większość gości była uszmkowana, mieli wyglądać jak elfy czy wróżki, także nosili broń. Pistolety na wodę, niektórzy uzi. Przysadzisty mężczyzna o ciemnych, błyszczących oczach i pomalowanej na czerwono-żółto twarzy mierzył do mnie z pistoletu. Krzyknęłam *lo*, co po hebrajsku podobno znaczy „nie”, i zamachałam rękami. Ale to bynajmniej nie podziałało na niego odstraszająco, uśmiechnął się jeszcze szerzej, strzelił, a ja nie uchyliłam się przed strumieniem wody. Hannah roześmiała się głośno, zawołała coś do niego, poklepała mnie po plecach i wtopiła się w tłum. Napastnik podszedł, wciąż roześmiany, i odezwał się, mówił jeszcze szybciej niż ona.

– *Ani lo metaberit iwrit* – powiedziałam, że nie mówię po hebrajsku.

– *Not at all?* – zapytał rozczarowany.

Potrząsnęłam głową, a on dodał:

– Szkoda, właśnie powiedziałem, że wiszę ci piwo.

– Wisisz mi przeprosiny.

– Nie jesteś stąd, co? – wyciągnął do mnie rękę. – Jestem Sam.

– No i co z tego – odparłam i odeszłam.

Przy barze siedział mężczyzna, palił. Wpatrywał się we mnie ze skupieniem, miał jasne oczy. Usiadłam obok, zamówiłam szklanek wody. Barman przyjął zamówienie, unosząc brwi. Hannah dawno już zniknęła z jakimś brodaczem.

– Ten pies to kurwa. Bamba. Tak się nazywa. To znaczy ten pies tak się nazywa – oznajmił Ori, wskazując wzrokiem wielkiego bernardyna rozciągniętego obok niego na ziemi.

– Tak jak koszerne chrupki arachidowe?

– Właśnie. Tyle że nie tknęłaby fast foodu. Żywi się wyłącznie stekami, tu też zawsze żebrze, a kucharz za każdym razem ją rozpieszcza. Przestała jeść w domu.

– Twoja?

– Sąsiada. Mnie wolno jedynie wyprowadzać ją na kolację.

Ori zamówił jeszcze jedno piwo, zamilkł.

– Często tu bywasz? – zapytałam po chwili.

– To mój drugi dom – wyszczerzył zęby. – Idę się odlać.

Pogłaskałam rude futro Bamby, a ona wstała i zniknęła między nogami gości, skomląc o jedzenie. Obok mnie usiadł mój napastnik. Skinął głową i położył pistolet na barze.

– Skąd jesteś? – zapytał.

– Nie chcesz wiedzieć, jak mam na imię?

– Ja jestem Sam, ale ja już się przedstawiłem.

– Masza.

– Niemka?

Przeszliśmy na niemiecki. Sam, który właściwie miał na imię Samuel, urodził się w Berlinie i kilka lat temu zrobił aliję. Mówił przez kolejne piętnaście minut. Zarzucił mi, że mieszkam w Niemczech. On za bardzo bałby się ożenić się z nie-Żydówką. Zapytał, czy jestem Rosjanką, i zamówił dla mnie wódkę, a dla siebie szklankę zimnego mleka. Siedziałam. On monologował. Wypiłam wódkę jednym haustem i chciałam spadać, ale nad górną wargą Sama zostały wąsy z mleka. Więc nie odeszłam. Nadal monologował. Mam taką ciemną karnację, z pewnością nie jestem aszkenazi. Ludzie z Kaukazu to tutaj prawdziwa mafia, wyrzynają się nawzajem. Tu tylko Rosjanki zadają się z Arabami. Sam nie wpuściłby do domu żadnego Araba, wszędzie leży broń, naprawdę dużo. Jego współlokator jest w jednostce specjalnej, ale nie takiej, co stoi na jakimś checkpoincie i ziewa z nudów.

– Nie patrz tak na mnie, nie mam nic przeciwko Arabom.

– Byłam kiedyś z jednym.

– Bądź co bądź nie jesteś Arabką. Mam arabskich znajomych, znajomego, nie, masz rację, mam tylko jedną arabską płytę, ale ją lubię. Naprawdę ją lubię. Myślisz, że nienawidzę Arabów?

Sam pracował online dla dużej firmy, także w soboty. Ale są rzeczy, których by nie zrobił. Wieprzowina na przykład. Według niego Rosjanie nie są prawdziwymi Żydami. Gdy to powiedział, poczułam na plecach czyjaś dłoń.

Ori zapytał szeptem, czy rozmówca mnie denerwuje. Powtórzyłam mu to, co Sam mówił o rosyjskich Żydach. Odwrócił się do niego, zamienili kilka zdań po hebrajsku, po czym Sam opuścił bar.

Ori przysunął się do mnie na barowym stołku.

– Wszyscy tutaj to przyjaciele. To piękna i rzadka chwila. Że w jednym barze są wyłącznie przyjaciele. Rozumiesz? Więc i ty musisz być przyjaciółką.

Mówił czystym, płynnym angielskim, nie byłam pewna, czy to jego język ojczysty. Melodia zdania była naturalna, ale nie mogłam zlokalizować jego akcentu. Nie brzmiał ani australijsko, ani amerykańsko, ani brytyjsko. W pewnym momencie zrobił błąd i szybko się poprawił. Jako dziecko spędził kilka lat w Londynie, ale popsuł sobie brytyjski akcent amerykańską telewizją.

– Co tu robisz?

Ostrożnie położył mi rękę na ramieniu. Zdjęłam ją.

– Pracuję.

– Naprawdę? Nie wiedziałem, że nasza sytuacja ekonomiczna jest taka dobra.

Wzruszyłam ramionami.

– Mam kolegę w Berlinie, stale mówi, żebyśmy przyjechał, ale nie wiem po co. Z drugiej strony Izraela niedługo nie będzie.

– Co?

– No pewnie. Za dwadzieścia lat, jak tak dalej pójdzie, będziemy tu mieli państwo religijne. Przecież

słyszałaś tego typu. Zniosą demokrację, w szkole będą uczyć wyłącznie Tory, kobiety nie będą miały wstępu na plażę, a w szabat nikt nie będzie się mógł oddalać od domu na więcej niż sto metrów i, no tak, wprowadzą powszechny obowiązek noszenia kipy.

Przyglądałam się arogancko wygiętej linii jego ust, nie pasowała do zgaszonych oczu. Żartował, ale przemawiał przez niego smutek.

Siedzieliśmy w milczeniu. Ori usiłował zajrzeć mi w oczy, ja piłam piwo.

– Zatańczysz? – usłyszałam nagle, jak pytam Eliszę.

– Serio?

Skinęłam głową i wstałam. Elisza poszedł za mną. Zamiast klimatyzacji używano urządzeń nawadniających – delikatny wodny pył pokrywał cały parkiet, który znajdował się z tyłu baru. Nasze ubrania natychmiast zwilgotniały. Poczulałam jego oddech, moja twarz tuż przy jego twarzy, pocałowałam go, rozchylił usta.

Ori zadzwonił kilka godzin później. Zaczęłam się już rozglądać po sypialni, szukać, zastanawiając się, czego mógł tu po południu zapomnieć. Na podłodze nie leżało nic poza moim biustonoszem, który chciałam szybko sprzątnąć. Na pruderię było jednak za późno, rzuciłam go więc z powrotem. Podnosiłam go znowu, gdy powiedział, że chce mnie zobaczyć. Byłam tak zaskoczona, że się zgodziłam. Rozłączył się, a ja owinęłam się w cienką kołdrę, wyszłam na taras na dachu i przez kilka godzin wpatrywałam się w falujące spokojnie morze.

Mieszkałam na poddaszu starego domu w stylu Bauhausu. Mieszkanie załatwiło mi moje biuro, umowę podpisałam, nie widząc go wcześniej. To było rozbudowane poddasze, prawie niezaizolowane i o słabych łączach elektronicznych, ale miało dwa małe pokoje i płaski dach, gdzie zrobiono coś na kształt tarasu. Okna sypialni przez większość czasu były otwarte, wychodziły na dwugwiazdkowy hotel. Okna hotelowe też były stale otwarte, co rusz nowi ludzie, wszyscy robili to samo: plaża, prysznic, seks. Pary nie kąpały się razem, jedno zawsze czekało, aż to drugie skończy, zwykle opierając się o balustradę wynajętego balkonu i zaglądając do mojej sypialni. Urlopowicze nie mieli wstydu, gapili się, chcieli zaspokoić ciekawość. Podróżujący samotnie mężczyźni mieli skłonność do fotografowania samotnie mieszkających kobiet w ich sypialniach. Przy balustradzie na tarasie postawiłam barowy stółek, żeby widzieć morze. Samoloty latały tak nisko, że mogłabym rzucać w nie piłkami tenisowymi, najczęściej jednak celowałam nimi w gości hotelowych.

Siedziałam na tarasie albo na łóżku, paliłam haszysz i nie wiedziałam, jak długo zostanę. Może na zawsze, może na kilka miesięcy. Płaskie dachy były w Tel Awiwie wiele warte, a hotelowy neon stanowił ostatecznie jakiś punkt odniesienia.

IV

Moja praca była przyjemna, zatrudniała mnie niemiecka fundacja, która miała być na bieżąco z sytuacją w Izraelu i wspierała kilka pokojowych NGO. W zhebraizowanym angielskim nazwa naszej misji brzmiała Arab-Hugging. Organizacja, podobnie jak dziesiątki innych, perfekcyjnie zintegrowała się z konfliktem, gdyby się skończył, wszyscy z dnia na dzień stalibyśmy się bezrobotni, nie moglibyśmy przechwalać się przed potencjalnymi partnerami seksualnymi w barach Nowego Jorku, Londynu, Paryża czy Berlina, że mieszkamy na obszarze działań wojennych.

Zespół był odpowiednio mały i nikt się nie przepracowywał. Nasza biurowa codzienność dzieliła się na następujące interwały: czytanie gazet, odpowiadanie na maile, picie kawy, maile, przerwa obiadowa, kawa, maile, gazety online, zabijanie czasu pozostałego do końca dnia. Jeśli jednak pracowałam, tłumaczyłam korespondencję i umowy, w których chodziło o niesprawiedliwość społeczną i konflikt. Potem wychodziłam na ulicę, siadałam w mojej ulubionej kawiarni na Shenkin Street i zamawiałam świeżo wyciskany sok pomarańczowy. Inni pracownicy firmy jadali razem obiady, ale ja unikałam kolegów, a oni w końcu zaakceptowali, że nie mam ochoty na towarzystwo. Podczas tych nielicznych obiadów, w których uczestniczyłam, wymieniali się cichymi, przemyślanymi uwagami na temat demonstracji i najnowszej sytuacji politycznej, spożywając pierś z kurczaka z purée ziemniaczanym.

Tłumaczka to było ostatnie, czego ta organizacja potrzebowała, dobry program komputerowy byłby w rzeczywistości więcej niż wystarczający, ale pilnowałam się, żeby im tego nie powiedzieć. Rzadko tłumaczyłam ustnie, dla niemieckich gości czy dla szefa biura, a jeśli już się to zdarzało, nigdy nie musiałam się poważnie przygotowywać.

Te ustne tłumaczenia wiązały się z przyjemnymi wycieczkami na Zachodni Brzeg, mijaliśmy góry odpadków i biegające samopas dzieci, które wciąż musiałam pytać po arabsku o drogę, bo nasz kierowca zaledwie przed dwoma miesiącami przyjechał z Syberii, używał rosyjskojęzycznego systemu nawigacyjnego i nie umiał odczytać ani arabskich znaków, ani hebrajskich. Zachodni Brzeg oglądany przez okno klimatyzowanego, kuloodpornego dżipa był piękny. Przypominał nawet trochę Grecję, pagórkowaty, tarasowy krajobraz, drzewa oliwne i wyboiste drogi. Potem jednak pojawiały się opuszczone checkpointy, znaki po angielsku, arabsku i hebrajsku, zawsze tuż przed żydowskimi osiedlami, które z otoczeniem miały tyle wspólnego co UFO. W ogóle te służbowe wyjazdy miały charakter naukowych wycieczek do parku rozrywki.

Najczęściej jeździliśmy do Nazaretu. Moi koledzy, lewicowi biali Izraelczycy, bezustannie chwalili Nazaret, mówili, że przepiękny i można tam dobrze zjeść, ale to była jedynie poprawność polityczna na pokaz, pozytywne uwagi mające podtrzymać ogólny nastrój. Nazaret był rozczarowujący: małe miasto z wieloma problemami, dużym bazarem i olbrzymim kościołem, którego

wartość miała wyłącznie wymiar duchowy.

Od czasu do czasu towarzyszyłam niemieckim delegacjom na spotkania w Jerozolimie, w jakiejś komisji parlamentarnej Knesetu albo w jakimś hotelu. Szeptałam im do ucha, co powiedziano właśnie po angielsku o pogodzie, w następnym momencie podsuwałam możliwą odpowiedź, na przykład komplement na temat klimatyzacji. Moi podopieczni prawie zawsze przyjmowali te propozycje, wygłaszając miłe słówka ze straszliwą wymową. Ale przynajmniej sprawiali wrażenie autentycznych. Ich głosy i mimika prześladowały mnie często przez cały dzień. Byłam pewna, że tą posadą Windmühle chciał się na mnie zemścić, mimo to chwilowo byłam zadowolona.

Asfalt pachniał deszczem, był szary jak niebo. Czekałam na autobus do Jerozolimy. W piątek, późnym popołudniem wszystko się zamykało, szabat był święty, zakaz pracy – absolutny. „Sześć dni powszednich będziesz wykonywał prace, a w sobotę będzie dzień całkowitego zaprzestania prac, oddzielony dla Boga. Każdy, kto wykonuje prace w dzień Szabatu, musi ponieść śmierć”, mówi Tora^[13]. Ponieważ już za godzinę wszystko miało stanąć, dworzec w Tel Awiwie był zatłoczony. Deszcz przybierał na sile, podróżni wciskali się do dusznej poczekalni. Naprzeciwko mnie siedziała młoda kobieta w mundurze, malowała paznokcie. Obok leżały wąska damska torebka i karabin maszynowy. Po prawej stronie kobiety zajął miejsce mężczyzna w błękitnych szortach, z białą kipą przypiętą do rudych kędziorów dwiema dużymi spinkami. Za nim dwóch Tajów w nieokreślonym wieku, głośno rozmawiali. Podjechał autobus, wsiedliśmy. Powietrze było ciepłe i ciężkie, okna zaparowane. Atmosfera, jak w większości izraelskich autobusów, napięta. Każdy obserwował każdego, kobiety i dzieci najczęściej były poza podejrzeniem, starsi mężczyźni też, ładunkami wybuchowymi okręcali się głównie młodzi chłopcy. Każdy lekki brzuszek wydawał się groźny.

Siedzenie przede mną zajęła para w mundurach. Ona była od niego wyższa, szczupła, o jasnych włosach, starannie umalowana. On miał czujne, inteligentne spojrzenie, a swoim ciężkim ciałem zręcznie manewrował w wąskim przejściu. Śmiała się z jego historyjek szeptanych po rosyjsku. Całowali się po każdym przecinku. Serce ścisnęło mi się z zazdrości, bo nie mogłam sobie przypomnieć, żebym kiedykolwiek tak się śmiała, gdy Eliza coś mi opowiadał, i pomyślałam, że go tym krzywdziłam.

Czekali przed dworcem. Ori podbiegł, objął mnie, szybko pocałował w usta. Był beztrojski, ufny jak ktoś, kto jeszcze nigdy nie został zdradzony. Może wynikało to też z jego wieku, miał dopiero dwadzieścia dwa lata, właśnie odbył służbę wojskową i myślał, że życie dobrze mu życzy.

– Jak dobrze, że jesteś – powiedział. – To moja siostra Tal.

Wyciągnęła rękę, przytrzymałam ją trochę dłużej, niż to było konieczne.

Ori wziął moją torbę, przewiesił ją przez ramię i machnął na taksówkę. Ukradkiem popatrywałam na Tal. Miała długie, ciemnoblond loki i zielonobrazowe oczy, które przypominały papier ścierny. W jej twarzy dostrzegłam poza tym coś, co można było wyczytać także z mojej, i to nie było nic dobrego.

Zjedliśmy na Starym Mieście. Po drodze spotykaliśmy ortodoksów ubranych odświętnie, w błyszczących chałatach i futrzanych czapach.

Lokal był duży, urządony sztamkowo, jasne marmurowe kafelki na podłodze i na ścianach, dużo lśniącego się fałszywego złota i małe bukietki sztucznych kwiatów na stołach.

Kelner, wysoki i chudy, miał gęste wąsy i złote zęby. Z niechęcią przetaił stół niezupełnie czystą szmatką i rzucił nam kartę pod sam nos. Kiedy podziękowałam po arabsku i zapytałam o domową

lemoniadę, jego oczy rozbłyły. Ori i Tal zdziwili się co najmniej tak samo jak on. Zapytał, czy jestem Arabką z czterdziestego ósmego. Zaprzeczyłam. Jego podłużna, koścista, lekko zaczerwieniona twarz zwrócona do mnie wyrażała pytanie.

Ori także spojrział skonsternowany, kelner zauważył jego wzrok i rozbawiony zapytał po arabsku:

– Skąd pani pochodzi?

Mówił bardzo miękkim, śpiewnym dialektem palestyńskim, którego brzmienie kochałam, bo trochę przypominał libański, a więc Samiego.

– Z Niemiec. – W tej sytuacji wydało mi się to najprostszą odpowiedzią.

– Mój kuzyn mieszka w Niemczech, piękny kraj. Ale tam nie uczą arabskiego.

– Studiowałam arabski.

– No tak. Z tym literackim językiem przypomina pani spikerkę – roześmiał się.

– Co mam robić? Na uniwersytecie była prawie wyłącznie *fus’ha*, dialektów, ‘*amii*, tego uczono rzadko – próbowałam się usprawiedliwić.

– Jakiego dialektu się pani uczyła?

– Libańskiego – odpowiedziałam, czując, że robię się czerwona.

Uśmiechnął się.

– A mąż?

Ori uniósł pytająco prawą brew.

– Nie mam męża. Jestem tłumaczką.

– Hebrajski i arabski?

Potrząsnęłam głową.

– Rosyjski i francuski.

Kelner skinął.

– Francuski jest romantyczny, ale żadnego z niego pożytku. Deser na koszt firmy – poklepał Oriego po plecach i pospieszył do następnego stolika.

– Znasz arabski? – zapytał Ori.

– Tak.

– Dlaczego? – odezwała się Tal.

– Co to znaczy: dlaczego?

– Znasz arabski, ale nie mówisz po hebrajsku, to dziwne.

– Jaki sens ma uczenie się takiego małego języka jak hebrajski? Jeśli można mieć jeden z języków ONZ?

– Twój arabski nie jest taki zły – powiedział Ori.

Tal odchyliła się w krześle i skrzyżowała ręce na brzuchu.

– Mówisz po arabsku? – zapytałam.

– Tylko tyle, ile nauczyłem się w wojsku, ale tego nie chcą słuchać – odpowiedział.

Tal wywróciła oczami. Ori to zobaczył, a ja zobaczyłam, ile go kosztuje zachowanie spokoju.

– Jeden mój kolega mówi płynnie po arabsku. Nawet lepiej niż większość Arabów – dodał.

Przełknęłam ślinę.

– Ale tylko dlatego, że pracuje w wywiadzie.

Sukienka Tal mieniła się czernią i granatem, na szyi i we włosach połyskiwały złote ozdoby.

– Ja też tam pracowałem.

– To powinieneś wiedzieć, co się tam wyprawia.

Zamilkła, purpurowa ze złości. Ori spojrział na nią nienawistnie. Odchyliła się.

– A tak w ogóle, to dobrze ci mówić. Służbę wojskową spędziłeś przed komputerem. Nie byłeś na froncie, nie masz pojęcia.

Kelner popatrzył w kierunku naszego stołu z pogardą.

– Dobrze, jesteś jedyną walczącą w naszej rodzinie. Zarzucasz mi, że nie byłem w jednostce bojowej?

Miałem oddać temu krajowi nogę? Albo rękę? Co byś wolała?

Tal zerwała się i wyszła, trzaskając drzwiami. Ori oparł łokcie na stole.

– Czy nie możemy odbyć jednej rozmowy, nie rozpatrując całego syjonizmu i historii Izraela?

– Zobaczę, co z nią.

– Jasne, zostaw mnie samego.

Tal stała przed restauracją i paliła. Przystanąłam obok. Minęła nas w pośpiechu grupa ortodoksów, na kapeluszach mieli plastikowe worki chroniące przed deszczem.

– Nie gloryfikuję ich. Myślę, że nasza kultura zasadniczo różni się od palestyńskiej. W kulturze arabskiej nie istnieją prawa kobiet i w ogóle dzieje się wiele złego. Chodzi mi o mój kraj. Kocham mój kraj, ale nie odpowiada mi to, co tu się wyprawia. Chciałabym żyć w państwie wolnym i demokratycznym.

– Okej – odezwałam się poirytowana.

Paliliśmy w milczeniu, słońce szybko zachodziło, róż, pomarańcz, bżowy i liliowy następowały po sobie, a potem – nieobecność światła. Kiedy wracałyśmy, ręka Tal musnęła mój tyłek.

Tego wieczoru zostałam w mieszkaniu Oriego. Oznajmiłam, że przespałam się z nim przez pomyłkę i że nigdy już do tego nie dojdzie, a potem opowiedziałam mu o Eliszy i że w ciemności nie mogę sobie przypomnieć jego twarzy. Słuchał cierpliwie, milczał, obejmował mnie, nie zgasił światła w korytarzu. Przytulał mnie i nic nie mówił, i było mi tak dobrze, że nie mogłam przestać płakać. Płakałam i płakałam, bo to przynosiło ulgę i dlatego, że wtedy mocniej mnie przytulał. A kiedy się uspokoiłam, natychmiast zasnął. Wyczerpany. Mną. Wstałam, ubrałam się, zostawiłam mu wiadomość i poszłam do domu.

Tydzień później Tal zaprosiła mnie na kolację. Właściwie nie bardzo miałam ochotę iść, ale byłam jednak zbyt podekscytowana, żeby odmówić.

Przedpołudnie tego dnia spędziłam z Hannah i ciotką numer 13 w Jad Waszem. Po tym jak obejrzałyśmy wstrząsającą wystawę, ciotka postawiła nam kawę i ciasto. W klimatyzowanej kawiarni muzeum opowiadała o przebudowie domu. Zaczęło się od tego, że postanowiła kupić nowy telewizor, taki sam, jaki nabyła ostatnio ciotka numer 7. Ale nie mieścił się na ścianie, więc musiała zamurować okno. W markecie budowlanym zobaczyła piękny parkiet w promocyjnej cenie, więc też go kupiła. Tyle że w niewystarczającej ilości, chciała zaoszczędzić, a potem już go nie było. Więc musiała kupić inny, podobny, ale okazało się, że klepki są grubsze. No i nie wie, co dalej. Arabscy robotnicy powiedzieli, że musi wszystko zrobić od nowa, ale podejrzewa ich o dżihad. Na koniec oznajmiła, że właściwie miała zamiar opowiedzieć nam o ucieczce mojej babki przed Niemcami.

Skwapliwie zapewniłam, że znam tę historię, obawiałam się, że nigdy już nie wyjdę z Jad Waszem.

– Ale z pewnością nie znasz szczegółów – stwierdziła Hannah, na co ciotka numer 13 rzuciła jej zadowolone spojrzenie.

– Znam, tak mi się wydaje.

– Nie wolno nam niczego zapomnieć – powiedziała ciotka.

– Oczywiście. Tyle że to nie wystarczy.

– Co masz na myśli? – zapytała Hannah.

– Nawet fanatyczni osadnicy czczą pamięć o Holokauście.

– Ja też jestem osadniczką – napomniała mnie ciotka.

Ugryzłam się w język.

Tal mieszkała w Neve Tzedek, niedaleko targu, na którym kupiłam dla niej kwiaty. Płacąc, wmawiałam sobie, że jeszcze mogę wrócić do domu, obejrzeć *Tatort* albo zaskajpować do Cema. Podczas rozmów z nim czasem, a właściwie za każdym razem pytałam o Samiego, nie chciałam dzwonić wprost do niego. Nie wiem dlaczego. Wypytywałam Cema, ale się opierał, powtarzał: „Zapytaj go sama”.

Zadzwoiłam domofonem, Tal otworzyła. Kiedy weszłam, stała w kuchni, na blacie obok zlewu przygotowywała duży kawałek mięsa. Uśmiechnęła się, delikatnie pocałowała mnie w policzek, nie odkładając kacznej piersi, z której wyciekał sos.

– Potrzebuję jeszcze chwilki, rozejrzyj się po mieszkaniu, jeśli chcesz.

Miała na sobie czarną sukienkę głęboko wyciętą z tyłu, biodra przepasała fartuchem w czerwono-białą kratkę. Z czułością kończyła marynować kaczkę, a ja uważnie studiowałam tatuaże na jej plecach.

– Mój brat byłby zazdrosny, gdyby cię tu zobaczył – rzuciła z dziwnym uśmiechem i otworzyła wino.

– Nie musisz mi mówić – zaproponowałam, zwracając uwagę na ton głosu.

Mój kieliszek napełniła jako pierwszy. Gdy smakowałam wino, zaczęła dokładnie opisywać rejon uprawy. Ta butelka pochodzi z winnicy rodziców. A potem poprowadziła mnie do dużego pokoju, pewnie i zdecydowanie. Na stole piętrzyły się resztki materiału, kłęбки wełny, pośrodku stała maszyna do szycia. Na przeciwległej ścianie wisiały zdjęcia młodych kobiet w niezrozumiałych dla mnie kostiumach, wielkoformatowe odbitki przyklejone do porowatej ściany szpilkami. Współlokatorka przygotowuje się właśnie do egzaminu, wyjaśniła, denerwuje się, gdy ktoś dotyka jej rzeczy, możemy chyba zjeść na kanapie, jeśli nie mam nic przeciwko.

Wyłączyła światło, zapaliła kilka ogarków świec i zniknęła w kuchni. Zastukała naczyniami, a potem wróciła z dwoma talerzami zupy. Poczułam, że dłonie mi zwilgotniały, przesunęłam się na skraj kanapy.

Wzięłam do ust pierwszą łyżkę, a ona popatrzyła na mnie wyczekująco.

– To zupa kasztanowa, według przepisu mojej babci, najpierw karmelizuje się kasztany, potem zalewa lekkim wywarem i doprawia białym winem. Gdy zupa jest ugotowana, dodaję sherry, miksuję i przyprawiam.

Jedna świeca zgasła. W pokoju zrobiło się prawie ciemno. Tal pochyliła się nade mną.

– Myślałam, że izraelska kuchnia składa się przede wszystkim z sałatek i past – powiedziałam, a ona się roześmiała i odsunęła.

Mięso było kruche, wydało mi się, że wyczuwam cynamon, anyż, jałowiec i nutę daktyli. Tal podała ryż ze świeżymi ziołami, niby przypadkiem dotknęła mojego kolana. Zapach ziół mieszał się z delikatną wonią jej perfum, przyglądałam się otwarcie jej ciału. Niewiele mówiłyśmy, bo nie udało nam się znaleźć wspólnego tematu. Tal wciąż napełniała kieliszki.

Przez podłogę przemknął karaluch. Zobaczyłyśmy go w świetle ulicznych latarni kładącym się na podłodze jasną kałużą. Tal zerwała się, zabiła insekta butem, pancerz głośno trzasnął. Zawinęła go w serwetkę i zaniósła do kuchni. Wróciła, przysiadła się bliżej i odgarnęła mi z twarzy pasemko włosów. Odwróciłam się.

– Bardzo dziękuję! Jedzenie było znakomite.

– Poczekaj, mam jeszcze deser – szepnęła mi do ucha, obejmując mnie za szyję.

– Nie lubię deserów.

– Ten będzie ci smakował.

Przeciągnęła paznokciem po moim nadgarstku i znów poszła do kuchni. Po dłuższej chwili weszła z miską w dłoniach. Truskawki w polewie czekoladowej. Jakie to patetyczne, zdążyłam pomyśleć, zanim wsunęła mi truskawkę do ust. Żułam, a ona wzięła mnie za rękę i powiedziała, żebyśmy wyszły na dach.

Na dachu rośło wielkie, brzydkie drzewko aloesowe i stała śmierdząca moczem kanapa. Zatrzymałyśmy się przy balustradzie. Noc była przejrzysta i cicha. Wymieniałam nazwy gwiazdozbiorów, wskazywałam pojedyncze planety, mówiłam o nich, jakby były moimi najlepszymi przyjaciółmi. Tal słuchała z umiarkowanym zainteresowaniem, zapaliła zapałkę. Umilkłam. Zapałka zgasła. Nie mogliśmy tak stać bez końca i rzeczywiście, jej dłoń znów niby przypadkiem znalazła się pod kołnierzykiem mojej bluzki, usta zbliżyły się, przyciągnęła mnie do siebie. Smakowała truskawkami i czekoladą.

– Dobranoc – oświadczyłam zdecydowanie, zdejmując z siebie jej rękę.

Przyjrzała się uważnie mojej twarzy, skinęła głową i odprowadziła mnie do drzwi. Klatka schodowa była rzęsiście oświetlona, Tal zachwiała się, stojąc w drzwiach, pogładziła mnie po policzku.

– Do szybkiego zobaczenia – powiedziała.

W domu wzięłam tyle tabletek nasennych, ile było można, stanęłam plecami do okna, zagapiłam się na łóżko. Byłam jak sparaliżowana, nie mogłam się odwrócić, bo wiedziałam, że na dole, na ulicy zobaczę zwłoki tamtej młodej kobiety. Noce były straszne. Bałam się, że Elias znów umrze obok mnie. Często się budziłam, bo mi się wydawało, że go słyszę.

Tal była aktywistką. Komunistką. Feministką. Przede wszystkim jednak była skomplikowana. Aktywizm i ideologia służyły jej za fasadę, która miała być nie do przebiccia. Była jedną z najbardziej interesujących osób, jakie poznałam, tyle że nie miałam pojęcia, kim właściwie jest. Należała do Hadash, arabsko-izraelskiego lewicowego frontu politycznego, do Breaking the Silence^[14] i Anarchists Against the Wall^[15]. Większość czasu spędzała na demonstracjach albo na partyjnych wiecach.

Służbę wojskową początkowo odbywała w elitarnej jednostce na Terytoriach Okupowanych. Po półrocznym treningu i czterotygodniowym udziale w akcjach podczas drugiej intifady poszła do pułkownika i powiedziała, że woli spędzić resztę życia w więzieniu niż jeszcze jeden dzień w armii.

Nie zamknęli jej, tylko przesunęli do pracy w wojskowej cukierni. Po trzech tygodniach znów wylądowała u pułkownika. Przyglądał się jej długo, a potem rozkazał usiąść. Zapalił papierosa i przysunął jej paczkę. Zaczęła się wiercić ze zdenerwowania.

– Właściwie to nie leży w moich kompetencjach – mówił powoli pułkownik. – Odbywam tu służbę rezerwową. Za dwa tygodnie wrócę do domu. Jestem kucharzem. Pracuję w małej restauracji w Tyberiadzie, z kuchni widzę całe Jezioro Galilejskie. Nie rozumiem, co ma pani przeciwko cukierni.

– Chcę do domu – odpowiedziała.

Zwolniono ją z armii z powodów ideologicznych, trzy dni później wyjechała z kraju. W Tajlandii i Wietnamie próbowała wszystkich narkotyków, sypiała z innymi Izraelczykami, którzy też właśnie skończyli służbę, w Indiach omyłkowo upiekła ciasto z proszkiem do prania. Zasadniczo nie chciała wracać do Izraela. Jednak w pewnym momencie zgarnęła ją izraelska opieka społeczna, której jedyne zagraniczne biuro znajdowało się właśnie w Indiach i zostało utworzone wyłącznie dla takich przypadków jak Tal. Najpierw wysłali ją na odwyk, a potem wsadzili do samolotu El Al. Po powrocie do kraju wstąpiła do Breaking the Silence. Odkąd nie brała narkotyków, napędzało ją to, co widziała i co robiła.

Nie zapowiadała odwiedzin, niekiedy dzwoniła do moich drzwi w środku nocy, czasem zjawiała się w biurze. Miała dwa koty perskie. Wielkie i leniwe, przekarmione i ze sfilcowaną sierścią. Troszczyła się o nie falami. Gdy miała dobrą fazę, czesała jednego, nigdy dwóch, napełniała miski kocimi delikatesami i stale brała je na kolana. Gdy miała którąś ze złych faz, całymi dniami nie dostawały nic do jedzenia. Mnie traktowała jak koty, czasem z nadmierną czułością, czasem chłodno. Obie wiedziałyśmy, co oznacza wojna i jak to jest widzieć, że ktoś umiera. Pozwolić komuś umrzeć. Moje nocne koszmary stały się koszmarami dziennymi. Kiedy tłumaczyłam albo piłam sok pomarańczowy, widziałam jasnyniebieski materiał powoli nasiąkający krwią i kałużę krwi na asfalcie. Mogłam wyciągnąć rękę i jej dotknąć. Słyszałam głosy morderców. Coraz wyraźniej. Większość łuf, które widziałam, była rzeczywista.

VII

W biurze panowało radosne lenistwo, nasz szef był na urlopie. Koleżanka przyniosła nawet ciasto – żeby to uczcić. Ja także nic nie robiłam, surfowałam tylko po internecie. W końcu postanowiłam zadzwonić ze służbowego aparatu do Samiego, do Kalifornii. Przeszłam do kuchni, zamknęłam za sobą drzwi. A ponieważ było to jedyne nieklimatyzowane pomieszczenie w całym budynku, otworzyłam lodówkę i przystanąłam przed nią.

Odebrał od razu, darował sobie frazesy, zamiast tego powiedział:

– Już nie mogę, do mieszkania obok wprowadził się Arab.

– No i?

– Boże, Masza, rozumiesz, jak to jest. To prawdziwy Arab. Z Egiptu, tam dorastał.

– Ty też jesteś Arabem.

– Właśnie. Jak się o tym dowiedział, to poszło! Zaczął mnie codziennie zapraszać, przychodzić nieproszony, co rusz coś pożyczał i tego nie oddawał. A jak usłyszał, że Minna jest Palestynką, to splunął mi pod nogi.

– Co?

– Splunął mi pod nogi – zaśmiał się. – I wiesz, to jeszcze nie koniec.

– Co było potem?

– Wygłosił mowę. Uciekliście, zostawiliście kraj, domy i rodziny. Żyjecie tylko dlatego, że zadaliście się z okupantem. – Sami powtarzał słowa sąsiada po arabsku, naśladowując egipski akcent, wymawiał je bardzo twardo, mówił histerycznie szybko i głośno. Nie mogłam przestać się śmiać, zwłaszcza że wiedziałam, jak bardzo ceni swój libański dialekt, miękniejszy, łagodniejszy niż egipski. – Ubliżał mi, jakbym był wszystkimi Palestyńczykami. Wyobraź to sobie. Tchórze, hańba dla narodu arabskiego, i tak dalej, i tak dalej, a później punkt kulminacyjny: wasze córki sypiają z Żydami.

Milczałam.

– Masza? Jesteś tam?

– Co mu odpowiedziałeś? – zapytałam niepewnie.

– Że to kompletny absurd. Moja córka z pewnością nie sypiałaby z Żydami, pomijając taki drobiazg jak to, że nawet nie mam córki. A poza tym sam sypiałem z Żydówką, nie tylko sypiałem. Kochałem ją – to zdanie wypowiedział bardzo cicho, ledwie słyszalnie.

Elias stał obok mnie, kroił warzywa szybkimi, precyzyjnymi ruchami, zatopiony w myślach. Grzywka mu urosła, wyglądał trochę jak Harry Potter.

Łzy ścisnęły mi gardło, mogłam była teraz coś powiedzieć, ale zamiast tego wyciągnęłam rękę w stronę Eliasa i zapytałam:

– I co teraz?

– No cóż, wczoraj ktoś namalował na moich drzwiach swastykę – zakończył Sami.

Pomyślałam o incydencie z amerykańskiego zoo. Pewien chłopiec tak się zachwycił małym pingwinkiem, że wślizgnął się do zagrody i włożył go do plecaka. Pingwin udusił się, gdy chłopiec wracał do domu. Tę historię Sami opowiedział mi, kiedy pierwszy raz wyznałam, że go lubię, mając na myśli: Kocham. Nigdy mi nie zapomniał, że użyłam tego właśnie słowa. Słusznie, jak miałam się później dowiedzieć.

Następnego dnia zgłosiłam w pracy, że jestem chora. Wyszłam na taras i popatrzyłam na morze. Woda połyskiwała. Powietrze było ciepłe. Wróciłam do łóżka.

Zmuszałam się, żeby dzwonić do rodziców. Rozmowy się nie kleiły, wciąż jeszcze odgrywałam rolę córki odnoszącej sukcesy, ale przestali mi wierzyć, szukali rys w fasadzie. Jednak moja żaloba nie była chorobą, a Izrael sanatorium. Ojciec przysłał mi nawet teleskop, który o mały włos nie został zatrzymany na cle.

Nie wiedziałam, dlaczego nie mogę z nimi rozmawiać. Już po kilku minutach miałam dosyć, nie mogłam sklecić jednego zdania, przestawałam słuchać, chociaż przecież słuchaniem zarabiałam na życie. Chciałam być wobec nich bardziej uważna, wykazywać większe zainteresowanie, ale zaniedbywałam ich, kłamałam na temat mojego stanu.

Z drugiej strony, gdy rozmawiałam z matką, nachodziła mnie czasem tęsknota za domem, chociaż nie umiałam go zlokalizować. Tęskniłam za miejscem bliskim, dobrze znanym. Chociaż właściwie nie miałam dobrego zdania o takich miejscach – pojęcie ojczyzna zawsze kojarzyło mi się z pogromem. Tęskniłam bardziej za bliskimi ludźmi, tyle że jeden człowiek nie żył, a innych nie byłam już w stanie znieść. Bo żyli.

Tal i ja oglądałyśmy zachód słońca. Powietrze kładło się na nas jak puchowa kołdra. Słońce zachodziło tym razem bez dramatycznych zmian światła, fale wślizgiwały się na brzeg, blask powoli znikał za falochronami. Wszystko miało swój porządek. Na pustej plaży było tylko kilka par i jacyś pojedynczy biegacze.

Leżała przede mną z głową obróconą na bok i zamkniętymi oczami. Przyglądałam się, jak jej brzuch unosi się i opada. Na łopatkach miała wytatuowane dwa wielkie ptaki, czarne, wryte ostro. To mogły być kosi albo podrózniczki. Włosy spięta w kok, odsłaniając również tatuaż na karku – maleńkie hebrajskie litery: alef, he, bet, he. *Ahava*. Miłość. Masowałam jej plecy, najpierw wzdłuż kręgosłupa, później ramiona. Zawsze, gdy ją widziałam, ogarniał mnie lekki niepokój, było mi niedobrze, czułam mdłości. Może chodziło po prostu o to, żeby zapełnić puste miejsce, a Tal była równie dobra jak ktokolwiek inny.

Westchnęła zadowolona, powoli zaczęła się rozluźniać. Rozpięłam jej stanik od kostiumu. Moje palce ugniały pojedyncze pasma mięśni, potem pogładziłam jej plecy płaską dłonią, pochyliłam się i przeciągnęłam ustami od kości ogonowej do karku.

Przeleciał wojskowy samolot, zostawił na niebie białą smugę.

– Może w końcu zbombardują Iran. – Nie wiedziałam, czy żartuje. – Douglas A4 – dodała.

Biała smuga zniknęła. Wyjęłam z torby butelkę wody, napiłam się. Powiał chłodny wiatr. Położyłam się na niej, wdychałam zapach jej skóry.

VIII

Upłynęła chwila, nim się zorientowałam, gdzie jestem. Z powodu dzisiejszej daty wzięłam sporo tabletek nasennych, byłam otumaniona. Obudził mnie odgłos młotów pneumatycznych, który dolatywał przez otwarte okno sypialni wraz z lekką morską bryzą.

Wyszłam boso na taras, musiałam się upewnić, że istnieje jeszcze świat poza moim mieszkaniem. Istniał. Słońce paliło, starsze panie i panowie maszerowali na plażę, samochody trąbiły, a remont domu na końcu ulicy szedł pełną parą. Ulica, przy której mieszkałam, stale hałasowała, rano zajeżdżały tu ciężkie miejskie śmieciarki, później dawała o sobie znać budowa, młoty, wiercenie, a jeszcze później autobusy, samochody i skutery. No i trzeba też pamiętać o przechodniach.

Wróciłam do środka, wzięłam prysznic. Woda była zimna, bo zapomniałam włączyć bojler. Wytarłam się, poszłam do kuchni, rozpuściłam aspirynę w szklance wody, zaparzyłam kawę po turecku. Wyjęłam z portmonetki zdjęcie Eliszy, oparłam je o ścianę i zapaliłam przed nim świecę.

Często oglądałam jego zdjęcia, analizowałam każdą minutę naszej ostatniej nocy: Dlaczego nie obudziłam się wcześniej? Jak mogłam zapobiec jego śmierci?

To zdjęcie zrobiono nam w Maroku, podczas naszej jedynej – ale długiej – wspólnej podróży. Eliza uśmiecha się do aparatu, ja schowałam twarz w jego włosach. Patrząc na fotografię, poczułam jego zapach, zobaczyłam strukturę jego skóry. Zagadnęłam wtedy w herbaciarni jakiegoś mężczyznę, miał usta pełne złotych zębów, poprosiłam, żeby zrobił nam zdjęcie. Natychmiast okazał się przewodnikiem, próbował wcisnąć nam oprowadzanie. Odmówiłam. Elias zajęty był ustawianiem aparatu, sprawdził wszystko skrupulatnie, zanim podał go mężczyźnie. Wystarczy. Rozpuściłam w wodzie jeszcze jedną aspirynę, ubrałam się szybko i wyszłam.

Konferencję organizowała ambasada francuska. Odbywała się w hotelu niedaleko mojego mieszkania. Szłam pośpiesznie wzdłuż promenady nad plażą, po lewej stronie miałam morze i niebieskie leżaki, po prawej wieże hoteli zbudowanych jak plastry miodu. Ulica była zapchana taksówkami i skuterami. Dotarłam do hotelu spocona i bez tchu, przy wejściu otwierałam torebkę do kontroli, wpuszczono mnie. W recepcji dostałam identyfikator, poszłam od razu do kabin.

Zakontraktowano mnie w ostatniej chwili, w zastępstwie, po długich dyskusjach. Więc drżałam z podniecenia. Przedstawiłam się tłumaczowi na hebrajski i Anglikowi, podali mi rękę. Okazało się, że szef kabin zniknął, mój partner także. Nadchodzili kolejni tłumacze. Nikt nic nie wiedział, do rozpoczęcia zostało kilka godzin, a nam nawet nie powiedziano, gdzie są organizatorzy, nie przekazano teczek z materiałami ani kolejności mówców. Miałam spocone dłonie.

Koledzy stali w kręgu, wyglądali na odprężonych, zapewniali mnie, że ta konferencja to bułka z masłem. Było wśród nich kilku legendarnych tłumaczy. Drżałam coraz mocniej. Ktoś ujął mnie za łokieć

i wskazał na mężczyznę, który zbliżał się do nas, pogwizdując. Szef kabin miał długie, chude kończyny, wąsko osadzone oczy, nosił szkła bez oprawek. Cała jego postać miała w sobie coś rozbijającego, ale to był tylko pozór, ten człowiek sływał z cholerycznych wybuchów. Przedstawił się, rozdał teczki i przydzielił nam kabiny. Kiedy zapytałam o mojego partnera, uśmiechnął się chytrze i powiedział:

– To ja.

– To dla mnie zaszczyt – przełknęłam ślinę.

– Zobaczmy, jak to będzie – odparł. – Jest pani naszą najmłodszą współpracowniczką i o ile się nie mylę, jeszcze pani dla nas nie pracowała. Będę miał na panią oko. To naprawdę przyjemna konferencja, chodzi tylko o wymianę kulturalną. Mimo to proszę się skoncentrować i natychmiast dać mi znać, gdyby się pani potknęła. Wymagam najwyższego profesjonalizmu.

Wyjrzałam z kabiny na salę: tylko trzy osoby słuchały kanału rosyjskiego. Trochę mnie to uspokoiło, skupiłam się na mówcy, którego gesty zaczęłam śledzić na ekranie.

Przed pierwszą przerwą kawową miałam tłumaczyć przemówienie powitalne francuskiego attaché kulturalnego i pierwszą część wykładu emerytowanego profesora na temat tożsamości żydowskiej w literaturze francuskiej po roku 1990.

Kiedy zaczął mówić attaché, serce biło mi tak szybko, że byłam pewna, iż moi trzej słuchacze także je słyszą. Ale mówił powoli, pierwszy kwadrans wykorzystał na przywitanie z osobna większości obecnych. W końcu wymienił nazwiska referentów i tytuły wykładów, co można też było przeczytać na drugim ekranie. Gdy zaczął mówić o celu konferencji, mój partner stuknął mnie w ramię i przejął pałeczkę. Poczułam się zrobiona w konia.

Pół godziny później pozwolił mi wrócić do pracy. Attaché wciąż jeszcze mówił, powoli i z namysłem, wplatając w przemowę żarty, które łatwo było przełożyć na rosyjski. Moi słuchacze uśmiechali się. To nie było wielkie wyzwanie, tłumaczyłam w odpowiednim tempie. Twarz partnera wyraźnie się odprężyła. Gdy rozległ się uprzejmy aplauz, na moment zostawił mnie nawet w kabinie samą. Profesor za to nie ułatwiał mi pracy. Chociaż mówił o współczesnej literaturze, używał archaicznego słownictwa. Tempo miał zawrotne.

W kabinie było coraz duszniej, nagle zaczęłam się spóźniać o całe zdanie, partner cały czas pisał na kartce fachowe terminy i podsuwał mi je. Ale potrzebowałam tylko krótkiej pauzy, więc kiedy mówca odchrząknął, nadrobiłam, mówiąc bardzo szybko.

Gdy ogłoszono przerwę, odetchnęliśmy. Szef kabin raczył się uśmiechnąć i zapytał po francusku:

– Gdzie się pani kształciła?

– W Niemczech.

– Nieźle. Będą z pani ludzie.

I pospieszył do sali jadalnej, a ja na całą przerwę obiadową zamknęłam się w toalecie.

Wieczorem wróciłam do domu wykończona. Zmęczenie mnie obezwładniało. Świeca przed zdjęciem Elisy się wypaliła. Betoniarka na zewnątrz nadal pracowała.

Matka nagrała wiadomość na sekretarce. Byli na cmentarzu, położyli za mnie kamień na grobie. Mam do niej szybko oddzwonić. Tego dnia śmierć Elisy stała się czymś ostatecznym – faktem, który nie zostawiał już nadziei.

IX

W Niemczech dawno już nastąpiła jesień, ale tu wciąż trwało lato w pełni. W korytarzu przybywało wyschłych trucheł karaluchów. Dni się zlewały. W weekendy i święta leżałam na plaży albo łąziłam po butikach. Prawie nic nie kupowałam, od czasu do czasu dawałam się namówić sprzedawczyniom do przymierzenia tej czy owej sukienki. Na Frishmann Street odkryłam sklep ze starymi ubraniami z Berlina. Przerobione. Na modłę izraelską. W ogóle tego lata wszyscy kochali Berlin. Większość ludzi już tam była i chcieli możliwie szybko wrócić.

Czasem odwiedzałam Oriego w jego warsztacie w południowym Tel Awiwie. Hałas i intensywność miasta trochę tam odpuszczały. Uchodźcy z Sudanu, filipińscy opiekunowie starszych osób, artyści, studenci, wszyscy mieszkali we Florentin. Ori był stolarzem, z miłości do drewna tworzył wielkie, ciężkie meble. Siadywaliśmy z melonem i zimnym piwem na schodach przed warsztatem. Czasem dołączał do nas właściciel zakładu tapicerskiego, warsztaty stolarskie były na całej ulicy, Hoodna, nasz ulubiony bar, niedaleko.

Dokuczały mi tylko takie troski, jakie sama sobie wymyślałam: bałam się, że Tal mogłaby mieć wypadek, wyobrażałam sobie, jak wpada motorem pod ciężarówkę. Motocykl wślizguje się pod tylny zderzak, który miażdży jej klatkę piersiową. Mogłaby też upaść, wchodząc do domu, albo ktoś mógłby ją napaść. Seryjny zabójca może podejść z nienacka i wbić jej nóż w plecy. Będzie się powoli wykrwawiać, ręce będą drgać, wokół niej rozleje się kałuża krwi. Najbardziej się bałam, że przydarzy jej się coś w czasie demonstracji, że trafi ją zabłąkana kula albo rozjedzie czołg. Możliwości było wiele. Igrałam z myślą, żeby złożyć anonimowy donos na policję, na przykład na jej działalność polityczną. W więzieniu byłaby przynajmniej bezpieczna.

Dzwoniłam do niej.

– Dobrze się czujesz?

– Tak – odpowiadała znudzona.

– Dlaczego tak ciężko oddychasz?

– Nie, normalnie.

– Okej.

– Masza, coś się stało?

– Nie.

– Aha. Jestem w pracy, nie mogę rozmawiać.

– Okej.

– Rozłączam się.

– Nie jedź tak szybko.

- Nie jadę, jestem w pracy.
- Ale jak będziesz jechała do domu.
- Nie jesteś moją matką.
- Martwię się.

Prychała zirytowana w słuchawkę.

- Byłam na Zachodnim Brzegu. Jazda motocyklem mnie nie zabije.
- Statystycznie więcej ludzi ginie w wypadkach samochodowych niż w atakach terrorystycznych.
- Jesteś chora.

Kończyła, a ja nie rozumiałam, jak mogłam się tak szybko od niej uzależnić. Najczęściej dzwoniłam tylko po to, żeby się upewnić, że oddycha. Czekałam, aż odbierze, i usłyszawszy pierwszy oddech, odkładałam słuchawkę. Gdy oddzwaniała, nie odbierałam. Powiedziałam, że mój telefon jest popsuty. Coś z blokadą klawiszy. Nic nie poradzę. Tal podarowała mi nowy.

Wiał chamsin, gorący i suchy, nie przynosił nic dobrego. Było duszno, na skórze i na wargach czułam smak kurzu. Ori poprosił, żebym zawiozła go do punktu zbornego na Negewie. Weźmiemy jego samochód, wrócę nim do Tel Awiwu, będę mogła go używać przez następne trzy tygodnie albo mogę sobie urządzić piękną wycieczkę na Synaj. Rozpościerał przede mną możliwości jak handlarz towary, a ja od razu się zgodziłam. Głos miał tak zmęczony i przygnębiony, że nie mogłam odmówić.

Czekał na mnie przed swoim domem w mundurze w kolorze khaki i z karabinem maszynowym przewieszonym przez ramię. Kiedy go zobaczyłam, zrobiło mi się niedobrze. Od razu pomyślałam o Faridzie, który nigdy nie wrócił. Nagle przypomniało mi się, jak wyglądał. Dryblasowaty chłopiec z przerwą między przednimi zębami, schodził po stopniach w o wiele za dużej kurtce mojego ojca. Przez ramię przewiesił materiałową torbę. Byłam pewna, że Oriego też już więcej nie zobaczę. Izrael mnie usidlił.

– Nie pozwolę ci jechać – oznajmiłam.

– Nie bądź głupia.

– Nie.

Ori zaśmiał się niepewnie.

– Nie zawiozę cię – powtórzyłam zimno.

– Dobrze, w takim razie pojedę autobusem.

Poczułam, że mogłabym go zabić i że wolałabym zrobić to sama, niż czekać na wiadomość o jego śmierci.

– Nie chcę, żebyś jechał – krzyknęłam.

Dwie Tajki popatrzyły na nas ze zdziwieniem.

– Muszę.

– Gównu musisz!

Pokręcił głową, schwycił mnie ostrożnie za ramiona. Łkałam, prosiłam, żeby nie jechał. Pogładził mnie po włosach. Krzyczałam na niego, nazywałam Eliasem. Elias, Elias, Elias. Patrzył na mnie całkiem spokojnie. Zabębniłam pięściami w jego plecy, a on zdusił moje krzyki na swojej piersi. Przytulił mnie mocno. Łapałam powietrze, ale nie dochodziło do płuc, nie mogłam zaczerpnąć tchu, język spuchł, gardło się zacisnęło. Zadrzałam, powtórzyłam, żeby nie jechał, chciał mnie uspokoić, a ja przestałam oddychać. Zaniósł mnie do swojego mieszkania, z karabinem przewieszonym przez plecy. Usadowił ostrożnie na kanapie, okrył ramiona kocem, głaskał po plecach, wzdłuż kręgosłupa. Kiedy poczułam się lepiej, wypiliśmy razem kawę, zapaliliśmy haszysz. Wieczorem pojechał do swojej jednostki.

Było słonecznie, gorąco i duszno, ledwie znalazłam się na ulicy, oblewałam się potem. Marzłam pod klimatyzatorem, pracując nad trudnym tłumaczeniem studium socjologicznego z wieloma przypisami i karkołomnym słownictwem fachowym. Ale był piątek, w biurze prawie nikogo, więc robiłam sobie hojne przerwy. Nie mogłam się skoncentrować, wyglądałam przez okno, zmuszałam się, żeby zaplanować wieczór, chociaż na nic nie miałam ochoty. Może mogłabym wyjść z Tal, może nawet by się zgodziła, musiałabym się wówczas wykapać, umalować, ubrać, ogolić, potem czekałabym na tarasie, gotowa o wiele za wcześnie. Ona odwołałaby spotkanie w ostatnim momencie, a ja musiałabym sobie zadawać pytania egzystencjalne. Koniec końców to mógłby być miły szabat, przeciągnięty do późna w noc w zwątpienie, które musiałabym zgłuszyć alkoholem.

Zrobiłam sobie w kuchni kawę, na stole leżały rozmiękłe kanapki, nie miałam pojęcia, kto je przyniósł. Postanowiłam wyjść i kupić burekas. Po drodze zobaczyłam mężczyznę, siedł powoli, pchając rower. Prawie się nie zmienił. Nasze ubrania musnęły się, gdy się mijaliśmy, poszłam za nim w dół ulicy. Skręcił w przecznicę, później w następną, aż znów znaleźliśmy się na King George. Była zatłoczona, raz po raz musiałam wymijać przechodniów, którzy łączyli się w jedno zbiorowe, zagrządzające mi drogę ciało. Na skrzyżowaniu z Bograshov Street odstawił rower przed małym sklepem. Weszłam za nim do środka, wszędzie wisały hipisowskie ciuchy w jaskrawych kolorach, jaskrawszych niż zwykle. Miałam wyschnięte gardło, chciało mi się pić, ale nic ze sobą nie wzięłam. Stał obok przymierzalni ze spodniami w rękę, popatrzył na mnie pytająco, on też miał na sobie ubrania, które do siebie nie pasowały. Ale to nie był Elisza. Sprzedawczyni zapytała głośno, niemal histerycznie, czy może mi pomóc. Kolory i odgłosy mieszały się, jakby w mojej głowie wyskoczył jakiś bezpiecznik. Zaczęłam drzeć, pocić się, wypadłam ze sklepu i pobiegłam ulicą nad morze. Nagle zderzyłam się z pulchną kobietą, z siatki z zakupami na asfalt wysypały się pomidory. Przesadnie czerwone i mięsiste. Jakiś żołnierz ze zmarszczkami od uśmiechu i uzi w rękę zapytał, czy dobrze się czuję. Jego głos zaatakował bębunki w moich uszach. Drżałam, biegłam dalej. Wszystko było nieznośnie jaskrawe i głośne. Oparłam się o ścianę, poczułam na plecach czyjaś dłoń, krzyknęłam, strząsnęłam ją, zrobiłam na oślep kilka kroków. Biegłam do morza. Gdy strach nieco zelżał, upadłam na piasek. Morze było spokojne. Zamknęłam oczy, usiłując odtworzyć twarz Eliszy, ale żaden obraz się nie pojawiał. Rzęsy miał brązowe czy czarne? I jak bardzo odstawało mu prawe ucho? Znów zaczęłam się trząść, pociłam się, trzęsłam, pociłam. Usiadłam w kawiarni, zamówiłam zimne mleko.

Oddychałam głęboko, z brzucha, przyglądałam się przechodniom. Gdy przestali mi już zagrażać, poszłam do toalety i zmyłam z siebie pot. Wróciłam do stolika, zadzwoniłam do pracy, powiedziałam, że skręciłam nogę, i zamówiłam kolejne mleko. Widziałam go, jego i tylko jego. Potem ktoś zamachał

z przeciwnej strony ulicy i zawołał moje imię. Tym razem to nie była halucynacja. Daniel, z zaczerwienionym od słońca nosem i wielkim plecakiem, podszedł do mnie z uśmiechem.

– Wiedziałem, że prędzej czy później tu wylądujesz – powiedział, rzucając plecak na krzesło obok mnie.

Prawie się nie zmienił, tylko skórę miał czerwoną, trochę się zaokrąglił.

– Wracam z Libanu, chciałem wyrobić sobie obraz sytuacji. Jakoś miałaś rację. To, co robi Izrael, naprawdę nie jest w porządku. Akurat teraz to byłby piękny gest, gdyby oddali zajęte tereny.

– W sześćdziesiątym siódmym to też byłby piękny gest. I w ubiegły czwartek. Tu przecież nie chodzi o piękne gesty. Kompletnie cię pogięło?

Serce znów biło spokojnie, światło się zmieniło. Nadszedł wieczór.

– Ale akurat teraz! Pomyśl tylko! – wykrzyknął z euforią.

– Co to w ogóle ma znaczyć – przerwałam mu. – Piękny gest? Niezgładzenie Żydów też byłoby pięknym gestem. I co w ogóle masz wspólnego z Palestyną?

– Uczyłem tam w obozie dla uchodźców. Lubili mnie. Wiesz, czasem rozmawialiśmy o konflikcie.

– I co im opowiadałeś?

– No co ty. Opowiadali prawie wyłącznie oni. Jakie to wszystko było straszne. Z Izraelem. Te wszystkie niesprawiedliwości i wojny. Nie miałem pojęcia. A z ciebie nie można było przecież nic wydobyć. Opowiadali, że nienawidzą Żydów. Życzą im śmierci. Próbowałem to korygować. Mówiłem, że to źle nienawidzić Żydów. Że nie można wrzucać wszystkich do jednego worka. To były jeszcze dzieci. Sześciolatki, siedmiolatki. Mówiłem, że to nie Żydzi są winni. Izraelczyków, tych spokojnie mogą nienawidzić.

Straciłam kontrolę. Nawet nad własnym ciałem. Zostawiłam Daniela w knajpie, wróciłam do domu i nalałam sobie kieliszek wódki. Gdy alkohol zaczął działać, grzać mnie od środka, weszłam pod prysznic, zimnym strumieniem zmyłam upał ze skóry, owinęłam się w ręcznik i wypięłam jeszcze jeden kieliszek. Potem sięgnęłam po telefon, naciskałam klawisze powoli, jakbym zapomniała, jak to się robi, i gdy Cem zgłosił się na drugim końcu, rozplakałam się i rozłączyłam. Oddzwonił.

– Pomyliłam numery – powiedziałam.

– Kłamiesz – odparł spokojnie. – Jak się masz?

Wysłałam z telefonem na taras. Było już ciemno. Komary brzęczały w kręgach światła ulicznych latarni. Na balustradzie siedział karaluch, zdjęłam but, wycelowałam, rozgniotłam go i butem zmiołam jego ciało z balustrady. Znowu zaczęłam płakać, łzy wylewały się z mojej przepony, z brzucha, z jelit, nie mogłam się opanować, płakałam i płakałam. Urywane łkanie, staccato odbierające oddech. Ręce znowu zaczęły drżeć. Bałam się. Ale tym razem słyszałam oddech Cema na drugim końcu linii, na drugim końcu świata, więc po chwili mój oddech się wyrównał. Dopiero wtedy powiedział:

– Masza, niedługo przyjadę.

Faktycznie przyjechał. Dobry. Mój pocieszyciel. Zapytałam przez telefon, co chciałby zobaczyć, odpowiedział, że wystarczy, jak pojedziemy do Jerozolimy, nawiasem mówiąc, jest tutaj, żeby sprawdzić, co ze mną, a nie czekać na Górze Oliwnej na Sąd Ostateczny.

Nigdzie nie pojechaliśmy, leżeliśmy na plaży, dbając, żeby to drugie nie dostało poparzeń od słońca. Pływaliśmy, ale woda nie chłodziła, bardziej od morza cieszyliśmy się prysznicem na plaży. Przed nami biała rosyjskojęzyczna babcia bawiła się z wnukiem.

– Będzie miał trudno – Cem wskazał na chłopca.

– A może jednak nie?

Popatrzył na mnie drwiąco.

– Niedługo zrozumie, że jest inny niż ona. Jeszcze myśli, że wszyscy są równi. Ale wkrótce zauważy, że jest czarny.

– Kiedy ty poczujesz, że jesteś inny?

– W podstawówce. Czwarta klasa, tuż przed tym, nim zdecydowano, kto się nadaje do gimnazjum. Do naszej klasy przyszedł nowy. Pierre-Marie. Nauczycielki były nim zachwycone. Prawie nie mówił po niemiecku, ale wszyscy uważali, że jest piekielnie inteligentny, bo był Francuzem, i sądzili, że już po tygodniu będzie mówił perfekcyjnie. Rozejrzałem się po klasie: sami *Kanaken*. Marcel mówił po włosku, Georgi po grecku, Taifun po turecku, Farid po persku i ormiańsku, tak samo jak jego siostra bliźniaczka. I wszyscy po niemiecku, bez akcentu. Ale nikt z nas nie został uznany za wystarczająco inteligentnego,

żeby pójść do gimnazjum, lepiej byłoby, gdybyśmy znaleźli się w szkole zawodowej. Uważali, że rodzice nie będą nas wspierać. Pomyślałem o dziadku, który zawsze powtarzał mnie i bratu, że turecki jest językiem przodków, arabski modlitwy, a perski językiem miłości. Co za bzdury. Chyba wtedy postanowiłem nauczyć się tych ich wspaniałych języków lepiej niż oni, pokazać im, im i tej ich kulturowej hegemonii.

Babcia z czułością zakładała wnukowi skrzydełka do pływania. Morze było błękitne i gładkie.

– Później stale mnie pytali: Skąd jesteś? Albo: Kim się czujesz, Niemcem czy Turkiem? Jak miałem szesnaście lat, wezwali mnie do urzędu do spraw obcokrajowców w sprawie pozwolenia na pobyt. Co to w ogóle ma być? Urodziłem się tutaj. Nie mogłem nawet pojechać na wycieczkę maturalną do Londynu, nie dostałem wizy. Wiesz, co powiedziała moja nauczycielka? Jakbyśmy byli porządnymi ludźmi, to dawno już mielibyśmy niemieckie paszporty.

Popatrzył na morze. A potem wyszczerzył zęby i oznajmił:

– Ale ten mały nie robi głupstwa, wszystko przeczyta i wszystko zrozumie: wszystkich klasyków *postcolonial studies*, *critical whiteness studies*, teorii rasizmu, Fanona, Saïda, Terkessidisa. Nawiasem mówiąc, piszę doktorat.

Zmęczeni słońcem siedzieliśmy wieczorem w restauracji, jedliśmy duszone warzywa z ryżem. Brakowało klimatyzacji, więc tylko kilka stołów było zajętych, ale jedzenie dawali dobre, a wszystkie okna stały otworem. Gołe uda kleiły się do skórzanej tapicerki krzesła. Cem siedział naprzeciwko mnie i opowiadał o temacie swojej pracy doktorskiej, a ja próbowałam go wesprzeć, bo czuł się winny wobec rodziców, że nie zaczął od razu pracować. Przejechała karetka z niebieskim kogutem, umilkliśmy, popatrzyliśmy za nią i każde z nas zastanawiało się, czy to był atak terrorystyczny, czy wypadek.

– Co u Samiego? – zapytałam po chwili.

Cem popatrzył na mnie uważnie.

– Wrócił do Stanów.

– Aha.

– Kiedy ostatni raz z nim rozmawiałaś?

– Dwa miesiące temu, tak mi się wydaje.

– To wszystko?

– Co masz na myśli?

Napełnił mój kieliszek i odchylił się.

– Masza, od lat przyglądam się, jak się nawzajem unieszczęśliwiacie. Albo dacie sobie spokój, albo się zejdziecie.

– Wrócił do Nedy? – zagryzłam dolną wargę.

Cem niemal bezgłośnie zabębnił palcami o kant stołu.

– Nie rozumiem, co tu robisz – powiedział. – Plaża jest okej, jedzenie też. Ale czego tu szukasz?

– Sama nie wiem.

Powściągnął się, milczał. Wyraźnie widziałam, jak się stara, rozważa, na ile może być bezpośredni.

W końcu zapytał:

– Stałaś się religijna? Odkryłaś, że judaizm jest źródłem twojej tożsamości kulturowej?

– Musiałam wyjechać.

– Nie chcesz wrócić?

Przeciągnęłam palcem po brzegu talerza.

– Jeszcze nie.

– A kiedy?

Wydałam się sobie taka głupia, że prawie się rozplakałam. Byłam sama w obcym mieście, tęskniłam za przyjaciółmi, ale nie chciałam, żeby mnie zrozumieli, i nie mogłam pojąć, dlaczego tego nie chciałam.

– Wracaj do domu.

– Niemcy to dom?

– Nie mówię o Niemczech, sama wiesz, co tam się dzieje. Mam na myśli Frankfurt, Gallus.

– Tam umarł Elias.

– Nie w Gallus.

Na Rotschild Boulevard przypadkiem wpadliśmy na Oriego. Nadszedł w krótkich spodniach i podkoszulku, w prawej ręce dzierżył butelkę piwa, w lewej swój cholernie drogi telefon. Cem i on od razu się polubili, usiedliśmy w lodziarni. Okazało się, że mają taki sam gust, gdy idzie o literaturę, muzykę i modę. Poszliśmy do baru we Florentin, znajomy Oriego był tam didżejem.

Bar był zatłoczony, muzyka szybka. Większość ludzi stała i paliła, niektórzy już tańczyli.

Cem natychmiast ruszył na parkiet, Ori za nim.

Zdawało się, że Cem dobrze się bawi, nie stał jak zwykle ponuro, gdzieś z boku, czekając, aż będzie mógł sobie pójść. Obracałam słomkę mojego drinka i przyglądałam się im. Tańczyli zgrabnie, rytm zdawał się przenosić wprost z podłogi na ich ciała.

Muzyka rozbrzmiewała coraz głośniejsz. Zrobiło się ciasniej. Panika wpełzała powoli w moje wnętrze. Czułam, jak rozlewa się po klatce piersiowej, wysusza pęcherzyki płucne, wędruje w stronę głowy.

– Muszę do domu – szepnęłam Cemowi do ucha i wybiegłam.

Na zewnątrz zaczerpnęłam głęboko powietrza, ale to nic nie pomogło, oddychałam spazmatycznie, wsiadłam do taksówki, uchwyciłam się kurczowo drzwi i jakoś wylądowałam w domu. Dziesięć minut później przyjechał Cem, zaczął gładzić wnętrza moich dłoni, ramiona, twarz, jakby chciał przeprosić za coś, czemu nie był winny. Zadzwoił po karetkę.

Lekarz założył lateksowe rękawiczki, dał mi zastrzyk, patrzyłam, jak igła zagłębia się w moje ciało, a potem się uspokoiłam, niemal natychmiast. Oddech spowolniał. Strach, Eliza i kobieta w jasnoniebieskiej halce zniknęli. Głowa była jak otulona watą. Wielka pałeczka do uszu. Lekarz nakazał od razu jutro zgłosić się do pogotowia psychologicznego, żeby mi przepisali benzodiazepiny. Poza tym to nic wielkiego.

Zrobiło mi się lepiej, gdy tylko dostałam tabletki. Dowiedziałam się, że mój problem jest konkretny i że ten konkretny problem ma konkretne rozwiązanie chemiczne. Zasnęłam.

Po tym jak pół dnia spędziliśmy na oddziale psychiatrycznym, a Cem nieustannie błagał, żebym wróciła do Niemiec, usiedliśmy w kawiarni na Dizengoff. Zanurzyłam croissanta w mrożonej kawie, nie byłam pewna, czy to w tej kawiarni zabroniono pracownikom mówić po arabsku, czy w tej obok. Najchętniej zapytałabym o to właśnie po arabsku, ale Cem nie chciał nawet o tym słyszeć. Popatrzył na mnie, jakbym była wariatką, i wpadł w furję, zaczął grozić moją matką i ojcem, i swoją matką, której od wielu lat wszystko było obojętne. Nie przestawał mówić o Niemczech. Ale ja chciałam zostać, zatracić się po

kawałku i nigdy więcej nie odnaleźć.

Zaproponowałam, żebyśmy pojechali do Jerozolimy, po drodze, myślałam, da sobie spokój.

Na dworcu autobusowym kupiliśmy lody, zanim weszliśmy do budynku, żeby poszukać zbiorczej taksówki. Na trawniku przed dworcem siedzieli uchodźcy, czekali na pracę. W rosyjskojęzycznej prasie określano ich z niemiecka jako *gastarbeiterów*. Nie wiedziałam, czy istnieje ktoś, kto uznałby to słowo za trafione. W budynku dworca i wokół niego było wiele sklepików ze słodyczami i kolorowymi tanimi ubraniami. Mężczyźni w głęboko rozpiętych koszulach, ze złotymi łańcuchami kołyszącymi się między gęstym owłosieniem klatki piersiowej gniewnie mijali młodych żołnierzy w mundurach i sandałach.

– Wyłumacz mi, proszę, dlaczego chcesz tu zostać! – syknął Cem.

W taksówce siedziało pięć Azjatek, jedna z nich trzymała na kolanach foliową torebkę ze śliwkami, pozostałe częstowały się, zaśmiewały i paplały. Słodki zapach owoców wypełnił wnętrze samochodu. Jechaliśmy wzdłuż wyschniętych pól słoneczników, z radia leciał pop. Cem nie podziwiał widoków, przeglądał teczkę z materiałami na następną konferencję. Czytałam kątem oka: podatek od transakcji bankowych, prawo restrukturyzacyjne, uregulowana likwidacja instytucji kredytowych, okres przedawnienia odpowiedzialności osoby prawnej za działania własnych organów w prawie akcyjnym, problem z demonstrantami. Prawdopodobnie czuł się urażony.

Jerozolima nie zrobiła na nim wrażenia. Oczarowały go tylko tabliczki, na których złotymi literami w alfabecie łacińskim wypisano, kto ufundował jakiś budynek, ławkę w parku czy rabatę kwiatową. Spacerowaliśmy po śródmieściu, a on przyglądał się każdej tabliczce, pytał, czy znam darczyńcę, czy jest szczęśliwy, czytając własne nazwisko.

Wieczór był chłodny, przepychaliśmy się między chrześcijańskimi pielgrzymami, wielkimi rodzinami arabskimi, minęliśmy grupę amerykańskiej młodzieży z Taglit^[16] zapatrzonej w ochraniających ją uzbrojonych żołnierzy. Ulicami spieszyli także ortodoksi, mężczyźni w ciemnych płaszczach i kapeluszach o szerokich rondach, kobiety w perukach albo w chustkach. Wielu z nich było ubranych biednie, prawie wszystkich otaczały chmary dzieci. Cem kręcił głową, a ja znowu byłam gotowa bronić stylu życia, który odrzucałam. Ale milczał, a ja milczałam razem z nim.

Ten sam kierowca zawiózł nas do Tel Awiwu. Tyle że tym razem jechaliśmy z grupą bucharskich ortodoksów, którzy dyskutowali głośno po rosyjsku. Jeden po drugim zaczęli wyjmować z toreb tefiliny i książki do modlitwy. Najmniejszy z grupy napomniął Cema po hebrajsku, żeby też założył tefilin. Ale on wzruszył tylko ramionami i wrócił do swoich słówek. Mężczyźni zaczęli się śpiewnie modlić.

Trzy dni później Cem odleciał do Frankfurtu sam.

XIII

Rano znalazłam w skrzynce list od Elke. Jej staranne pismo na śnieżnobiałym papierze.

Podarłam go na strzępki i wyrzuciłam do kosza. Ogarnęła mnie pokusa, żeby ten kosz podpalić, ale było jasno, na ulicach ludzie w drodze do pracy. A więc także udałam się do biura.

Na sznurach do suszenia prania wisały dziecięce piżamy i majtki, biało-niebieskie flagi trzepotały, dojeżdżający do pracy czekali na przystankach autobusowych, auta trąbiły, myślałam, że asfalt się roztopi pod podeszwami moich sandałów. Przed pocztą, gdzie zwykle wszyscy się tłoczyli, popychali i krzyczeli, stały liczne samochody policyjne i grupka przyjaźnie spoglądających mężczyzn. Zapytałam, co się dzieje.

– Nic – powiedział jeden z czekających. – Pewnie bomba, jednostka specjalna rozbroi plastikową torbę, zaraz będziemy mogli wejść.

Dotarłam do biura wykończona, lepka od potu. Na moim biurku leżały trzy teczki dokumentów do przetłumaczenia. Na tej z wierzchu żółta karteczka z napisem „pilne”. Raporty kilku grup izraelsko-arabskich, wspieranych przez fundację znacznymi sumami. Tego dnia w końcu przysłały protokoły ze swojej działalności kulturalnej – żydowsko-arabska impreza dla seniorów, na której obecnych było piętnaście osób, nauka pisania dla kobiet beduińskich, liczba uczestniczek: pięć. Koordynatorka projektu rozpisywałą się o spotkaniu tych kobiet z izraelską autorką opowiadań o kotach. A potem słowa rozpadły się na kreski i kropki, znów pojawiły się duszności, jakby jakaś ręka zacisnęła mi się na gardle. Myślałam, że to Elias. Zamknęłam się w toalecie, połknęłam kilka tabletek benzodiazepinu, uspokoiłam się. Zadzwoiłam do Oriego, ale nie odbierał. Zostawiłam mu wiadomość, poprosiłam, żeby przyjechał po mnie do pracy. Odezwał się godzinę później, zapytał, czy to pilne. Opowiedziałam o liście od Elke.

Punktualnie o szóstej czekał przed biurem. Sprawiał wrażenie spiętego. Na powitanie pocałował mnie w policzek, od tamtej pierwszej nocy nic się między nami nie wydarzyło, ale coś się jednak rozwinęło. Może nawet przyjaźń.

– Jesteś głodny?

– Nie – mruknął.

– A mógłbyś mi potowarzyszyć, jeśli to nie problem?

– Może być, znam tu coś w okolicy. Jedźmy.

Wsiedliśmy na skuter, Ori zawiózł nas do kawiarni na Allenby Street. Należała do znanej sieci, przy barze stała długa, nieuporządkowana kolejka klientów czekających, by móc opuścić to miejsce z papierowym kubkiem kawy w dłoni.

Ori wypatrzył wolny stolik w najdalszym kącie, podszedł do niego zdecydowanie. Wolałabym pójść gdzie indziej, ale coś w jego twarzy, zaciekłość, której nigdy jeszcze nie widziałam, kazały mi usiąść naprzeciw niego. Dwóch mężczyzn przy sąsiednim stoliku prowadziło głośną rozmowę na temat szans

awansu klubu futbolowego Hapoel. Rozumiałam tylko strzępki zdań, piłka nożna kompletnie mnie nie interesowała.

Kelner popatrzył dziwnie, gdy poprosiłam o menu po arabsku. Uznał, że to żart, przemówił do mnie po hebrajsku. Gdy odpowiedziałam łamaną hebrajszczyzną, rzucił mi lekceważące spojrzenie. Arabskiego menu nie ma.

– Przetłumaczę ci – wtrącił się Ori.

– To coś nowego – zadrwiłam.

Popatrzył na mnie poirytowany.

– Możemy pójść gdzie indziej? – zapytałam.

Zatrzasnął menu i rzucił je na stół.

– Stajesz się coraz bardziej podobna do Tal.

– Na tej ulicy jest co najmniej dwieście restauracji.

– I jestem pewien, że żadna nie ma arabskiej karty. Nie możesz choć jednego wieczoru wziąć się w garść?

– Co się z tobą dzieje?

Oparł łokcie na stole i zmierzył mnie wzrokiem.

– Spotkałem się dziś z kolegami z jednostki. Zaproszono nas na kolację.

– Jedzenie ci zaszkodziło?

– Byliśmy u matki tego chłopaka, który z nami służył, a później zginął w Libanie. Właściwie chciałem się z nimi jeszcze czegoś napić, ale zadzwoniłaś, mówiłaś takim głosem, jakbyś miała zaraz wybuchnąć płaczem.

– Przykro mi – głos mi zadrżał.

– Jak chcesz iść, to chodźmy – wyjął z torby banknot, położył go pod popielniczką i wstał. Nie wiedziałam, co robić, więc nie ruszyłam się z miejsca.

– No już. Idziemy.

Znów wsiedliśmy na skuter, pojechaliśmy kilka ulic dalej. Drzwi otworzył wyrośnięty, niezgrabny mężczyzna. Przybili sobie z Orim piątkę. Zaprowadził nas na taras. Na wystrzępionych kanapach siedziało pięciu chłopaków, wszyscy boso, w krótkich szortach. Trzech miało na kolanach gitary, ale tylko jeden grał. Ori przedstawił mnie, od razu zaproponowali mi piwo i jointa. Przyjęłam oba, podziękowałam i usiadłam obok Oriego na wolnej kanapie.

Milczeliśmy, od czasu do czasu ktoś przynosił piwo albo skręcał kolejnego jointa. Pożegnaliśmy się po kilku godzinach.

– Dziś jedziesz ty – Ori rzucił mi kluczyki.

– Naprawdę?

– Jestem pijany – odparł.

Rzeczywiście, na balkonie wlewał w siebie jedno piwo za drugim.

Założyliśmy kaski, Ori usiadł za mną, objął mnie w pasie. Włączyłam silnik, krótko zawył, wyjechałam na nadmorską promenadę. Po prawej stronie, w ciemności spokojne morze, po lewej błyszczące światła miasta. Nieliczne samochody.

Dodałam gazu, pochyliłam się do przodu, przyspieszyłam. Ori ścisnął mnie mocniej. Ale we mnie coś wstąpiło, przyspieszałam, w ostatniej sekundzie wymijając nadjeżdżające z naprzeciwka samochody albo

po prostu odczekując, aż one mnie wyminą.

Gdy zwolniłam i w końcu zatrzymałam się na skraju ulicy, Ori natychmiast zeskoczył, zdjął kask i wrzasnął:

– Chciałaś nas zabić?

Klapnął na krawężnik, złapał się za głowę. Jego plecy drżały. Usiadłam obok, wzięłam go za rękę, uścisnęłam ją. Ale nie zareagował.

XIV

Tal siedziała na skraju łóżka i nerwowo międlila koniuszek kołdry. Nie wiedziałam, jak weszła do mojego mieszkania.

- Co się stało? – zapytałam.
- W ogóle się nie cieszysz, że mnie widzisz?
- Właśnie się obudziłam.
- Mam sobie iść? – wstała i rozsunęła zasłony.

Pokój zalało ostre, jasne światło. Odwróciła głowę w moją stronę, wargi miała przekornie zaciśnięte, oczy zadziornie błyszcząły. Czekala, aż się odezwę, ale postanowiłam nie wyświadczać jej tej uprzejmości.

Uparcie broniła się przed miłością do mnie. Nic sobie z tego nie robiłam, nie rozumiałam tylko dlaczego. Powiedziała, że gwizdże na związki, zwłaszcza na romantyczne związki dwóch osób. Chcąc mnie poinformować o czymś nieprzyjemnym, zaczynała zdanie od *motek* albo *mummy*, co po hebrajsku znaczy „skarbie”, prawie codziennie słyszałam: „Skarbie, nie kocham cię”, albo „Skarbie, dziś nie mam ochoty się z tobą zobaczyć”. Z drugiej strony jeszcze była. Tutaj, u mnie.

Usiadłam, przyglądałam się, jak chodzi po pokoju, nerwowo wrywając jeden włos po drugim.

– Chciałabyś spędzić ze mną dzień? – zapytała od niechcienia, błędząc niewzruszonym wzrokiem po pokoju.

- Nałykać się gazu łzawiącego?
- Wolałabyś zmarnować dzień na plaży?
- To by mi się podobało.

Kiedy ostatni raz z nią demonstrowałam, stałyśmy na ruchliwym skrzyżowaniu, wykrzykując jakieś hasła. Było z nami może ze trzydzieści osób, prawie sami biali, Żydzi. A wokół stało co najmniej tyle samo innych, którzy wyzywali nas od zdrajców ojczyzny i sukinsynów. Jeden człowiek nas opluł, drugi zamachnął się na Tal wielką siatką z zakupami. Policjanci ich odciągali. Znalazłam się na skraju grupy demonstrantów obok dwóch chłopaków rozważających cicho po arabsku, którą lewaczkę wypierdolić jako następną. Lewaczki jako jedyne rozkładają nogi przed Arabami, oznajmił młodszy. Szkoda tylko, że po wszystkim zawsze chcą rozmawiać o polityce, dodał starszy.

- Masza, jak chciałabyś przeżyć życie?
- W spokoju.
- Serio?
- Tak.

Tal zatrzymała się, skrzyżowała ręce na brzuchu. Z wyrachowaniem wpatrywała się w moje usta. Nie

poddam się. Wykorzystam wszystkie karty. Tyle że jej nie przekonam tak łatwo, a przede wszystkim nie tak szybko jak Eliszę.

– A więc chciałabyś odsiedzieć tutaj swój czas? Słońce, dobre jedzenie, trochę seksu... Nic innego cię nie interesuje, co? – podciągnęła nogi, objęła kolana.

– Moje miejsce w słońcu, właśnie tak.

– Nie wierzę.

Wstała, znów zaczęła chodzić, chaotycznie.

– Wszystko, czego chcę, to bieżąca woda, prąd i spokojne miejsce, w którym nikogo nie zabijają – odpowiedziałam.

– To miałaś w Niemczech. Nie było powodu, żeby tu przyjeżdżać.

Nie wspomniałam jej o Eliście i jego śmierci. Przeszłam bosą po pokoju, na podłodze zalegał piasek przyniesiony najpewniej przez nią z plaży. Zawsze chodziła bosą, po klatce schodowej, po ogrodzie, cały brud kleił jej się do stóp i w końcu lądował na mojej podłodze i w moim łóżku.

– Moja babcia jeszcze czasem wspomina Niemców miłujących pokój – dodała.

– Myślisz, że moja nie?

– Demonstracja jest w Szejk Dżara. Musimy iść.

Weekend spędziłam z Orim i Tal w domu ich rodziców, którzy wyjechali do Europy. Chcieliśmy wykorzystać ten czas, żeby porozmawiać. O rodzicach Oriego i Tal można powiedzieć, że reprezentowali coś w rodzaju izraelskiego pokolenia Mayflower^[17]. Ojciec dorastał w kibucu na północy kraju, matka w przestronnym mieszkaniu w Tel Awiwie. Gdy w państwie coś się działo nie tak, odbierali to osobiście. Ich dziadkowie wyemigrowali z Europy Wschodniej nielegalnie, jeszcze przed utworzeniem państwa Izrael, byli pionierami, własnoręcznie osuszali bagna.

Ojciec służył w spadochroniarzach i nie był specjalnie wrażliwy. Aż do dnia, gdy w zamachu podczas drugiej intifady zginęli jego siostra i jej mąż. Jechali na bar micwę Oriego. To nieszczęście zmieniło całą rodzinę: Tal stała się wojownicza, Ori bojaźliwy. Rodzice nie pielęgnowali pragnienia zemsty, kupili małą winnicę na północy i wycofali się – w nadziei, że będą w stanie utrzymać dzieci z dala od intifady. Produkowali zaledwie kilka tysięcy butelek w sezonie, rodzinny interes stanowiły nieruchomości wynajmowane turystom.

Winnica była prawdziwą idyllą, ale Tal i Ori nieustannie dyskutowali o polityce. Kłócili się po hebrajsku, więc nie rozumiałam szczegółów. Wiedziałam, że Oriemu dawno już zbrzydła polityka realna, był zresztą przekonany, że jest za późno, by podzielić kraj na dwa państwa. Tal była Tal, a ich rodzice, którzy również chadzali na demonstracje na rzecz podziału, winę przypisywali izraelskiej prawicy i osadnikom. Przestali wierzyć w cokolwiek. Cała rodzina wiedziała, że zginie jeszcze więcej ludzi.

Kłótnia osiągnęła apogeum, gdy Tal stwierdziła, że Ori używa izraelskiego kremu do golenia produkowanego na Terytoriach Okupowanych. Znalazła go w łazience i przyniosła do ogrodu, gdzie graliśmy w badmintona. Uniosła tubkę z obrzydzeniem, jakby trzymała martwego szczura.

– Czyje to jest? – zapytała.

Ori ze spokojem odłożył raketkę na trawnik.

– A jaki masz problem?

Na co Tal wygłosiła długą i płomienną mowę, którą równie dobrze moglibyśmy przeczytać na portalu Who Profits. Wpadała w coraz większą furję, aż Ori złapał ją za ramiona i mocno potrząsnął.

– Wystarczy – powtarzał raz po raz – wystarczy. Wystarczy.

Wybuchła płaczem, zabębniła pięściami w jego pierś. Uderzała, a on ją trzymał, uderzała, a on trzymał, ja stałam w kącie, ściskając w rękach raketkę. W pewnym momencie Tal przytuliła głowę do piersi Oriego i załkała.

Później siedziała na kanapie i oglądała telewizję. Ja stałam w drzwiach, obserwowałam ją. Ori był na górze w swoim pokoju. W końcu przysiadłam się do niej, nie odezwała się. Miała chronicznie złe ukrwione ręce, były więc zawsze zimne, ale teraz wydały mi się zimniejsze niż zwykle. Zrobiłam jej

herbatę, której nie tknęła. Ułożyłam jej dłonie wokół filizanki, żeby je ogrzać, odgarnęłam z twarzy kosmyk włosów i pojęłam, że wszystko stracone.

Wieczorem położyła się w wannie, usiadłam na brzegu. Chociaż woda była ciepła, Tal dygotała, nie mogła się opanować. Pilnowałam, żeby nie zanurzyła głowy. Gdy wyszła, ostrożnie ją wytarłam. Miała gęsią skórkę, jej nogi wciąż jeszcze lekko drżały. W pewnym momencie osunęła mi się w ramiona, jej ciało stało się nagle ciężkie, zawlokłam ją do łóżka. Przebrałam ją w piżamę matki i położyłam się obok. W środku nocy usłyszałam, jak wstaje, ale udawałam, że śpię, pozwoliłam jej odejść.

Następnego ranka Ori oznajmił, że jeszcze tego samego dnia wylatuje do Indii. Właściwie już za trzy godziny. Tal nie było, na kuchennym stole zostawiła karteczkę. „Jestem na Synaju, muszę pomyśleć”.

Słońce oślepiało. Zapomniałam okularów, mrużyłam oczy. Ulica była zatłoczona, poruszaliśmy się żółtym tempem, w innych samochodach ziewali dojeżdżający do pracy.

Ori był cichy, skoncentrowany i spięty, co dwie minuty zmieniał stację radiową. Z naprzeciwną nadjechał dżip z żołnierzami. Zamachał do nich. Odwzajemnili pozdrowienie.

Było późno. Zaparkowałam, Ori wypadł z auta. Podreptałam za nim. W kolejce stała grupa bułgarskich turystów. Większość miała na głowie czapki z logo biura podróży, przypinki z nazwiskami i wielkie złote krzyże. Ori z zasady odnosił się do języków słowiańskich z antypatią. Kolejka nie posuwała się, turyści mówili szybko i dużo. Wymieniali się wrażeniami jak dezorientowane mrówki. Mała dziewczynka marudziła, chciała, żeby ojciec wziął ją na ręce.

Ori patrzył na nich z zazdrością. Jego wzrok wędrował od jednej twarzy do drugiej i coraz bardziej się zasępieł. Boarding miał się zacząć za kwadrans. Pogładził mnie po twarzy i powiedział:

– Spróbuję ich wyminąć.

Pogrzebał w torbie, wyjął paszport i pocałował mnie w policzek. Prawą ręką dotknął mojego podbródka. Przyjrzał mi się, jakby chciał dokładnie zapamiętać moje rysy.

– No to na razie – powiedziałam, nie mogąc znieść jego wzroku.

– Jak wrócę, już cię tu nie będzie.

– Skąd wiesz?

– Jesteś kobietą, która szybko się zakochuje.

– Gdybyś ty wiedział – zaśmiałam się.

Lewą ręką wykonał gest, który mógł znaczyć wszystko. Ruszył w stronę okienka. Biegiem minął turystów, odsunął na bok przewodnika, wyglądał jak amerykański futbolista. Niebieski izraelski paszport trzymał jak lancę na wysokości piersi. Gdy dopadło go dwóch tajniaków, gdy rzucili go na podłogę i zaczęli zakładać mu kajdanki, pomyślałam, że naprawdę jestem na amerykańskim stadionie. Turyści unieśli aparaty, ale inni funkcjonariusze krzykiem zabronili im dokumentowania sceny.

Roześmiałam się. Nie mogłam pojąć, że coś takiego znów się dzieje na tym lotnisku. Śmiałam się tak zaraźliwie, że zawtórowali mi nawet turyści. Podbiegłam do funkcjonariuszy, popatrzyli na mnie zaskoczeni i odstąpili od Oriego. Jeden wycelował we mnie broń, stłumiłam śmiech, ale znów wybuchłam, w końcu przestałam, widząc urażony, upokorzony wzrok Oriego.

Usiedliśmy później w biurze kierownika zmiany. Zarówno on, jak i ten pokój wyglądali tak samo jak wtedy, gdy przeprowadzono egzekucję mojego komputera.

Na stole przed nami stały słone ciastka i termos z kawą. Ori kręcił głową, kierownik uśmiechał się do mnie z profesjonalnym optymizmem. Miał szarawo połyskujący garnitur i duże okulary słoneczne zsunięte

na ogoloną na łyso głowę.

– Jak się pani podoba Izrael? – zapytał, podsuwając mi talerz z ciastkami, wzięłam od razu trzy.

Zjadłam szybko, to był pierwszy posiłek od poprzedniego wieczoru.

– Opaliła się pani – stwierdził z zadowoleniem. On także mnie rozpoznał.

– Tak pan sądzi?

Popatrzyłam na swoje ręce. Przedramiona w ostatnich tygodniach faktycznie wyraźnie zbrązowiły.

– Do twarzy pani z opalenizną – wyszczerzył zęby.

– Dziękuję.

– Jak długo to jeszcze potrwa? – zapytał Ori.

– Och, może potrwać dłuższą chwilę – odpowiedziałam, a kierownik skinął ze znawstwem głową.

– Co z pani komputerem? Dostała pani odszkodowanie?

– W ubiegłym miesiącu.

– To dobrze – uśmiechnął się szerzej.

– Czekałam cztery miesiące, a poza tym zwrócono mi tylko osiemdziesiąt procent ceny. Co w tym dobrego?

– Wie pani, jak długo moja babka musiała czekać na odszkodowanie z Niemiec? – najwyraźniej umiał się śmiać tylko na jednym tonie.

– To nie zadziała, ona jest Żydówką – wtrącił się Ori.

– Ach, nie jest pani szikse?

– Jej dziadkowie przeżyli Holokaust.

– ORI! – krzyknęłam.

– Co Ori? Jak gramy w żydowskie Monopoly, to przynajmniej grajmy uczciwie.

– Chce pani jeszcze ciastko?

Wzięłam ciastko. Było rozmiękle.

Kiedy nie pracowałam i nie było za gorąco, spacerowałam po Tel Awiwie. Przy wejściu na targ, obok skrzyżowania trzech głównych ulic, tego lata pojawił się Jezus. Był mocno zbudowanym mężczyzną o grubych rysach twarzy i długich, przybrudzonych jasnych włosach, nosił togę z czerwonego aksamitu. Przez pierwsze dni pocił się niemiłosiernie, zawsze miał pod ręką butelkę z wodą. Po jakimś czasie zaczęli się przy nim gromadzić hipisi i turyści, a on głosił nauki na temat sensu życia. Już nie potrzebował tyle wody.

Tal znikła. Nie dzwoniła, nie odpowiedziała na żadną z trzydziestu trzech moich wiadomości. Jej dłoń na moich pośladkach, kiedy zasypialiśmy, oddychając zgodnym rytmem, była od śmierci Eliasa pierwszą rzeczą, która miała sens. Każdego wieczoru miałam nadzieję, że wróci, co rano mijałam jej dom, żeby sprawdzić, czy czasem jej nie ma.

Targ Karmel był zacieniony, pachniał owocami. Pomarańcze, arbuzy, owoce opuncji błyszcząły, sprzedawcy każdej klientce wyznawali miłość. Flirtowałam po arabsku i po hebrajsku, a mimo to płaciłam więcej niż starsi Rosjanie, którzy patrząc spode łba, niechętnie wypuszczali z palców pieniądze i już o siódmej rano odbywali morskie kąpiele. Uwielbiałam też stoiska z sokami, były na każdym rogu, obsługiwane głównie przez mężczyzn o mocno owłosionych rękach. Cięli pomarańcze na pół jak na gilotynie, rozgniatali je na wyciskarce. Połyskująca tłusto skórka lądowała w śmieciach.

Właściwie każdy dzień był tak samo parszywy jak inne. Wgapiałam się w komórkę, zaklinając ją, co kwadrans sprawdzałam maile, biegłam do okna, słysząc przejeżdżający motocykl. Co w końcu zdarzało się dość często, bo mieszkałam przy jednej z głównych ulic.

Raz próbowałam odwiedzić ciotkę numer 13. Na checkpointie wysiadłam z autobusu, ale nie mogłam wejść do osiedla. Niekoniecznie z powodu Tal, raczej na widok trzech palestyńskich podrostków czekających przy płocie, aż jakiś izraelski pracodawca weźmie ich na budowę. Nielegalna praca w nielegalnym osiedlu. Wróciłam do Tel Awiwu taksówką.

Hannah także straciła zapał. Przestała dzwonić, a kiedy ja telefonowałam, była oschła. Zasłaniała się pracą, chłopakiem, psem, którego nie miała. Nie wiedziałam, co się stało, czy w ogóle coś się stało. Szukałam powodu tego braku zainteresowania.

Kilka miesięcy później spotkałam ją przypadkiem na ulicy z brzuchem jak piłka. Nie wiedziałam, że jest w ciąży, uraziło mnie to. Tydzień po naszym spotkaniu zadzwoniła z zaproszeniem na *baby party*, uprzejmie odmówiłam.

Gdy moje zwątpienie osiągało apogeum, szłam na plażę. Pewnego dnia siedziało przede mną dwoje turystów, obejmowali się. Ona była jasnowłosa i wysoka, mniej więcej pięćdziesięcioletnia, miała piegowate plecy. On – prawie łysy, z ciężkimi złotymi łańcuchami na szyi, około siedemdziesiątki.

Obydwoje jak urzeczeni obserwowali mecz matkota^[18], ich głowy odwracały się równocześnie za piłką, a gdy wypadła na aut, kręcili nimi z dezaprobatą.

Kobieta tuż przede mną odwróciła się na plecy, a ja pomyślałam o Annie Frank. Przeczytałam jej dziennik, gdy miałam jedenaście lat, i zrozumiałam, że nie jestem jedyną kobietą pożądaną kobiet i że nic się nie wyklucza. Homoerotyczne fragmenty dziennika uspokajały mnie i podniecały, tak jak widok tej kobiety, leżącej przede mną z rozchylonymi nogami. Obserwowałam ją już od pół godziny. Słońce na przejrzystym niebie bez jednej chmury paliło, choć był jeszcze ranek.

Moja komórka zawibrowała, wyświetliło się imię Samiego. Dawno z nim nie rozmawiałam, ucieszyłam się, cieszyłam i cieszyłam, a potem się zacięłam, miałam nadzieję, że się nie zorientuje.

Zapytał, czy moglibyśmy spotkać się w Wiedniu.

– Ale żadnych innych problemów nie masz? Przyjedź lepiej tutaj.

– Z moim paszportem? Nie, dziękuję. Już zapomniałaś? Urodziłem się w Bejrucie.

– Tak bardzo chciałabym cię zobaczyć – wymknęło mi się jednak.

– Właśnie wysłałem ci mailem rezerwację.

– Jaką rezerwację?

– Hotelu i samolotu.

Kobieta przede mną odwróciła się na brzuch.

– Cem i ja zgłosiliśmy cię na egzamin.

– Na jaki egzamin?

– United Nations Competitive Examination for Russian Language Interpreters, w Wiedniu.

– Robisz sobie ze mnie jaja.

– Nie.

– Sami, nie jestem przygotowana.

– Daj spokój. Cem też uważa, że powinnaś wydostać się z tego Bliskiego Wschodu.

– Cem sam jest z Bliskiego Wschodu, a wy nie mogliście tak po prostu zgłosić mnie na egzamin.

– Mogliśmy – Sami się zaśmiał. – Sfałszowaliśmy twój podpis.

– Kiedy?

– Dwa tygodnie temu, jak Cem był u ciebie.

– Oszaleliście?

– Przyjedziesz?

– Coś ci jeszcze chciałam powiedzieć...

– Co?

Zapadła cisza. Słyszałam jego oddech, mogłam powiedzieć wszystko, ale powtórzyłam tylko:

– Nie jestem przygotowana.

XVII

Mój szef był niskim, krępy męczyzną z niewielkim brzuszkiem, nosił drogie garnitury z lekkich materiałów. Zaprosił mnie do swojego gabinetu na poważną rozmowę. „Poważna rozmowa”, tak się wyraził, a ja się wystraszyłam, że odkrył, iż moje stanowisko jest zbędne. Gdy weszłam, stał za biurkiem. Prawą ręką wskazał dwa fotele w lewym rogu. Nad nami wisiał portret pani kanclerz.

Podeszłam, chciałam usiąść na jednym z nich, ale powiedział:

– To jest moje miejsce.

Wyrzucił mnie, pomyślałam i usiadłam w drugim fotelu.

– Masza, w ostatnim czasie mamy niewiele pracy, sytuacja polityczna jest dość stabilna, ale też podlegamy poważnym cięciom budżetowym. Jesteś u nas dopiero od niedawna.

Oddechnęłam głęboko.

– Opowiem ci o hierarchiach. Jak wiesz, jestem twoim szefem i dlatego zasadniczo powinnaś wykonywać moje polecenia. Odnoszę wrażenie, że niezbyt się tym przejmujesz. Wiesz, ja też mam szefa, a mój szef ma swojego szefa. – Popatrzył mi w oczy, sprawdzając, czy jego słowa wybrzmiewają w mojej duszy. Potem wskazał palcem prawej ręki na portret. – Tego szefa niespecjalnie lubię. Czy chciałem, żeby rządził mną ktoś ze Wschodnich Niemiec? Czy w ogóle lubię Wschodnie Niemcy? Nowe kraje związkowe, śmiechu warte. Ale robię, co mi każą, i płacę podatki. Rozumiesz?

Skinęłam głową.

– W przyszłym tygodniu przejeżdża z Berlina nasz nowy przełożony. Wiesz, że nasza pozycja nie jest szczególnie mocna, większość pieniędzy płynie teraz do biur na terytoriach arabskich. Fundacje działające w Izraelu dostają coraz mniej. To ogólny trend.

Skinęłam.

– Będę musiał przeprowadzić z nim kilka poważnych rozmów. Przedstawić naszą pracę i nasze projekty. Nie pojawi się tu sam, lecz w towarzystwie.

– Żony?

– Niekoniecznie.

– Aha.

– Pani, która będzie mu towarzyszyć, przyjeżdża tu po raz pierwszy i chciałbym, żebyś się o nią zatroszczyła.

– Dlaczego ja?

– Jesteście równolatkami. Pojedziesz z nią do Jerozolimy.

– Nie mówię po hebrajsku.

– Słyszałem, jak mówisz. Nie rób ceregieli.

– Co ona tam w ogóle chce robić?

– Przejść się po targu, kupić trochę przypraw... Bo ja wiem? Ja muszę rozmawiać z nim, ona potrzebuje niańki.

– Jestem tłumaczką.

– Właśnie. Możesz się targować o te przyprawy po arabsku.

Następnego ranka pojechałam po moje zlecenie. Czekala przed hotelem, w bardzo krótkiej skórzanej spódnicy i ciemnych designerskich okularach. Miała długie włosy z jasnymi pasemkami i manicure. Stwierdziwszy, że nie ma w torbie yorka, uznałam, że mam jednak szczęście. Na powitanie pocałowała mnie w oba policzki.

– Jestem Maya. Dziękuję, że ze mną pojedziesz.

– Cała przyjemność po mojej stronie – próbowałam uśmiechać się równie głupkowato jak ona. – Co chciałaby pani dzisiaj zobaczyć?

– Stare Miasto, a potem jedno z osiedli, z tych zamożnych, na przedmieściach. Wiele o nich czytałam. To niesprawiedliwość.

Szliśmy spacerem przez Yaffo Street. Maya zatrzymywała się co chwilę, oglądała wystawy albo robiła zdjęcia.

– Noszenie ze sobą aparatu jest jak noszenie małego dziecka – stwierdziła kokieteryjnie.

Stale ktoś za nią gwizdał, kilku ortodoksów odwróciło się, bynajmniej nie ukradkiem.

Na Starym Mieście ledwie posuwałyśmy się naprzód, turyści z plecakami na brzuchach, wyznawcy najrozmaitszych religii tłoczyli się w wąskich uliczkach. Wszyscy w fantastycznych uniformach. Powietrze było wilgotne i ciężkie. Sprzedawcy siedzieli przed sklepami, krzycząc w tłum: *Please, come in! Do you want to see my shop? Natasza, Natasza, idi siuda.* Maya uśmiechała się do każdego z nich z osobna.

Otaczały nas ubrania, pocztówki, kadzidełka, szklane kulki, tania biżuteria, henna i piramidy kolorowych przypraw. Kefije wisiały obok podkoszulków noszonych przez izraelskich żołnierzy, sprzedawały je raz arabskie, raz żydowskie ręce.

Jeden ze sklepikarzy nawet za nami pobiegł. Usłyszał, jak rozmawiamy po niemiecku, i prosił, żebyśmy mu napisały w tym języku „oferta specjalna”. Chciał nas w ten sposób zwabić do siebie, ale Mai nie trzeba było nigdzie wabić. Podreptałam za nimi.

Między kefijami i pocztówkami zarówno mnie, jak i sprzedawcom opowiadała historię swojego życia, nie tłumaczyłam. Urodziła się w Saarze, ojciec był wójtem wsi, w której mieszkało może dwieście osób, matka gospodynią domową. W domu się nie przelewało. Tuż po skończeniu szkoły zawodowej poznała w barze w Saarbrücken znacznie starszego przedsiębiorcę. Zabrał ją do Laosu.

Przymierzyła granatową chustę, sprzedawca podsunął jej lustro. Przeglądała się, skupiona na sobie, i opowiadała.

– Już prawie nie pamiętam pierwszego męża, przypominam sobie tylko mały czarny notes w niebieskie linie, który zawsze przy sobie nosił. Zapisywał w nim skrupulatnie swoje stolce.

– Chciałaby pani kupić tę chustę? – zapytał sprzedawca, a ja przetłumaczyłam.

Popatrzyła na mnie, jakby zauważyła mnie pierwszy raz tego dnia.

– Nie mam przy sobie pieniędzy – odpowiedziała, stukając plastikowym paznokciem w szybę wystawową, co miało oznaczać pytanie o inny kolor. – W Laosie przyzwyczałam się do luksusu: zabiegi

kosmetyczne, masaże, joga, restauracje, delikatesy, służące.

Ruszyliśmy dalej. Jakaś kobieta uderzyła mnie w goleń siatką z czerwonym napisem cyrylicą, miała w niej zakupy. Wciąż mijali nas ciężko uzbrojeni policjanci. Musiałam kupić Mai świeżo wyciskany sok pomarańczowy, piła powoli, nieustannie paplając. Od czasu do czasu usiłowałam zwrócić jej uwagę na turystyczny folklor, wykopaliska, Via Dolorosa, ale każdą próbę przerywania swojego słowotoku traktowała jak obrazę. Kiedy wrócili do Niemiec, od razu się z nią rozwiódł, bez jakichkolwiek wyjaśnień. Dostała mieszkanie w Stuttgarcie i pieniądze, za które kupiła diamentowe kolczyki, ubrania i sznur pereł należący kiedyś do jakiejś grafini. Zrobiła sobie tatuaż. Słońce stało w zenicie, wzięłam kurs na Hospicjum Austriackie, już czułam smak świeżej lemoniady.

W chłodnym cieniu Maya zamówiła specjalność zakładu, strudel jabłkowy, i nie przestawała mówić. Powiedziała, że Żydzi odpoczywają kosztem Palestyńczyków.

Przypomniałam sobie, jak raz siedziałam z matką w jakiejś poczekalni z czerwonymi fotelami i pustym dystrybutorem na wodę, czytałam gazetę z wymiętymi rogami, z rozwiązanymi już krzyżówkami. Był tam artykuł zatytułowany *Rosnąca pewność siebie gminy żydowskiej w Berlinie*. Matce zrobiło się nieprzyjemnie. Miała upodobanie do spokojnych, dyskretnych Żydów.

– Jak się na to patrzy, na te niesprawiedliwości w wieczornych wiadomościach, to można ich naprawdę zniechęcić. Przecież to oczywiste, kto jest słabszy, kto jest ofiarą – oznajmiła, ocierając pot z czoła. – Co oni wyprawiali z tymi Palestyńczykami, a przecież powinni byli wiedzieć...

– Niemieckie obozy nie były umoralniającymi zakładami poprawczymi – odparłam.

Popatrzyła na mnie niepewnie, zaśmiała się i zatkała sobie usta kawałkiem austrofaszystowskiego strudla. Pochłaniała kęs za kęsem. Nienasycona jak czarna dziura. Zadzwoiłam do Samiego i powiedziałam, że przystąpię do egzaminu. Rzuciłam pracę.

XVIII

Powiem Tal, że brzydzą mnie jej gierki, mam dosyć tego, jak się masturbuje uzalaniem się nad sobą, wyjeżdżam na zawsze z tego miasta, z tego kraju. Napisałam mail, bo nie miałam odwagi do niej zadzwonić, poprosiłam o spotkanie w małej restauracji rybnej w Jafie.

Nie przyszła. Czekałam przy stoliku, kelnerka niecierpliwie krążyła wokół z kartą dań. W końcu zamówiłam okonia, którego nie tknęłam.

– Nie smakuje? – zapytała, stawiając na stole karafkę z wodą.

– Nie mam apetytu – odpowiedziałam.

– To po co przyszłaś do restauracji?

Zapłaciłam, nie zostawiając napiwku, i wyszłam na ulicę. Wciąż zerkałam na wyświetlacz komórki, żadnych wiadomości. Kilka razy okrążyłam postój taksówek. Kierowcy czekali z włączonymi silnikami.

Jechałam przez Tel Awiw, radio nadawało orientálną muzykę, taksówkarz jedną ręką trzymał kierownicę, drugą wybijał takt, a ja poczułam się jak w domu. To był dawno zapomniany dom, mozaika krajobrazów, temperatury, muzyki, zapachów i morza. Poprosiłam kierowcę, żeby pojechał wzdłuż plaży, a potem przez biedniejszy, południowy kawałek miasta, zorientowałam się, że dom kojarzę z miejscami, które przypominają mi Baku.

Zamek w moich drzwiach wydawał podejrzane odgłosy. Ktoś mnie z pewnością obrabował. Otwarłam i głośno zawołałam „halo”. Jakbym chciała zastraszyć włamywacza. Pachniało wprawdzie dziwnie, ale mieszkanie było puste. Na kuchennym stole znalazłam przywiedły bukiet i kartkę napisaną ręką Tal: „Zaopiekuj się kotami. Proszę”. Koty znalazłam w transporterze w sypialni. Kocie oczy błyszczały psychodelicznie, zwierzęta miauknęły wrogo. Klatka rozsiewała nad wyraz nieprzyjemny zapach.

– Potrzebuję cię – powiedziała Tal tydzień później.

Siedziała skulona przy moim kuchennym stole i głośno płakała. Miała przekrwione oczy i włosy ostrzyżone na kilka milimetrów.

– Gdzie moje koty? – zapytała, gdy atak minął.

– W schronisku.

– Oddałaś moje koty?

– Nie wiedziałam, czy wrócisz.

– Jak możesz być taka zimna?

– Po prostu uciekłaś. Szczerze mówiąc, nie liczyłam, że cię jeszcze zobaczę. Tal, czego ty właściwie chcesz?

– Twojej pomocy.

– Nie mówisz serio.

– Potrzebujemy tłumaczki. Masza, nie wyobrażasz sobie, co tam się dzieje.

Milczałam, bo w tej sekundzie pojęłam, że nie uwolnię się od Tal, wciąż będzie wracała, aż mnie wysie. Ale tak czy owak nie miałam już wiele do zaoferowania.

– Jeszcze tylko ten jeden raz. Obiecuję. Jeśli coś do mnie czujesz, pojedź ze mną – przyłożyła wewnątrz dłoni do mojego policzka.

XIX

Wilgotny letni upał, jak co dzień. Byłam mokra od potu już po pokonaniu pięciu stopni z domu na ulicę. W supermarkecie turyści rozpaczliwie szukali kogoś, kto mógłby przetłumaczyć hebrajskie informacje na temat produktów. Inni z powątpiewaniem sprawdzali certyfikaty koszerności. Kupiłam kawę, mleko i przeszłam przez ulicę do baru szybkiej obsługi.

W dwóch małych kartonach stało jedzenie z indyjskiej budki. Elias nie był głodny, leżał apatycznie na kanapie pod cienkim kocem i zmieniał kanały. Usiadłam obok, przytuliłam się. Zapraǳnęłam poczuć jego ciepło, całować go i głaskać, ale się nie ruszał, nie odwzajemnił pieszczoty. Wystąpiło już stężenie pośmiertne.

Część czwarta

Na checkpointie nie kontrolowano żadnych aut, za to w służbie wjazdowej do Izraela tym dokładniej. Chude dłonie Tal obejmowały kierownicę, kostki zbiegały. Nie zapytałam o cel naszej podróży, nie chciałam już nic wiedzieć. Z tyłu siedziało trzech chłopaków, wszyscy byli weganami, wiercili się nerwowo.

– Wzięłaś paszport? – zapytała Tal.

Spojrzała na mnie poirytowana. Miała na sobie skromną sukienkę zasłaniającą ramiona i sięgającą nieco poniżej kolan. W kolorze afgańskiej burki. Minęliśmy checkpoint, później budowę, gdzie ciągnięto w górę blok z luksusowymi mieszkaniami.

– Co się stanie, jak ktoś dopiero w Ramallahu odkryje, że nie ma przy sobie paszportu? Nie zostanie wpuszczony z powrotem do Izraela?

– To nie jest niedzielna wycieczka – ucięła.

– Dla mnie to nawet bardzo wygląda na niedzielę.

Resztę drogi odbyliśmy w milczeniu.

Tal zostawiła samochód w śródmieściu, tuż obok grobu bojownika Fatahu. Był przybrany kwiatami, wyglądał, jakby stał na skraju niemieckiej drogi. Wisiała nad nim wielkoformatowa reklama, do której przyczepiono blachę ze zdjęciem zmarłego. Wąty mężczyzna z karabinem maszynowym, w wełnianym swetrze o dużych oczkach. Lufa była skierowana wprost na grób. Wyglądało, jakby miał sam do siebie strzelać do końca świata. Wzdłuż chodnika parkowały drogie terenówki obklejone logo międzynarodowych organizacji pomocowych.

Moi towarzysze stali niezdecydowanie przed samochodem, przypuszczałam, że było im niezręcznie rozmawiać po hebrajsku. Sam środek Ramallahu faktycznie nie był najlepszym ku temu miejscem, ale żaden nie chciał zacząć mówić po angielsku. Nie znali arabskiego, więc milczeli speszeni. Nie wyświadczyłam im tej przysługi i się nie odezwałam, nie zmanifestowałam wspólnoty językowej.

Tal poszła przodem. Stawiała duże, energiczne kroki, z trudem za nią nadążaliśmy. Był deszczowy piątkowy poranek, śródmieście puste. Większość mężczyzn siedziała pewnie w meczecie, kobiety w domu. Liczyłam tabliczki obok dzwonek do NGO, szkoły prowadzone przez ONZ i miejsca parkingowe sponsorowane przez UE. Parada nowej kolonizacji w najczystszej postaci.

Tal znów była w swoim żywiole, ani śladu nerwowości.

– To tutaj – wskazała jakiś dom.

– Halo – powiedziałam do domofonu.

Ciężka żelazna brama otworzyła się, wyszła do nas drobna kobieta z upudrowaną twarzą i oczami obwiedzionymi czernią.

Salam miała mocny uścisk dłoni i nawyk patrzenia rozmówcom prosto w oczy. Poprosiła, żebyśmy usiedli w dużym pokoju, sama zniknęła w kuchni.

Na ziemi leżały miękkie wełniane dywany, zasłony zaciągnięto. Pomieszczenie było duże i o ile mogłam dostrzec w bladym świetle, na ścianach wisiały reprodukcje francuskich impresjonistów i wielkie obrazy olejne, sądząc po jakości, dzieła któregoś z domowników. Francuska Marianna z flagą palestyńską, o skromnie zakrytych, ale wielkich piersiach, krzyczące dziecko z głową umazaną krwią, stary, pochylony mężczyzna w ciemnobrązowej celi więziennej spoglądający tęsknie na małe okienko – zła perspektywa, za to widok na Kopułę na Skale. Wolne miejsce przy ścianach zajmowały wysokie regały z książkami.

Na stole miska z owocami – brzoskwinie, nektaryny i mango, w kolejnej małe kawałki arbuza, kilka srebrnych miseczek z suszem owocowym i orzechami. Salam wróciła ze świeżym sokiem, kawą po turecku i słodkimi wypiekami. Pochwaliłam ciasto, ona pochwaliła mój arabski i zapytała o ulubiony dialekt.

Tal, nieobecna, rysowała kółka na obrusie. Odpowiedziałam, że nauczyłam się arabskiego od narzeczonego, który urodził się w Bejrucie. Sama nie wiedziałam, dlaczego ją okłamuję, ale opowieść o Samim sprawiała mi przyjemność. Salam przełączyła się na angielski, kończąc nasz *small talk*.

Zanim przeszliśmy do zasadniczego tematu, każdy opowiedział swoją historię, prawdopodobnie ze względów pedagogicznych. Tal siedziała na brzegu kanapy, powoli darła na strzępki papierową serwetkę. Każdy mięsień jej ciała był napięty. Gdy przyszła kolej na nią, powiedziała jedynie:

– Tal. Byliśmy już w kontakcie.

Salam skinęła głową.

– Ja pochodzę z rodziny traumatyzowanej. Ojciec był członkiem Komunistycznej Partii Palestyny, przesiedział w izraelskich więzieniach dziesięć lat. Zawsze marzyłam, żeby zostać lekarzem. Po szkole dostałam stypendium na studia w Pradze. Miałam studiować genetykę.

Zrobiła dłuższą przerwę, nalała sobie kawy, przyglądając mi się dziwnie.

– Dobrze się czujesz?

– Tak – odpowiedziałam.

Sukienka Tal była jasnoniebieska, nie granatowa, nie w kolorze ultramaryny ani lazurowym, nie szaroniebieska. Tal nawet na mnie nie spojrzała. Przeszukałam torebkę w poszukiwaniu benzodiazepinów, ale nic nie znalazłam.

– Kiedy przyjechałam do Pragi, nie umiałam nic. W życiu nie byłam w żadnym laboratorium. Wiecie, że były one w Palestynie zakazane, Izrael bał się, że uczniowie zamiast biologii będą się uczyć o bombach. – Przy słowie bomba Tal się wzdrygnęła, może pomyślała o ciotce i wuju. – To było tak, jakby Beduin pierwszy raz zobaczył miasto. Musiałam się nauczyć wszystkiego, nawet tego, jak poprawnie trzymać przyrządy. Gdy się w końcu nauczyłam i mogłam dotrzymać kroku innym studentom, rozpadł się ZSRR. Inni świętowali, a ja pakowałam walizki. Moje stypendium pochodziło od Partii Komunistycznej, a ona istniała w tak samo niewielkim stopniu jak ZSRR. Nie byłam w stanie opłacić czesnego, nie miałam ani bogatych rodziców, ani bogatego męża. W Palestynie zapisałam się na dyplomację.

– Dlaczego akurat na dyplomację? – zapytał Yoni, jeden z chłopaków, którzy z nami przyjechali.

– A dlaczego nie? Laboratoriów dalej nie było, nie mogłam kontynuować studiów, dyplomacja wydała

mi się wtedy dobrym pomysłem.

– A dziś już nie?

– Nie, dopóki nie przyczynia się do normalizacji – odezwała się Tal, patrząc Salam prosto w oczy.

Salam skinęła głową i uśmiechnęła się. Rozumiały się.

Nic już do niej nie czułam. Ani nienawiści, ani miłości, ani nawet sympatii.

Z naprzeciwka zbliżały się małe grupy mężczyzn i chłopców, garnitury, ciemne wąsy. Większość sklepów była jeszcze zamknięta, niebo szare, a ja miałam gęsią skórkę z zimna. Patrzyłam w ziemię, usiłując omijać podłużne kałuże. Szukałam kawiarni, w której mogłabym jako kobieta spokojnie usiąść. Ściemniło się, wiedziałam, że to, co właśnie robię, jest szaleństwem.

– Jestem Ismael.

Przedstawił się po angielsku, odpowiedziałam po arabsku. Podał mi z szacunkiem rękę. Jak na mężczyznę tej postury miał zaskakująco słaby uścisk. Sprawiał wrażenie bardzo młodego.

Stwierdziwszy, że nic już nie czuję do Tal, przeprosiłam i powiedziałam, że muszę do toalety. Wyszłam przez okno i wybiegłam na ulicę. A teraz siedziałam sama w centrum Ramallahu. Wokół tuzin mężczyzn w garniturach. Ale tylko Ismael mnie zagadnął.

– Skąd jesteś?

– Z Niemiec.

– Naprawdę?

– Tak.

Usiadł obok.

– Gdzie się nauczyłaś arabskiego? Od mężczyzny?

– Tak.

– Jesteś zamężna?

Skinęłam głową.

– Ja też mam żonę – westchnął. – To trudne. Nie wyglądasz na Niemkę.

– A jak wyglądają Niemcy?

– Nie mam pojęcia.

– A Rosjanie? Jak wyglądają Rosjanie?

Wzruszył ramionami.

– Jak ludzie, którzy kochają brzozy.

– Amerykanie?

– Rozejrzyj się. Pełno ich tu w Palestynie.

– A Palestyńczycy?

– Jak ludzie przyzwyczajeni do długiego czekania.

Roześmiałam się. Ismael z zadowoleniem wyszczerzył zęby, odchylił się na krześle, zapalił papierosa.

– Marzniesz – stwierdził.

– Nie.

– Ależ tak, widzę przecież. Weź moją kurtkę.

– Nie.

Zdjął kurtkę i położył ją na stole. Potrząsnęłam głową, nie wziął jej. Marzliśmy oboje.

– Co tu robisz?

Uśmiechnęłam się i wzruszyłam ramionami.

– Czekasz na kogoś?

Zaprzeczyłam ruchem głowy.

– Pracujesz tu? W jednej z tych międzynarodowych organizacji? A może wyszłaś za bogatego Araba?

Przejechał włosy palcami, powoli, zmarszczył przy tym czoło. Poruszał się podobnie jak Eliza, miał też podobny głos.

– A ty co robisz? – zapytałam.

– Przez większość czasu siedzę w jakimś gównie. – Roześmiał się głośno z własnego dowcipu. – Jestem fotografem.

Uśmiechnęłam się, wszystko pasowało.

– Nie, uśmiechasz się na próżno. Nie jestem artystą. Fotografuję na weselach.

– Sprawia ci to przyjemność?

– Takie pytanie może zadać tylko Niemka. Zarabiam pieniądze, to najważniejsze. No, prawie najważniejsze. Klasa średnia w Palestynie snobuje się na amerykańską *high society*. Dla mnie to dobrze, zarabiam na tym. Jutro fotografuję wesele tutaj, w hotelu w Ramallahu, pojutrze jadę do Dżenin.

– Urodziłam się w Azerbejdżanie – powiedziałam.

– To daleko.

– Nie tak bardzo.

– Muzułmański kraj. Jesteś muzulmanką?

– Nie.

– Chrześcijanką?

Pokręciłam głową. Zaśmiał się i powiedział:

– Wspaniale. W takim razie jesteś mojego wyznania.

– A jakie jest twoje wyznanie?

– Rastafari. Przynieść ci coś do picia?

– Nie, dziękuję.

Wrócił z dwoma filiżankami kawy po turecku. Postawił jedną przede mną i zajrzał mi w oczy.

– Wyświadczysz mi uprzejmość? – zapytał.

– Mianowicie?

– Włóż kurtkę, drżysz. I tak szczerze, co tu robisz?

– Uciekam – samo się powiedziało.

– Przed mężem? Zdradziłaś go?

Milczałam. Ismael znów przeciągnął palcami przez włosy.

– Twój mąż jest Arabem, zgadza się?

Skinęłam.

– O cholera. To się źle skończy, mówię ci.

Potrząsnęłam głową i nagle poczułam, że łza toczy się po moim policzku. Nie mogłam pojąć, że

faktycznie kłamię i płaczę. Miałam niemiecki paszport, dobrze płatną pracę i mieszkanie w Tel Awiwie. Byłam wolna. A tymczasem siedziałam sama w kawiarni w Ramallahu, płakałam i okłamywałam zupełnie obcego mężczyznę. Tylko dlatego, że był podobny do Eliszy, a ja chciałam się go ucześcić. Poczułam ból w płucach, jakby ktoś przebijał mi igłą pęcherzyki. Jeden po drugim. Zrobiło mi się czarno przed oczami, drżałam. Walczyłam, żeby nie zemdleć.

– Masz kogoś, do kogo możesz pójść?

Jego słowa odbiły się we mnie głucho. Położył mi kurtkę na ramionach. Chciałam się uspokoić, starałam się głęboko oddychać, masowałam skronie. Próbowалам na niego spojrzeć, uśmiechnąć się, ale ból się nasilał, wgryzał się uporczywie w brzuch, płuca, serce, aż całe ciało stało się jednym czarnym bólem.

Oddychałam powoli, wdech, wydech, ból odszedł. Dopiero wtedy otwierałam oczy i wyprostowałam się. Z ulgą stwierdziłam, że nie jestem w szpitalu. Leżałam na kanapie w małym, zaciemnionym pomieszczeniu, w bezpiecznej pozycji bocznej. Ismael siedział na drugim końcu kanapy, podtrzymując moje nogi. Gdy zauważył, że doszłam do siebie, natychmiast je puścił.

– Gdzie jestem?

– W biurze kawiarni. Lepiej ci?

– Dziękuję.

Skinął głową.

Wstałam.

– Dokąd idziesz? – zapytał.

– Uregulować rachunek.

– Że też stać cię na takie żarty.

– Czuję się dobrze – powiedziałam i zachwiałam się.

Patrzył na mnie z troską.

– A tak w ogóle to dokąd chcesz pójść?

Uniosłam ramiona. I opuściłam.

– Nie wiem.

– Możesz na razie zostać u mnie. Potem się zobaczy.

– Dziękuję.

– Podjadę samochodem, przyjdę tu po ciebie. Masz jakieś rzeczy?

Pokręciłam głową. Wyszedł z pokoju, z klatki schodowej zawołał:

– To było odważne, wyjść za Araba.

Kiedy się obudziłam, było grubo po północy. Zapaliłam światło. Na nocnym stoliku leżała torba z kolorowym logo drogerii, znalazłam w niej szczoteczkę do zębów, pastę, szczotkę do włosów i tonik do twarzy. Pomyślałam o wszystkim. Wstałam, podeszłam do okna, odsunęłam zasłonę, odrobinę, jak podglądacz. Okno wychodziło na parking. Dziewięć rzędów samochodów oświetlonych silnymi neonówkami i stróżówka, w której migotał telewizor.

Ismael uparł się, żebym spała w jego podwójnym łóżku.

– Bez dyskusji – oznajmił i zamknął za sobą drzwi.

Położył się skulony w wannie, koc między nim a zimną emalią, poduszka na kolanach. Zaglądałam do niego w nocy kilka razy, kręcił się we śnie, usiłując dopasować pozycję ciała do wygięcia wanny. Nad

ranem znalazłam go na podłodze, leżał rozciągnięty między umywalką a toaletą i cicho pochrapywał.

Rano zamówił śniadanie do pokoju, przewiesił aparat przez ramię i zostawił mnie samą z jedzeniem. Spałam do południa, wstałam, wzięłam prysznic i wyszłam.

Śródmieście było jednym wielkim, jaskrawym chaosem. Tłum ludzi przesuwał się między trąbiącymi samochodami, mijając otwarte warsztaty i kawiarnie. Zasłonięte matki z wrzeszczącymi dziećmi, Beduini, Osmans Pizzeria i piekarnie, w których na okrągłych metalowych tacach pieczono pity. To, że jak na warunki arabskie wyszłam na ulicę prawie naga, zauważyłam dopiero po odpowiednich do mojego stroju reakcjach.

W jednej chwili straciłam wszystkie siły. Zdołałam się jeszcze schronić na jakimś podwórzu. Śmierdziało ściekami, skuliłam się obok dwóch przepełnionych kontenerów na śmieci. W momencie, gdy stwierdziłam, że już dłużej nie wytrzymam, że zaraz zacznę krzyczeć, ból osłabł, mogłam się podnieść i ruszyć dalej.

– Są dokładnie dwie możliwości – powiedziałam do Ismaela, wchodząc do hotelowego pokoju.

Stał przy oknie w prążkowanym podkoszulku i bokserkach – świeżo wykąpany, pachnący mieszaniną cierpkiej wody po goleniu i kwiatowego płynu pod prysznic. Był wysoki i żyłasty. W lewym kącie jego ust ćmił się papieros. Szybko sięgnął po leżące na łóżku spodnie, wciągnął je nerwowo.

– No więc są tylko dwie możliwości – powtórzyłam. – Albo dalej będę nosiła tę sukienkę i ukamienują mnie jako kurwę, albo założę coś dłuższego. Ale wtedy będę wyglądać jak żydowska osadniczka i też mnie ukamienują.

Rozgniół niedopałek w popielniczce i wyszczerzył zęby.

– Mam nadzieję, że zdecydujesz się na wariant numer jeden.

Westchnęłam.

– Wiedziałam, że to powiesz.

– Nie to, co myślisz, tak byłoby łatwiej uratować ci życie.

Postawiłam na łóżku siatkę z zakupami.

– Co to będzie? – zapytał.

– Piknik.

– Na łóżku?

Skinęłam głową.

– Nie mamy naczyń.

– Coś tam kupiłam, sztucce też.

Zrzucił z łóżka poduszki, usiadł po turecku w głowach. Przyglądał się, jak opróżniam siatkę: świeży chleb, oliwki, humus, falafel, ser i pastrami z europejskich delikatesów, owoce, malabi.

Siedzieliśmy naprzeciw siebie, jedząc w milczeniu. Na przedramieniu Ismael miał długą bliznę. Jak po oparzeniu.

– Skąd to masz?

Uniósł ramiona.

– Pocisk.

– Izraelski?

– Nie pytałem o producenta – uśmiechnął się i opuścił ręce. – Może niemiecki, kto wie? Tutaj to się

nazywa pomoc rozwojowa.

Na ramionach i na brodzie miał wiele innych blizn. Nie miałam odwagi o nie zapytać. Zapalił jointa i podał mi go. Noc znów spędził w łazience.

Długo nie mogłam zasnąć, przewracałam się z boku na bok. A potem śniłam o Eliszy. Miał na sobie szpitalną piżamę, usta wykrzywione z bólu. Cierpiał. Chciałam go dotknąć, nie pozwolił, powiedział, że dałam mu umrzeć.

Podskakiwaliśmy na wybojach.

– Powinniśmy byli wziąć osła – powiedział Ismael i włączył starą kasetę, Bob Dylan.

Stukał do taktu w kierownicę. Po zaledwie jednej piosence zostaliśmy zatrzymani na ulicznej blokadzie. Dwóch chłopaków w kamizelkach kuloodpornych wycelowało w nas broń. Palestyńscy policjanci byli jeszcze młodsi od żołnierzy izraelskich, mieli co najwyżej po szesnaście lat. Musieliśmy podać przez okno dokumenty, a potem wysiąść. Wciąż do nas celowali. Ismael zapytał jednego z chłopaków, czy lubi taniec brzucha. Po chwili z ponurymi minami oddali nam paszporty, odjechaliśmy. Od tej pory słuchaliśmy tylko Fairuz.

Zatrzymaliśmy się w małej wiosce, usiedliśmy w restauracji z zielonymi stolikami, w której serwowali szalarmę. Znowu byłem jedyną kobietą na sali.

Mur naprzeciw restauracji pokrywało graffiti. Ktoś napisał na zielono „Allahu akbar”, inny „Siostró, bój się Allaha, nie zdejmuj hidżabu”. A obok niepewną ręką „Fuck Israel”, pod spodem „Fuck PA, fuck Hamas” i markerem „Fuck me if you want”.

Ismael podążył za moim wzrokiem i wskazał na dom przed nami.

– Widzisz te beczki na dachach?

Skinęłam głową.

– To zbiorniki na wodę. Izrael napełnia je dwa razy w tygodniu i to by było na tyle. Jeśli wcześniej wszystko zużyjesz, to masz problem, nikt nie przyjdzie i ci nie pomoże – popatrzył na mnie. – To dla ciebie zbyt intymne, czy jak?

– Też nie mieliśmy wody.

– Co?

– W Baku mieliśmy wodę najwyżej godzinę dziennie, a i to nieregularnie. Przez tę godzinę napełnialiśmy wszystko, zbiorniki, wanny, butelki.

– Okej, wygrałaś.

Na naszym stole ktoś wyrzył swastykę. Przeciągnęłam palcami po kreskach.

– Byłem w Hamasie. I co z tego? – oznajmił nagle.

Podniosłam głowę. Nasze spojrzenia się spotkały. Wypiłam szklanekę wody, dolał mi.

– Ale oni też mi nie pomogli. Wiesz, jak to się wszystko zaczęło? – Nie czekał na moją odpowiedź. – Grałem w futbol. Dwa razy w tygodniu, najpierw biegaliśmy za piłką, potem za Bogiem. Kiedy po treningach wprowadzono lekcje religii. W pewnym momencie zapuściłem brodę, u Arabów to idzie szybciej niż u Europejczyków. Chociaż ty pochodzisz z Azerbejdżanu. Wiesz, o czym mówię. Nosilem długą białą pelerynę i kaptur – roześmiał się. – Nabrałem cię. Byłem muzułmaninem. Zawsze

odwracałem głowę, kiedy w telewizji pojawiała się kobieta. I jeszcze matka. Dużo się z nią kłóciłem. Dzisiaj mi przykro, ale wtedy gardziłem nią, bo nie nosiła chusty.

– Jestem Żydówką.

Zamilkł na chwilę, potrząsnął głową, przeczesał ręką włosy, wyjął z torby pogniecioną paczkę marlboro. Wypalił papierosa, rzucił niedopałek na podłogę i mocno rozgniół go butem.

– To ostatecznie nie jest zaraźliwe. Jedźmy.

Zapłacił mimo moich protestów.

Jechaliśmy przez arabskie wioski, mijając izraelskie osiedla i góry, a ja wyglądałam przez okno. Słuchaliśmy Mashrou' Leila. Upijałam się muzyką, krajobrazem i myślałam, że pierwsi syjoniści, którzy przyjechali do Palestyny za czasów Mandatu Brytyjskiego, też musieli upijać się urodą tego kawałka świata. Ismael znowu zapalił. Izrael, Palestyna, było mi to obojętne. Miałam dosyć.

– Jesteś Izraelką? – zapytał.

– Nawet nie mówię po hebrajsku.

– A ja tak. Pracowałam na budowie w Tel Awiwie. Przed murem. Dlaczego nie wyemigrowałaś do Izraela?

– Chciałam, ale rodzice byli przeciwni.

Odwrócił się nagle w moją stronę.

– Nie rób sobie jaj.

– Kiedy wystąpiłaś z Hamasu?

– Już po pół roku. Były długie rozmowy, raz przyszli nawet do mojego domu z prezentami. Jak Trzej Królowie w Biblii. Chcieli przekonać rodziców, ale oni byli komunistami. Nic się nie dało zrobić. Kolega, który został w Hamasie, przesłał mi fatwę przez Facebooka. Wtedy się upewniłem, że moja decyzja była słuszna.

Zapalił jeszcze jednego papierosa.

– Moi rodzice też byli komunistami – oznajmiłam.

– Wiesz, jako dziecko za karę zawsze musiałem się uczyć na pamięć *Manifestu* – zaśmiał się.

– Cholera.

– Właśnie. Ale teraz ojciec zrobił się religijny. Modli się pięć razy dziennie i rozgląda za drugą żoną. Matka pozostała komunistką. W ostatnich wyborach nawet kandydowała. W całym mieście wisiły plakaty z jej nazwiskiem i zdjęciem. To wielki honor. Ale ojciec wszystkim opowiadał, że nie będzie na nią głosować. I tak też zrobił.

– Wygrała?

– A kto cię wybierze, jeśli nawet twój własny mąż nie chce na ciebie zagłosować?

Milczeliśmy przez chwilę.

– Wiesz, byłem raz w Niemczech. To dobry kraj, ale wszędzie jest zakaz palenia. Tęskniłem za Palestyną, ledwie przyjechałem z powrotem, już zapaliłem. Jeszcze w autobusie.

Prowadził jedną ręką, w drugiej trzymał papierosa.

– Ale jednego nie rozumiem. Co robi twój ojciec z Żydówką?

– Zakochał się po prostu.

Uśmiechał się o moment za długo.

– W co wierzysz? – zapytał.

- W nic.
- W Boga?
- Nie.
- W kulturę?
- Też nie.
- W naród?

– Jak byłam mała, w domach zawsze stała spakowana walizka, na wszelki wypadek. W naszym przypadku to była stara aktówka mojego dziadka, a w niej czyste majtki, rodzinne zdjęcia, srebrne łyżeczki i złote koronki, kapitał, który rodzina była w stanie zebrać pod komunistycznym panowaniem. Ormian dawno już przegnano z miasta, wielu zabito. Moja babka, która przeżyła Szoah...

- O, aluzja!

IV

Znak drogowy pokazywał, że do Dzeninu zostało jeszcze pięć kilometrów, podczas gdy my od dłuższej już chwili jechaliśmy przez miasto.

– To teren, na którym podczas drugiej intifady dochodziło do największych aktów przemocy. W dwa tysiące drugim armia izraelska wkroczyła tu do obozu dla uchodźców – powiedział Ismael.

– Po zamachu Hamasu.

– Tak, po zamachu Hamasu, a nawet po wielu zamachach. Posłuchaj, nie chcę niczego upiększać ani usprawiedliwiać, chcę ci tylko opowiedzieć, jak było.

– Przepraszam.

– Mam mówić dalej czy nie?

– Tak, oczywiście.

– Przez wiele dni trwały uliczne walki, aż w końcu przyjechali buldożerami. Wszystko zrównali z ziemią, nawet domy, w których byli jeszcze ludzie. Na końcu nie byliśmy w stanie odróżnić ludzkich włók od padliny. Jak wreszcie odeszli, to wszystko zamarło, nawet powietrze. Przynajmniej powietrze przestało cyrkulować, wszędzie unosił się zapach krwi. Czuję smród rozkładu i chociaż dostałem tylko w mięsień, miałem wrażenie, jakbym sam był trupem. Byłem pewien, że niedługo umrę. Przesiąknęłam tym zapachem.

Nie zauważyłam, kiedy skończyło się miasto, a zaczął obóz dla uchodźców, wioska z wąskimi uliczkami. Ismael zaciągnął ręczny hamulec, stanęliśmy przed otynkowanym na biało domem.

– Nie wolno nam się całować ani przytulać – powiedział, chociaż dotychczas nie było między nami czułości, żadnego dotyku, żadnego przypadkowego muśnięcia ubrania. Drzwi od strony kierowcy otworzyły się, zatrzasnęły, wzięłam głęboki oddech i też wysiadłam.

– Nawiasem mówiąc, moja kuzynka wychodzi za mąż.

– Dlaczego mi wcześniej nie powiedziałaś?

– Bo mogłabyś mieć skrupuły, żeby tu przyjechać. A tak w ogóle to mam trzy siostry i dwóch braci, że nie wspomnę o dwudziestu kuzynkach, tuzinie kuzynów, ciotkach, wujach i bratankach.

Ledwie zbliżyliśmy się do domu, wyszło z niego kilkanaście kobiet. Każda wycelowała, wyściskała Ismaela. Niską, drobną kobietę przedstawił mi jako swoją matkę. Zniknął w ogrodzie, a one zaczęły mnie wypytywać. Niektóre nosiły chusty, inne nie. Powiedziałam, że jestem działaczką pokojową, ten rodzaj kobiet był w Palestynie znany, żadna nie zapytała o moją relację z Ismaelem.

Jedna z jego sióstr pociągnęła mnie na strome, kręte schody, musiałam się przytrzymać poręczy. Haifa była najmłodszą siostrą. Miała ciekawskie ciemnobrązowe, trochę zezowate oczy i pełne usta. Błyszczące czarne włosy sięgały jej aż do bioder. Usadowiła mnie na łóżku i zaczęła upiększać.

Wygładziła mi włosy, małe włoski usunęła nitką, uszminkowała i wyperfumowała. Pożyczona sukienka była niebieska.

– Teraz jesteś piękna – powiedziała, gdy razem oglądałyśmy w lustrze jej dzieło. – Ale jak wyjdziemy do innych, to lepiej nie mów, że jesteś aktywistką pokojową.

– Dlaczego? – zdziwiłam się.

Zakłopotana popatrzyła w podłogę.

– Jakby to powiedzieć. Mamy dosyć pokoju. Chcemy praw i państwa. Proces pokojowy zawiódł, nie chcemy normalizacji.

– Ale już wszystkim to powiedziałam.

– Nieważne, po prostu tego nie powtarzaj. A poza tym... – zawahała się, spuściła wzrok.

– Tak?

– Ismael miał w ostatnim czasie wystarczająco dużo kłopotów – zakończyła mocnym głosem, patrząc mi w oczy.

Nie dopytywałam, bo nic mnie to nie obchodziło, zresztą tak czy owak byłam pewna, że mi nie opowie. A ona ku mojemu zaskoczeniu popatrzyła na mnie gniewnie i wykrzyknęła:

– Nie rozumiem was! Przyjeżdżacie tu jako wolontariusze i myślicie, że możecie się zachowywać, jak chcecie, tylko dlatego, że jesteście tacy mili. Tacy okropnie mili. Gównu was obchodzimy. Mamy dalej cierpieć, a wam załatwiać wentylatory.

Gapiłam się na nią bez słowa.

– Ale dobrze – Haifa skinęła głową. – Przywiózł cię do naszego domu i jesteś gościem. Przepraszam. Tyle że normalizacja to niewłaściwa droga, musimy wzmocnić opór przeciw okupacji, zamiast grać do ich bramki. Wy, Niemcy, jesteście tacy naiwni.

Jej wywód miał w sobie jakiś fałszywy ton. Słyszałam, że nie jest szczerą, ale nie mogłam dojść, w czym tkwi dysonans. Podała mi rękę i zaprowadziła do dużego pokoju, do reszty kobiet. Mężczyźni świętowali na zewnątrz, w ogrodzie.

Liczne kobiety otoczyły uszminkowaną jak lalka pannę młodą. Te, które nie tańczyły, klaskały do taktu. Muzyka była głośna, zapachy przenikliwe. Wszystkie zdjęły chusty i płaszcze. Zobaczyłam się przypadkiem w lustrze. Niebieska sukienka. Muzyka ogłuszała, na zewnątrz było jeszcze jasno.

Wyszłam na ulicę. Była wąska, śmierdziała ściekami. Gdzieś gdakała kura. Na murach wisiały plakaty z portretami tych, którzy wylądowali w izraelskich więzieniach, i zamachowców-samobójców z dokładnymi datami śmierci. Pomiędzy nimi reklamy. W wielu miejscach namalowano swastyki. Pomyślałam o Morzu Kaspijskim, o wycieczkowych parowcach i Rostropowiczu. Chciałam do domu. Do mamy, żeby mnie ochroniła. Do Eliszy, żeby wczepić się w jego koszulę, poczuć jego zapach, znów wyraźnie zobaczyć jego twarz. Miałam gęsią skórę, było mi niedobrze. Próbowałam się uspokoić, oparłam się o ścianę, żeby zebrać siły. Z nosa leciała mi krew. Jakiś mały chłopiec nadjechał na rowerze. Naciskał dzwonek i coś do mnie krzyczał zniekształconym głosem, nie rozumiałam. Po chwili zrezygnował i pojechał dalej. Wtedy zauważyłam, że stoję obok masarni. Na wystawie wisiały zwłoki zwierząt, na wielkich srebrnych hakach, głowami w dół. Obok kawiarnia Bagdad, w witrynie portret Saddama Husajna, półprofil. Podeszłam, wyciągnęłam rękę. Szyba zimno nacisnęła na moją dłoń.

– Saddamie, stary przyjacielu – powiedziałam. – Pamiętasz imię tego rudego chłopca? Tego z parku?

Żadnej odpowiedzi. Saddam był martwy. Elisza był martwy. Wszystko było martwe. Dni zarzynania. Ojciec zasłonił okna kocami, żołnierze strzelali jak ćmy, zawsze w stronę światła. Nad miastem zalegała nienaturalna cisza, na niebie wisiały ciemne chmury, które zdawały się pochłaniać każdy dźwięk. Ojciec miał na sobie czarny płaszcz, przez ramię przewiesił podróżną torbę. Matka szybko spakowała moje rzeczy, grube wełniane rajstopy, sukienki, swetry. Cicho płakała. Zapinając mi płaszcz, długo na mnie patrzyła, potem zdjęła mi z szyi Gwiazdę Dawida, którą nosiłam od trzeciego roku życia. Zaprotestowałam, ale powiedziała, że nie czas teraz. Idź. Ojciec pociągnął mnie za sobą. Na ulicach prawie nie było ludzi. Przed niektórymi domami leżały porozbijane meble, pocięte materace i pojedyncze części garderoby, wiele okien było rozbitych, odłamki szkła zalegały na bruku, mieszając się ze strzępami obcych rodzinnych zdjęć. Pospiesz się, ponaglił ojciec. Nad nami krzyki, polifoniczny hałas i przeciągłe kobiece zawodzenie. Odgłos upadającego ciała. Błękit sukienki. Kałuża krwi. Ojciec próbował zasłonić mi oczy. Wyrwałam się. Podbiegłam do niej. Krew zafarbowała mi buty na karminowo. Ojciec nie chciał zostawić mnie samej. Babcia krzyczała na niego. Idź. Wracaj do żony. Później zaczęła do mnie czule przemawiać. Otuliła mnie kocem i położyła na łóżku. Z nosa leciała mi krew. Ktoś zastukał do drzwi. Babcia nie otwierała.

– Ciociu Anno. Ciociu Anno. Otwórz – rozległ się głos. – Ciociu Anno. To ja, Abbas, twój dawny uczeń z trzeciej B.

Nie drgnęła.

– Otwórz, jestem z Frontu.

Babcia wymamrotała przekleństwo w jidysz, wzmocniła je rosyjskim. Otworzyła. Do korytarza wszedł mężczyzna. Futrzana czapa zsunęła mu się na twarz, miał czerwone od mrozu ręce. Z ramienia zwisał mu karabin maszynowy.

– Ciociu Anno, ukrywasz Ormian. Donieśli na ciebie.

– Oszalałeś? – zapytała, opierając ręce na biodrach.

Wyszedł na korytarz w sukience powalanej krwią z nosa. Mężczyzna spojrzał na mnie przerażony.

– Co jej się stało? – zapytał.

– Była na ulicy, to jej się stało. Co wy wyprawiacie? – krzyknęła.

Patrzył to na mnie, to na nią, milczał, nie mógł się zdecydować, żeby odejść. Zdjął czapę, nad górną wargą zbierał mu się pot.

– Muszę przeszukać mieszkanie – mruknął.

– Proszę – prawą ręką wykonała zapraszający gest.

Skinął głową i wrócił na klatkę schodową. Babcia zamknęła drzwi. Osunęła się na podłogę.

– Wszystko się powtarza – wymamrotała. – Wszystko się powtarza. Wszystko się powtarza.

Szłam dalej, uliczki były wąskie. Minęłam barykadę. Płonęło przed nią ognisko, nad którym stało pięciu mężczyzn, rozmawiali po azersku, grzali dłonie. Nadjechał czołg, zgniótł zaparkowany samochód. Zostawił go za sobą, z okna nad nim poleciała butelka z koktajlem Mołotowa. Spadała jak gwiazda, ciągnąc za sobą dymny ogon. Wtedy ten obraz mnie fascynował. Szukałam auta Ismaela. Ale nie mogłam go znaleźć, chodziłam w kółko, aż zabrakło mi tchu, usiłowałam się wydostać. Artemis i Szuszanik, to były imiona córek przyjaciółki babci. Ona nazywała się Gajane. Czołg zatrzymał się gwałtownie, wieżyczka odwróciła się, lufa skierowała w stronę okna, z którego go zaatakowano. Wystrzał. Kuchenne okno zadrżało. W sąsiednim domu rozwarła się dziura. Za nią stół i tapeta w kwiatki. Odgarnęłam

z twarzy kosmyk włosów, do policzka kleiła się krew.

Sami odebrał od razu, usłyszałam odległy kobiecy śmiech i jego głos, prosił o ciszę.

– Proszę, przyjedź po mnie – szepnęłam.

– Gdzie jesteś?

Rozejrzałam się, nie wiedziałam już, gdzie jestem. Wyszłam z obozu, stałam na jakimś polu. Wokoło rosły drzewa oliwne, wszystkie wyglądały tak samo. Na horyzoncie jaśniały czerwone dachy osiedla.

– Nie rób głupstw. Mów natychmiast, gdzie jesteś.

– Nie wiem – usiłowałam nadać głosowi normalne brzmienie.

– W Tel Awiwie?

– Palestyna. Stoję pośrodku pola. Słońce zachodzi.

– Przylecę następnym samolotem. Jutro tam będę.

– Sami, krwawię.

Elisza podaje mi chusteczkę. Przykładam ją do nosa i odchylam głowę.

– Musisz podnieść głowę. Inaczej krwawienie nie ustanie. Wyżej – mówi. – Tak, dokładnie tak.

Biorę go pod rękę, idziemy przez chwilę obok siebie. Słońce już prawie zaszło, ale jest jeszcze jasno.

Moje podziękowania zechcą przyjąć: Lala Baschi, Alexej Grjasnow, Norbert Gstrein, Sophie Knigge, Petra Maria Kraxner, Julia Kreuzer, bez której ta książka by nie powstała, Mustafa Staiti, Farnoush Noori, Lina Muzur i moi rodzice Julija Winnikova i Oleg Grjasnow.

Dziękuję Rosa-Luxemburg-Stiftung i agencji literackiej Simon.

Przypisy

- [1] *Jugendweihe* (niem.) – świecka ceremonia z okazji osiągnięcia pełnoletności, alternatywa dla bierzmowania (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).
- [2] Na podstawie *Chumasz, Szemot*, oprac. Sacha Pecaric, przeł. Andrzej Borowski, Sacha Pecaric, Kraków 2003.
- [3] *Tatort* (niem.) – *Miejsce zbrodni*, kryminalny serial telewizyjny w języku niemieckim, nadawany od 1970 r. w Niemczech, Austrii i Szwajcarii.
- [4] *Bunun üzerine* (tur.) – potem, później.
- [5] *Çüş* (tur.) – coś takiego!
- [6] Goethestrasse – ekskluzywna ulica handlowa we Frankfurcie nad Menem.
- [7] Andrea Ypsilanti – niemiecka polityczka, zaliczana do lewej frakcji SPD; Tarek al-Wazir – niemiecki polityk reprezentujący partię Związek90 / Zieloni.
- [8] NPD – Nationaldemokratische Partei Deutschlands, partia o programie nazistowskim.
- [9] FAS – „Frankfurter Allgemeine Sonntagszeitung”.
- [10] *Baba* (tur.) – ojciec; *teyze* (tur.) – ciotka.
- [11] *Kanake* (niem.) – obraźliwie określenie człowieka pochodzenia tureckiego mieszkającego w Niemczech.
- [12] *Mugam* – klasyczna muzyka azerska.
- [13] Na podstawie *Chumasz, Szemot*, dz. cyt.
- [14] Breaking the Silence – izraelska organizacja pozarządowa założona przez byłych żołnierzy frontowych, dokumentująca nadużycia wojska na Terytoriach Okupowanych.
- [15] Anarchists Against the Wall – ugrupowanie izraelskich anarchistów-aktywistów, przeciwników muru oddzielającego Izrael od Terytoriów Okupowanych.
- [16] Taglit – Birthright Israel, izraelska organizacja zajmująca się sponsorowaniem i prowadzeniem obozów w Izraelu dla młodzieży pochodzenia żydowskiego.
- [17] Mayflower – żaglowiec, trójmasztowy galeon handlowy, na którym w 1620 roku przybyli do Ameryki Północnej pierwsi koloniści angielscy, tzw. pielgrzymi.
- [18] *Matkot* (hebr.) – popularna w Izraelu gra, podobna do tenisa plażowego.

WYDAWNICTWO CZARNE sp. z o.o.

www.czarne.com.pl

Sekretariat: ul. Kołłątaja 14, III p., 38-300 Gorlice

tel. +48 18 353 58 93, fax +48 18 352 04 75

e-mail: mateusz@czarne.com.pl, tomasz@czarne.com.pl,

dominik@czarne.com.pl, ewa@czarne.com.pl,

edyta@czarne.com.pl

Redakcja: Wołowiec 11, 38-307 Sękowa

e-mail: redakcja@czarne.com.pl

Sekretarz redakcji: malgorzata@czarne.com.pl

Dział promocji: ul. Hoża 42/1, 00-516 Warszawa

tel./fax +48 22 621 10 48

e-mail: agnieszka@czarne.com.pl, dorota@czarne.com.pl,

zofia@czarne.com.pl, marcjanna@czarne.com.pl

Dział marketingu: honorata@czarne.com.pl

Dział sprzedaży: piotr.baginski@czarne.com.pl,

agnieszka.wilczak@czarne.com.pl, urszula@czarne.com.pl

Audiobooki i e-booki: anna@czarne.com.pl

Skład: d2d.pl

ul. Sienkiewicza 9/14, 30-033 Kraków, tel. +48 12 432 08 52

e-mail: info@d2d.pl

Wołowiec 2015

Wydanie I